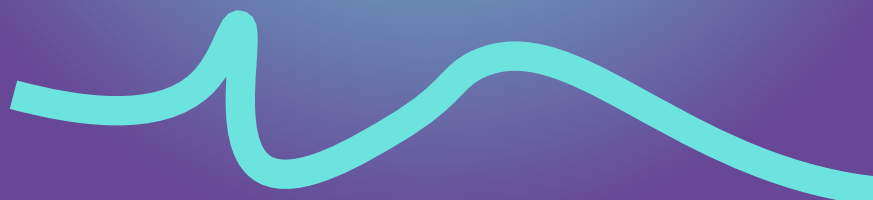


Szkoła Pisania KMLU prezentuje

Kurs Pisania Powieści 2023 / 2024

Antologia tekstów



SZKOŁA
PISANIA
KMLU



KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO

Szanowni Państwo, Drodzy Wydawcy i Wydawczynie,

mamy ogromną przyjemność zaprezentować Państwu dwanaście tekstów, które powstało w trakcie VIII Kursu Pisania Powieści Krakowa Miasta Literatury UNESCO 2023/2024.

Hasło edycji brzmiało *Przeszłości i terażniejszości. Pisanie z głowy – pisanie z wyobraźni*. W czasie trwającego pięć miesięcy kursu uczestnicy pracowali nad debiutami prozatorskimi pod okiem znakomych redaktorów – Filipa Modrzejewskiego i Pawła Goźlińskiego. Podczas weekendowych spotkań w Pałacu Potockich, siedzibie Krakowa Miasta Literatury UNESCO, po raz kolejny powstało lub zyskało ostateczny kształt dwanaście świetnych tekstów, których lekturę polecamy z pełnym przekonaniem.

Spośród nich jak co roku wybraliśmy trzy, które szczególnie chcemy polecić Państwa uwadze. Pierwszy z nich *jestem małą muszką owocówką, przyleciałam na ciebie popatrzeć* Eweliny Figarskiej to, w słowach Pawła Goźlińskiego, „powieść niestreszczalna, niekłaniająca się regułom, zaskakująca, jeśli chodzi o narracyjne punkty widzenia (jak patrzy na świat muszka owocówka?) i dziko zmetaforyzowany język”.

Drugi, czyli *Urzeczenie* Ady Tymińskiej, jest z kolei powieścią rzeczna, której styl, jak wskazuje Filip Modrzejewski, „przywodzi na myśl dzikie i bogate w formy koryto Wisły” i która obfituje „w rozmaite gatunki: baśń, dialog opowiadający historię, pojawia się tam także prywatne śledztwo i rzeczna podróż, i topielcy, powódź, flisactwo i wiele innych rzeczy”.

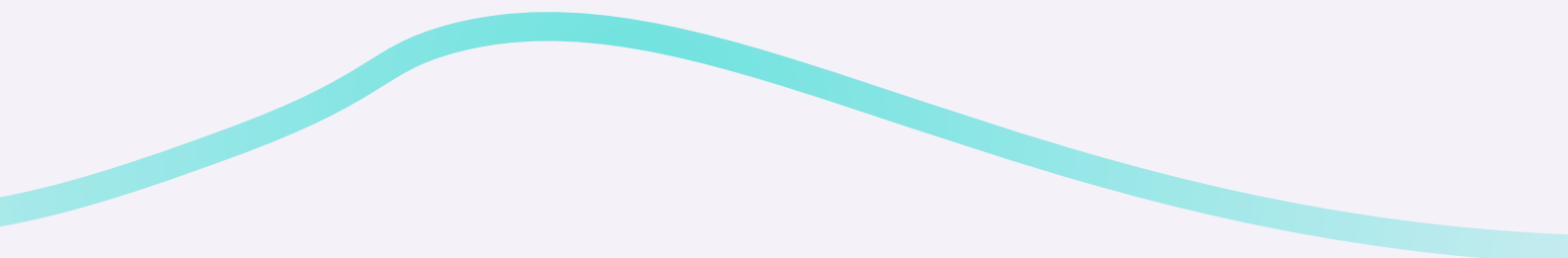
Wreszcie *Niedziela to dzień zabójczyni* Martyny Wawrzyniak, czyli trzeci z wyróżnionych tekstów to – cytując jeszcze raz Pawła Goźlińskiego – „kamelarna, zamknięta w jednym pomieszczeniu i kilkunastu godzinach opowieść o społecznej aktywistce, której praca niebezpiecznie zaczyna ząbębiać się z życiem osobistym i odsłaniać kolejne warstwy ukrytych motywów i motywacji bohaterki”.

To tylko krótka zapowiedź tego, co znajdą Państwo na kolejnych stronach, pełnych odkrywczych strategii, językowych i formalnych eksperymentów, a także – po prostu – niezwykle wciągających fabuł.

Serdecznie zapraszamy do lektury wszystkich tekstów, a zainteresowanych współpracą wydawców serdecznie zachęcamy do kontaktu z organizatorami Szkoły Pisania KMLU.

Aleksandra Lipczak

**Koordynatorka Szkoły Pisania Krakowa
Miasta Literatury UNESCO**



2 **Wstęp**

5 **Teksty wyróżnione**

- 5 Ewelina Figarska – *jestem małą muszką owocówką,
przyleciałam na ciebie popatrzeć*
- 18 Ada Tymińska – *Urzeczenie*
- 35 Martyna Wawrzyniak – *Niedziela to dzień zabójcy*

45 **Pozostałe teksty**

- 46 Alicja Beryt – *Hostel Belgrad*
- 58 Ewa Bugajska – *Sztuka pozostawania w cieniu*
- 67 Marta Fałęcka – *Chów klatkowy*
- 88 Jakub Krüger – *Strzępy, skrawki, łatki*
- 109 Marta Maj-Sobkowiak – *Słone bakalie*
- 127 Patrycja Mierzejewska – *Indygo*
- 148 Irena Powell – *Gdybyśmy mieli urodzić się powtórnie*
- 154 Aleksandra Szmolke – *Cena wolności*
- 181 Anna Urbaniak – *Gastro*

194 **O autorach**

197 **O Szkole Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO**

Teksty wyróżnione

Ewelina Figarska

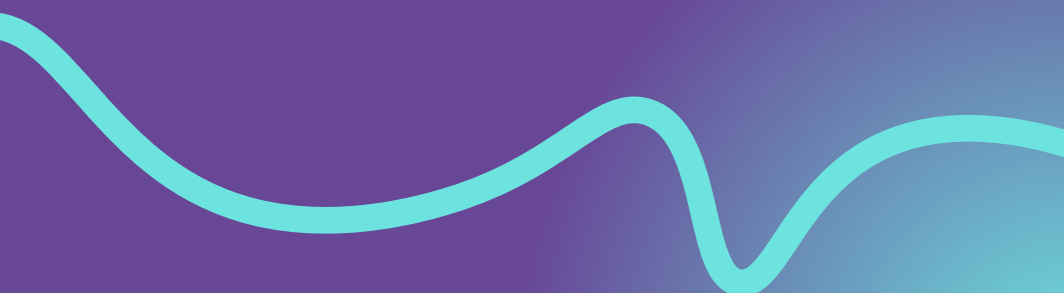
jestem małą muszką owocówką, przyleciałam na ciebie popatrzeć

Paweł Goźliński:

Ewelina Figarska pisze powieść niestreszczalną, niekłaniającą się regułom, zaskakującą, jeśli chodzi o narracyjne punkty widzenia (jak patrzy na świat muszka owocówka?) i dziko zmetaforyzowany język. Można by użyć wytrycha „proza poetycka”, ale to nie oddaje, czym jest owa proza, która – jeśli chodzi o rozmach – daje poczucie obcowania z epickim światem wypełnionym efemerycznymi, a jednak głęboko po ludzku poruszającymi postaciami.

Filip Modrzejewski:

Brak, nieobecność, cisza, milczenie, znikanie, koniec kropka, ironia... To są dla tej prozy słowa klucze. Brodzę w oryginalnej powieści Eweliny Figarskiej po literach, takie stwierdzenie podpowiada mi zresztą jej utwór. Podsuwa nam autorka cudowny koncept: wykorzystuje jeden alfabet, ten z małymi literami, co bardzo mi się podoba. To pisanie – powtarzam: bez żadnych wielkich liter – to opowiadanie i obrazowanie wzięte z wyobraźni, powściągliwe, czasem rzeczowe i oszczędne, zachwycające i miejscami nie do zapomnienia.



Ewelina Figarska

jestem małą muszką owocówką, przyleciałam na ciebie popatrzeć

WIDOK I

dwóch typów skrobie tynk z budynku, jeden podaje drugiemu obierki ze ściany.

– przytrzymaj – powiedział pierwszy.

– co słucham? – powiedział drugi.

– przytrzymaj. na co się patrzysz? – powiedział pierwszy.

obierki zaczynają się ruszać jak dżdżownice i układają się w napis, który na nas patrzy.

– dlaczego się patrzysz? patrzysz się i patrzysz. otwierasz oczy i od rana się patrzysz. to koszmarne męczące. nie masz lepszego zajęcia?

– mówi ten bardziej zaangażowany.

osoba, którą będziemy sunąć w tej opowieści, będzie dla nas osobą i będzie siedziała na ławce. osoba siedzi na ławce i nic, patrzy.

robi się noc.

osoba wstaje i idzie do swojego mieszkania, otwiera drzwi, a tam zupełnie ciemno, jak w jaskini. nie zapala światła. słyszymy, że je. sporo zjada, ale nie wiadomo czego. potem słyszymy inne dźwięki, stopy osoby.

OSOBA HODUJE KRETY

– to nieprawda. tak naprawdę sama jestem kretem – mówi osoba. nie mieszkam w mieszkaniu, tylko w wielkim kopcu, nie śpię w łóżku, tylko w mokrej ziemi, zjadam zamordowane przeze mnie robaki.

mówi to na zupełnie ciemnym tle naszych zamkniętych powiek.

potem rozlega się dźwięk telefonu. w niezrozumiały sposób popiskuje do słuchawki osoba-kret.

KOLEJNA OSOBA

– urodziłam wielkie słońce, ale nikomu o tym nie powiedziałam. było tak wielkie, że rozerwało mi srom. długo leżałam, uzalając się nad sobą, ale przyszedł dzień, w którym chwyciłam igłę i nitkę i zaszyłam swój srom i przestał on krwawić. wtedy w moim domu pojawiły się muszki owocówki, siedziały na pokaleczonym słońcu, które rozbiło się jak bomba, wypadając z mojej macicy. teraz leży rozbite w kuchni. jest rozbite na miliard kawałeczków, jeśli chcesz, możesz pomóc mi w zbieraniu, ale z seksu nici, bo mam zszyty srom, rozumiesz? – mówi ogromna kobieta.

chłopak-lornetka jest w tym mieszkaniu razem z nią, ale nie wiemy, skąd się tam wziął. wiemy tylko, że ma na ramieniu lornetkę. dotyka srom dłuższą chwilę, jakby chciał do niego wskoczyć, jednak srom jest bardzo ciasno związany i nie może wcisnąć nawet opuszka palca.

– zgoda – mówi chłopak-lornetka.

Zbiera pośluczone na podłodze kawałeczki tego dziwnego i ohydnego stworzenia, w które scala się to słońce jak skóra.

ta kobieta musi pochodzić z innej planety, gdzie rodzi się słońce albo drogę mleczną. patrzy na jej piersi i myśli, że może chociaż uda mu się objąć ustami jej wielkie sutki. udaje mu się doskoczyć i kiedy już ma sutek w buzinie chce go puścić. ssie i ssie, aż napęlnia się cały, od stóp do głów płynem nieznanego pochodzenia.

– od teraz ty będziesz rodził dzieci w jajach – mówi wielka macierz.

MAŁY PSTRYCZEK

na małym pstryczku od światła usiadła muszka owocówka, niby lekka, ale wystarczająco masywna, by włączyć światło. z domów zaczęli wypełzać zaspani ludzie, zaczęli przychodzić na świat w szpitalach i umierać gdzie popadnie, kilka osób odniosło sukces, a kilka poniosło porażkę. ktoś z pokoju obok wziął packę na muchy i ubił muszę owocówkę z satysfakcją.

LORNETKA

– uwielbiam patrzeć, kiedy patrzę, widzę jasno co i jak. patrzę i patrzę, i wcale mnie to nie dziwi, co widzę, najbardziej boję się zamykać oczy, ścisnąć w nicość powieki w dół, siedzieć w tym dziwnym, ciasnym miejscu. nie ma tam światła, a do głowy cisną się myśli o nieznanym pochodzeniu, pchają się głowy i proszą, żebym nadawał im imiona, wylęgają się jedno po drugim z dźwiękiem rozbitego jajka. rozdziela ją się jak żółtka i białka na dwa i patrzą, dwie wielkie ślepia na mnie patrzą.

otwieranie i zamykanie powiek.

– spadają owoce od wiatru i w deszcz. ludzie zbierają owoce. ludzie zjadają owoce, a w środku są robaki, które też zjadają ludzi, przypadkiem. ludzie poca się potem i krwawią krwią. ludzie podają sobie ręce, ludzie wkładają sobie palce i członki w srom do buzi i w odbył, tak jest całkiem wygodnie. mrówki przynoszą jedzenie do mrowiska i zjadają kawałki rozwalonego zwierzęcia, parują się w wagonik, ciągną się nawzajem w celu zmniejszenia oddawanej energii, z małych ciałek uwalniają się potrzebne mrówkom do komunikacji substancje. w mrówkach jest krew jak w ludziach, mrówki mają małe oczy i malutkie ręce. mrówki chodzą po spoconych ludziach, mrówki zjadają popsutych ludzi – ciągnie stara kobieta opowieść przy obiedzie, ale robi to też na ławce w parku, przy herbacie albo normalnie u lekarza, w sumie gdzie popadnie.

patrzy na zegarek, kładzie się w łóżku i umiera.

następnego dnia trzeba wywieźć wersalkę, na której umarła. wersalkę znajduje para przechodniów, ogląda, czy nie zawiera robaków, na

szybko myje płynem vanish. para idzie spać. parze śni się ta sama historia. para również umiera. wersalka stoi bardzo długo, bo aż tydzień w mieszkaniu, które nie jest nawet wietrzone, potem zjawiała się ekipa sprzątająca i muszki owocówki. wersalka wymyta jak nowa trafia do nowego właściciela, starszego pana, który śpi na wersalce ze swoim psem. psu śni się kopulująca na wersalce para, która przedtem umarła.

JAJO Z WODĄ

na ulicy leży wielkie, niebieskie jajo. jajo jak kula ziemską, prawie globus, ale jednak jajo. na jajo ujadają zwierzęta. i ludzie kopią je bez sensu. kopią jajo jak kapsel albo starą plastikową butelkę, chcą się go pozbyć z widoku albo po prostu robią to dla zabawy.

w środku jaja jest woda, woda od początku istnienia nietknięta, to woda pierwotna, z której może powstać jeszcze jedno jedyne życie, zupełnie od nowa.

jajo trafia do osoby o otwartym sercu, osoba wkłada sobie jajo do serca. w ciepłym sercu robi z jaja wydmuszkę i wypija calutką wodę, a jej pot ma zapach nowego świata.

jajo wydmuszka turla się dalej po ulicach, puste i kłamliwe, nadal kopane przez przechodniów. czasami spotykam jajo niebieskie, jak przedtem, może nieco bardziej zaludnione, poniewierające się to tu, to tam, jako środek transportu dla zbłądzonych w przestworzach osobliwości.

nowy świat, który ulotnił się przez skórę osoby o otwartym sercu, przypomina lęg. jest czysty i zupełnie czysty, wieszka się na suficie jej mieszkania, czeka, aż powstanie w nim coś więcej, niż by on sam był.

któregoś dnia kapie ni stąd, ni zowąd na głowę kobiety.

BRZYDKIE KACZĄTKO

– zamknęłam oczy i widziałam ciebie spacerującego po swoim mieszkaniu, brodzącego wzrokiem to tu, to tam. nie zapaliłeś światła, panował półmrok, skubałeś skórę, jak robią to małpy, twoje włosy zaczęły

wypadać, świat przyspieszył i zestarzałeś się dobre dziesięć lat. nie zauważyłeś tego, wyszedłeś normalnie jak zawsze na zewnątrz. patrzyłeś na ludzi, mijales ludzi. oglądałeś najpierw ich włosy, potem ich oczy, potem podbródki, potem małe palce u stóp w kawiarniach latem. zimą nie patrzyłeś wcale, zamykałeś oczy i tak siedziałeś. z całą tą wiedzą na temat ludzi wolałeś się nie afiszować, dalej bezgłośnie przemierzałeś ulice, a teraz patrzysz na nas zza rogu budynku naprzeciwko – mówi kobieta, na którą spadła woda z jaja.

– nie jestem brzydkim kaczątkiem – mówi brzydkie kaczątko.

– to po co tam stoisz? – mówi kobieta, siedząc w fotelu z wielką kroplą na głowie.

– wyklułem się z jaja.

– z mojego jaja?

– tak, z twojego jaja.

– nie wierzę, takie marne stworzenie wykluło się z mojego jaja – krzywi się kobieta, na którą spadła woda z jaja.

– a jednak.

– nawet jeśli to prawda, musisz mi to pokazać na piśmie albo opowiedzieć swój ostatni sen – mówi kobieta, na którą spadła woda z jaja.

– mój ostatni sen to sen o psie, który śnił o kopulacji młodej pary na wersalce swojego właściciela. a ty nie masz już serca – mówi brzydkie kaczątko.

kobieta dotknęła swojej piersi i mimo wyczuwalnego rytmu poczuła pod palcami ogromną dziurę jak po wybuchu atomowym. dziwiła się, jak mogła przeoczyć taką dużą wyrwę.

NIKT Z TUTEJSZYCH NIE JEST TYM, ZA KOGO SIĘ PODAJE

kobieta, która mieszka na balkonie, kobieta-cyklop, uwielbia straszyć w snach małe dziewczynki. stoi w dzień, w biały dzień, w południe na balkonie blokowego mieszkania. gdy dziecko zbliża się zaniepokojone chrobotaniem, pomału odchyła głowę, dziecko wlepione w szybę woła

całą rodzinę. kiedy cała rodzina już dociska się do szyby i do dziecka, kobieta odwraca się trochę szybciej i ukazuje się jej jedno oko.

dziecko wlepione w szybę patrzy na nią, a ona na dziecko.

– nie jestem kobietą-cyklopem. jestem miłą staruszką, babą jagą, tą samą z bajek i opowiadań dla dzieci, od dawna szukam jasia i małgosi. czy pamiętasz, co się z nimi stało? czy ktoś wie, gdzie się oni podziali? gdzie ja właściwie jestem? – pyta przechodniów, skrobiąc swoje długie paznokcie, objając się o ściany kamienic. ludzie rzucają spojrzenia z niedowierzaniem albo przerywają jej w pół słowa, że nie mają czasu, że im się spieszy, że pogadaliby, gdyby mieli chwilę, ale przecież nie mają, że jest południe, że praca, dzieci, że wnuki.

– każda historia powinna dążyć do miłości. życie, które jest paskudne i pełne rozkładu, jest mimo wszystko o miłości – krzyczą muszki owocówki, ale nikt ich nie słyszy.

TO NIE TYLKO OPOWIEŚĆ O LĘKU I STAROŚCI

– dlaczego czuję w środku ból, wielką wyrwę? – mówi kobieta od kropli na głowie.

– to prywatna historia – rzuca baba jaga, odbijając się od kamienic.

– nie nasza, nie nasza i nie nasza – krzyczą muszki owocówki.

– należy uważać, gdzie się patrzy, brać odpowiedzialność – mówi chłopak-lornetka.

– katalog znaków, katalog symboli, katalog postaci, jak książka telefoniczna. teraz już takich nie ma – mówi osoba-kret przez telefon.

– czego? – pyta brzydkie kaczątko.

– no takich książek – mówi osoba-kret.

– nikt na nich i tak nie skorzystał, nikogo nie dało się tam znaleźć, zawsze zamykali przed nosem drzwi, odkładali słuchawki – dodaje baba jaga.

– dziury w głowie i dziury w sercu – mówi brzydkie kaczątko.

– włóż palec w tę wyrwę, zobacz, czy jest prawdziwa – mówi kobieta z kroplą na głowie, łapiąc się za serce. chłopak-lornetka sprawdza i wie, że jest prawdziwa.

EPIZOD WYPADEK

– to wypadek, że się tu znalazłem. wolałbym być zupełnie sam i gdzie indziej – mówi epizod-wypadek.

gapicie się, brodzicie oczami po ścianach.

po literach.

wszystko jedno. brodzicie i nic. a ja nie mogę się stąd od lat wydostać. zostałem tu na dobre.

leżę i liczę, i liczę, i liczę, i wiecie co? i nic.

zamykam oczy i nic.

robi się ciemno.

telefon.

to osoba-kret dzwoni do mnie, to jedyna osoba, która ze mną rozmawia, wiesz? dzwoni, a ja udaję, że ją rozumiem, ale tak naprawdę jej nie rozumiem. co ja mogę wiedzieć, nawet na dobre się nie narodziłem. jest tu ciepło i ciemno. całe moje życie sprowadza się do telefonu od tej osoby. uczę się jej języka, ale nadal słabo mi idzie rozróżnianie dźwięków. nieprawda. zupełnie mi nie idzie, ale to jedyne, co mam.

ŻYCIE TO NIE JEST SEKS Z KONIEM

– chciałbym z siebie wypluć wszystkie nieudane myśli, te popsute i te niewystarczające, obrośnięte pleśnią i kulawe, i te chore psychicznie, i te zupełnie obce, te, które lepią się i kleją i pluć nimi aż po same łokcie, zatopić się w ślinie jak w galarecie ze smarków. napić się ciepłym mlekiem, które pochodzi z ciała obcego, zapachem i ssać do wyciśnięcia wnętrzości albo zupełnie potknąć się, zachłysnąć i udusić. puścić w sobie obawy i lęki i z całej siły uwiesić się na szyi innego człowieka albo innego gatunku, mlaskać, mlaskać, mlaskać. czemu karmi cię koń,

czemu wyglądasz jak koń? – obsypany piaskiem leży dłuższą chwilę –
jestem psem, pogładź mnie po pysku – mówi osoba-pies, umierając.

nikt z tutaj zebranych nie jest człowiekiem, już od dawna zwierzęta
adaptują się. a ludzi już od dawna nie ma. zostały ich budynki i ich
sprawy. tak wielkie, paskudne i nieusuwalne, że nic się nie zmieniło.
inne gatunki udają ludzi, a wszystko tak samo istnieje i istnieje bez
końca. każdy marzy o zakończeniu dnia, roku, życia, historia o końcu,
to ona nas zbliża.

a teraz będziemy to przeżywać to w koło i w koło jak dobry film, jak do-
brą piosenkę w zapętleniu na zawsze. potem staniemy się tą piosenką,
tym filmem.

odczaruj mnie

co mogłam zrobić zrobić

nie odczarowałaś ich?

co by ze sobą zrobili nie mając tych kilku przebłysków pamięci?

czasami przypomina ci się przeszłe życie, odległy świat i zapach in-
nego ciała, ale nadal twojego. nie lubisz tego zapachu. przypominasz
sobie wtedy, że byłaś stara, że świat cię męczył, że obiecywałaś sobie tu
nigdy nie wracać. a teraz co? jesteś małą muszką owocówką i przyle-
ciałaś na mnie popatrzeć.

następnym razem zastanów się dobrze po co ci to

zapagniesz mieć nowe ciało ciało

proszę popatrz na mnie

kobieta z kroplą na głowie przywiązała do nitki i gwoździa konika
polnego. powiedziała, że wrócę tu, zanim konik polny nawinie się jak
szpulka. konik robił obroty i zmniejszał dystans, a moje nogi krążyły
i krążyły coraz bliżej tego domu. w końcu zapukałem tutaj. konik znik-
nął.

– puk, puk – to ja-drzewo-koń.

– głupie i spóźnione – mówi na wstępie despotyczna osoba. – otworzymy mu drzwi, ale niech siedzi w przedpokoju, nie odzywajmy się do niego.

ja-drzewo-koń smutne i wycieńczone siedziało na kanapie w przedpokoju-kuchni. z dużym napięciem zaglądało przez szparę w drzwiach.

– my patrzyliśmy, ale nie robiliśmy nic – powiedziała zląkniona osoba, jakby się tłumaczył i to jeszcze w czasie przeszłym.

– mogło nie uciekać, teraz niech siedzi – mówi druga osoba.

DŁUŻSZA HISTORIA ZAGNIĘCIA, ZAGUBIENIA ORAZ TEGO WSZYSTKIEGO, CZYM PRAWDOPODOBNIEMO MOGŁOBY BYĆ JA-DRZEWO-KOŃ, ALE NIE JEST

– zacznę od tego, że nigdy nie chciałem być martwy i w wiadomościach – mówi pierwsza osoba.

– a ja przeciwnie, marzę o śmierci, odkąd tu jestem, nauczyłem się obrazów, nauczyłem się dźwięków i słów, i próbuję, codziennie próbuję, codziennie na nowo próbuję jakoś to poskładać do kupy. to zupełna nędza, czcza robota, partactwo – mówi druga osoba.

– wszystko przez tę nędzną istotę – mówi despotyczna osoba.

– przeze mnie? – mówi zląkniona osoba.

despotyczna osoba ignoruje nietrafione pytanie, ponieważ ma na myśli istotę w kuchni-poczekalni-przedpokoju. łypie tam swoim długim, wścibskim, świdrującym spojrzeniem.

oczy stykają się spojrzeniami.

– to – mówi ona, kiedy połowa drzwi zakrywa jej twarz.

w przestrzeni naszego obrazu jej wścibska twarz zajmuje mały kawałek w szparce drzwi. z długiej strony natomiast znajduje się tak samo ustawiona twarz ja-drzewo-konia. jakby nałożyć na siebie te obrazy, mogłyby być tym samym. to w końcu dwie głowy od tyłu. przy dużym nałożeniu są to dwie twarze na sobie. nie możemy jednocześnie zobaczyć obu od środka, więc siłą rzeczy musimy widzieć jedną naklejoną na drugą.

– to – ciągnie despotyczna osoba – podła postać. – szemrana, zdaje mi się, że gdzieś się z tym spotkałam, chyba nawet należało do mnie. chciałam, żeby tu wróciło, żeby odnalazło drogę. muszę przyjrzeć się uważniej. nic nie widzę, zupełna ciemność w głowie.

– nie. nie wydaje mi się. to ja ostatni raz widziałam to wyraźnie w swoim mieszkaniu. może bardziej smętne, bardziej zmartwione, trochę wyższe. myślałam, że mi się to przywidziało. czasami zdarza mi się widzieć w przedmiotach ludzkie i zwierzęce twarze. zwłaszcza w sękach, w drewnie, w boazerii. w ludziach też widzę ludzi. to nie zawsze przydatne. to czasem bolesne, koszmarnie. wolałabym przyczepić się do ściany, patrzeć. tylko patrzeć, jak twarze z przedmiotów. nigdy nic nie przeżyć. być pustą. pustą butelką, ścianą, nówką. nigdy nie chciałam być samotna, dlatego zbudowałam swój domek na kurzej nóżce, piękny dom z drewna. mogłam rozmawiać w nim z wyimaginowanymi postaciami z sęków, z moimi przyjaciółmi. zdaje mi się, że może tam to wtedy widziałam. podobny obraz, podobne oczy i ta twarz, zupełnie smutna – mówi druga osoba.

wszyscy wpadają w stan niepokoju, napływają na nich uczucia, o których dawno już zapomnieli.

cisza.

ja-drzewo-koń szeleści swoim węzełkiem, chyba wyjmuję z niego jabłko czy coś podobnego. wszystkich to drażni, bo w takiej ciszy szelest węzełka zagarnia całą przestrzeń. gapią się z niesmakiem na szparę w drzwiach.

może wyjmuję figurki figurki

figurki z drzewem figurki z koniem figurki z tobą

chodzi sobie twoją figurką tobą zagląda ci w oczy

wrzuci twoją figurkę do środka torby i znikasz

nie ma cię

wrzuci cię na ulice i stoisz na ulicy

śłuchaj

szeleszczenie odbiera nam mowę, szeleszczenie robi nam z igły
widły w głowie.

Ewelina Figarska:

widok 1

trzeba zacząć od tego, że poznajemy nasze postaci. osoba-kret nie jest osobą-kretem. tak przynajmniej sądzi osoba-kret. wielka macierz rodzi wielkie słońce, ale nikomu o tym nie mówi, tylko zaszywa sobie srom. chłopak-lornetka chce jej pomóc posklejać słońce, ale najpierw sprawdza szczegółowo, czy z seksu nici. despotyczna osoba włożyła sobie jajo w serce i spadła jej na głowę kropla z opowieścią o wyrwie. muszki mówią, że wszystko jest o miłości. ale my nie słuchamy.

widok 2

kobieta z wyrwą w sercu coś sobie uświadamia, o czymś sobie przypomina. chłopak-lornetka składa z potłuczonego słońca poród, nieskończony ból trzewi. osoba-kret nadal dzwoni, a może dzwoni już tylko w uszach. ja-drzewo-koń i brzydkie kaczątko to rozbitkowie na dnie tej historii. muszki owocówki mówią, że to tylko jabłuszko.

widok 3

postaci opowiadają nam o swoim zagubieniu, zgubieniu. o zniknięciu ludzi z planety. muszki owocówki mówią, że to naprawdę naiwna historia.

widok 4

to historia o końcu, to ona nas zbliża. na płaszczyźnie obrazu zostają już tylko powidoki historii, fragmenty elewacji, fragmenty struktury utworu. skończyli się ludzie, skończyły się wszystkie zwierzęta. nie ma już żadnych muszek. ktoś robi dla ciebie kakao, idź spać.

to nie jest opowieść o lęku i starości. o lęku przed samotnością, o lęku przed końcem, to nie jest opowieść o znikaniu, to nie jest opowieść o zanikaniu, zgubieniu, zagubieniu. to nie jest opowieść o zawiedzeniu, o tym, że kiedy słońce wstaje, to powstaje potencjalnie nowa historia, od nowa i w koło, w koło. to nie jest opowieść o mięsie, o mrówkach, o dziewczynach, o osobach, o zwierzętach, o muchach i koniach, o kretach i jajach to nie jest opowieść o miłości, o zniknięciu ludzi z planety, to nie jest żadna opowieść. to tylko obrazek, wyliniały obrazek na dnie wersalki, leży i leży, linieje i linieje, na dnie naszych zamkniętych powiek. to tylko mała wyrwa w sercu, kropla na suficie, to tylko śnieg, tylko śnieg, śnieg.

Teksty wyróżnione

Ada Tymińska

Urzeczenie


Paweł Goźliński:

Jakim głosem mówić powinien nieludzki narrator? Jak zapisać opowieść podmiotu, którym nie jest „ja”? Dużo eksperymentów w tym obszarze się dzieje, ten podjęty przez Adę Tymińską zapowiada się niezwykle udanie. Choć powieść jeszcze nie jest ukończona, jedno można o niej napisać już na pewno: autorka znalazła w niej głos, a właściwie głosy, które fascynują i uwodzą. Książka ma trzy bohaterki, z których każda ma swój własny, unikalny język: rzekę (Wisłę), ostatnią wiślaną syrenę i dziewczynę, którą łączy z rzeką (i syreną) niebezpieczna więź.

Powieść Ady Tymińskiej jest eksperymentem, ale jednocześnie nie rozplywają się w niej mocne zarysy postaci, dobrze skomponowana narracja, przemyślana konstrukcja. Mamy więc z jednej strony wędrówkę w poszukiwaniu języka, którym rzeka próbuje opowiedzieć swoją „naturę”, z drugiej „klasyczną” opowieść o zagadce tożsamości, oszustwach pamięci i stracie.

Filip Modrzejewski:

Styl w prozie Ady Tymińskiej to mocny element, przywodzi na myśl dzikie i bogate w formy koryta Wisły. A w *Urzeczeniu* są rozmaite gatunki: i baśń, i dialog opowiadający historię, pojawiają się także prywatne śledztwo i rzeczna podróż, i topielcy, powódź, flisactwo i wiele innych rzeczy. Wszystko solidnie zaplecione, dają głowę. Nie wiedziałem, poza wszystkim, że gałęzie mogą dryfować słodkosennie, do podziwu to! I dodam z mocą, że fabuła *Urzeczenia* nie ma nic wspólnego z modą na rzeki i zalewem motywów fluwialnych. To zupełnie inna bajka, na dobrą sprawę moja.



Ada Tymińska

Urzeczenie

Fragment: *Głębin*

Płock: 632. kilometr Wisły

Zanim Paweł zdążył na dobre się rozpakować, Łucja dopadła go z propozycją spaceru. Osaczyła, można by powiedzieć – gdyby nie to, że nie było wcale pewne, kto miał przewagę. Czy on z tym jego warkliwym samochodem, który pozwalał mu po prostu przyjechać, naruszyć niepisany mir samotniczego wypadu do rodzinnego domu? Czy ona zaczajona na niego na kuchennym krześle z wysnutym tam planem zagarnięcia terytorium dyskusji dla siebie? Musiała przestać myśleć w takich kategoriach, jeśli nadal mieli być razem, przeszło jej przez głowę. Musiała przestać, ale może zacznie od jutra – może zacznie za parę godzin, byle jeszcze to jedno, to ostatnie, już naprawdę, naprawdę ostatnie wygarnąć.

Nie chciała rozmawiać w mieszkaniu. Choć mama zdążyła już wyjść do pracy, grunt nadal nie był neutralny. Za dużo dawnych Łucji i Marlen spoglądało ze ścian, gotowych włączyć się w dyskusję. Odpryski dawnych smutków, ścieki niedoczyszczonych lęków zanieczyściłyby to, co miało być w jej zamierzeniu czyste, rwące i gwałtowne.

To, co miało nareszcie wszystko doczyścić, a nie nanieść nowe warstwy mułu i martwych roślin. Za długo trwałoby czekanie na czarnoziem.

Ubrali się pospieszenie, wymienili nierzetelne raporty z przeżyć poprzedniego dnia. Uznała to za mierzenie się wzrokiem. Za badanie butem mokradła w starorzeczu – gdzie by tu stąpnąć, aby przejść bezpiecznie do siebie, a nie dać się wessać w ciemne i duszące. Albo chociaż gdzie by tu stąpnąć, aby zaryzykować utratą tylko kalosza, a nie tchu i życia.

Na spacer udali się nad rzekę. Naturalnie. Podrzuciła pomysł odwiedzenia kamienicy na Rybakach, w której mieszkali jej dziadkowie. Paweł na to przystał. Wydawał się podekscytowany, choć przecież wiedział – musiał wiedzieć – że w tym układzie to on jest wędrowcem, a ona bagnetem, nie inaczej, i tylko czeka, żeby go wściekle wciągnąć.

Ścieżka, po której szli, biegła wśród traw wzdłuż brzegu Wisły w kierunku starego żeliwnego mostu. Kilkadziesiąt metrów dalej wydeptana dróżka przechodziła w nowe, szczerzące się kostką Bauma bulwary. Ale tu było jeszcze po staremu. Ubocznie, zdziczałe. Tak jej bardziej pasowało. Dłonie wbiła w kieszenie płaszcza. To tam, w ukryciu, zbie-

rała siły. Szukała odpowiedniego momentu, ale kiedy nie znalazła go między skasowanymi biletami i wyswiechtanymi od miętołenia chusteczkami, po prostu zaczęła:

– Czemu tu przyjechałeś? – zapytała, unikając jego wzroku.

– Co?

– No nie udawaj, że nie rozumiesz. Pytam, dlaczego tu przyjechałeś.

– Żeby z tobą pobyc? Bo mogłem? Nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

Wydawał się autentycznie zaskoczony.

– Sprawdzasz mnie?

– Boże, Łucja. Coś ty znowu wymyśliła? Przyjechałem, bo wziąłem urlop na żądanie, żeby przedłużyć sobie weekend, który i tak chciałem spędzić z tobą. Koniec. W czym miałbym cię sprawdzać? Co to w ogóle znaczy?

Popatrzyła na niego. Jasne oczy spłoszonego jazia wyglądały wiarygodnie. Jakby rzeczywiście nie rozumiał. Albo jakby właśnie złapała go w sieć.

– No przecież to było jasne, że chciałam być tutaj sama. Pogmerać w sprawie. Ale i poukładać sobie w głowie. Na przyszłość. To było naprawdę oczywiste. A ty udajesz zaskoczonego i wyjeżdżasz z jakimś weekendem, no cholera jasna – syknęła, zbulgotała niezadowolona. Miało być czysto, rwąco i gwałtownie, a zamiast tego grzęzli w starorzeczu. – Serio, jeśli takich rzeczy nie rozumiesz, to nie wiem, naprawdę nie wiem...

– Może bym to zrozumiał, gdybyś mi powiedziała. Wprost.

– Mhm, jasne.

– Naprawdę. Nigdy nie wspomniałaś o tym, że chcesz tu być sama. Nigdy. Nawet słowem. Skąd ja miałem wiedzieć?! Co ty sądzisz, że będę ci czytał w myślach?

Prychnęła. Paweł coś jeszcze mówił, ale ona odwróciła wzrok. Czekwała, aż ucichnie. Musiała przesiać sobie na nowo słowa. To, co miała mu do powiedzenia. Czy jeszcze cokolwiek. Sztorm między nimi rozlewał się szerokimi chmurzyskami. Tak, że słońce, którego powrót jeszcze wczoraj wydawał się realny, teraz stało się odległym wspomnieniem, o którym nie warto nawet myśleć, kiedy trzeba ratować dach i dobytek przed wichurą.

Starła się szukać oparcia dla wzroku w rzece. Przecież znały się od dziecka.

Pierwszym, co zobaczyła, był kapelusz.

Wybił ją ze wścieklej pogoni za kolejnymi pretensjami. Dziwny widok. Mało kto już takie nosił. Zwłaszcza, że był dopiero początek marca, a w powietrzu czuć było jeszcze zimowy chłód. Pogoda na naciąganie mocniej czapki, a nie żadne tam kapelusze. Od Wisły wiał nieprzyjemny, lodowiejący wiatr. Jak to w Płocku.

Chwilę jej zajęło, zanim zorientowała się, że to nie kapelusz był najdziwniejszym elementem tej sytuacji.

– Paweł!

– Co znowu?

– Tam w wodzie stoi człowiek!

Szarpnęła Pawła. On, dotychczas uparcie wpatrzony w ścieżkę, pod nogi, odwrócił się wreszcie ku rzece.

Mężczyzna – bo to chyba był mężczyzna, przynajmniej tak jej się wydawało – stał kilka, może kilkanaście metrów od brzegu. W wodzie. Był już zanurzony do połowy klatki piersiowej. W zimnej marcowej wodzie rzecznej. Ze ścieżki widziała tylko jego kapelusz, czarny, z szerokim rondem. I plecy szarego wełnianego płaszcza. Ciemnego. Ciemna, ciemniejąca plama na tle ogólnej szarzyzny pozbawionej barw rzeki. Jak porzucony filar zerwanego mostu, niewzruszony. Niewzruszony, ale to tylko pozór. Bo jeszcze chwila. Jeszcze tylko chwila i woda już, już wypłucze spod niego grunt. I dalej, dalej go pociągnie. Ze sobą. Ku morzu.

Na ląd wyszarpał ją głos Pawła.

– Myślisz, że powinniśmy coś zrobić? Jakoś pomóc? – Był zaniepokojony.

– Pewnie tak. Nie wiem.

Potała policzki. Dopiero teraz poczuła, że jest zimno. Że ubierając się w pośpiechu, zapomniała swetra. Zadrżała, ale zaraz zebrała się, żeby zaproponować:

– Może z nim porozmawiamy?

– Porozmawiamy? – powtórzył.

A do niej wróciła fala frustracji, że znowu tak mozolnie łączył kropki.

– No. Może trzeba z nim porozmawiać. Przekonać, żeby wyszedł czy coś.

Paweł zmarszczył brwi.

– Nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł. W końcu od rozmów z... no wiesz, ludźmi w kryzysie, czy jak to powiedzieć, są specjaliści. Tylko byśmy namieszali, chyba.

Oboje zamilkli. Obracali w głowach swoje pomysły, bilanse chęci i niechęci do podejmowania działania. A na pewno Łucja, bo ze skupionej twarzy Pawła mało co dawało się odczytać. Rozejrzała się. Unikała wzrokiem rzeki, żeby się nie zagapić – żeby nie dać się wciągnąć. Miała nadzieję, że wypatrzy jakiegoś innego przechodnia. Kogoś, kto ich z tego impasu wybawi. Czuli się głupio. Nikt ich nie uczył, co robić w takich sytuacjach. A przecież zza drzew słyszała auta przejeżdżające ulicą Kaweckiego. Ten mężczyzna nie był daleko od brzegu. Na dobrą sprawę nawet z samochodu ktoś by mógł go zauważyć, zatrzymać się, pomóc.

W końcu Paweł zmącił zawieszistą od rozpełzanego rzeczno szumu ciszę.

– Może to nie jest to, co myślimy? Może to nie jest samobójca.

– Tylko co? Zagubiony mors? Paweł, serio, posłuchaj siebie.

Emocje zwijały się w niej, międliły i nie sposób było rozdzielić ich kluczem tego, czego dotyczą. Wir granatowiał.

– Możesz się ode mnie odwalić?! Mówię tylko, co mi się wydaje. Zresztą od rana jesteś jakaś nie do życia. – Wir granatowiał i owijał się także wokół kostek Pawła. – Na dobrą sprawę skąd wiesz, że to w ogóle jest człowiek? A nie jakiś, no nie wiem, manekin? Nawet się nie ruszył, od kiedy tu stoimy, nawet nie drgnął z zimna. To nienormalne.

Wzruszyła ramionami. Nie chciała słuchać Pawła, ale i po jej głowie krążyła myśl, że powinna o tym zapomnieć. Pójść dalej, przed siebie. I pod żadnym pozorem się nie oglądać. Uznać to za żart, manekina albo wzrokowy omam. To łatwe.

A jednak jej wzrok przyciągnęła woda. Rzeka. Delikatne marszczenia tafli. Wyglądały jak poruszone tektonicznym drganiem pasma górskie – tylko że w znacznym przyspieszeniu, jak w filmie dokumentalnym.

*

Pierwsze, co dostrzega.

Że ciemne.

Ciemne, ciemne jak muł Nie. Nie jak muł, więcej.

Z mułu wystaje. Całe wystaje i umaszczenie wystaje. Ciemne ciemniejsze. Czarne. Czarne jak... Czarne jak zgniłe jak martwe, od dawna Od bardzo dawna martwe. Ale węższy. Węższy wodę wokół i nie Niemartwe. To znaczy martwe i martwe od dawna. Ale inaczej. Bez woni Bez Życia zupełnie. Nawet bez Rozkładu. Martwy niezgniłek.

To skóra. Ale martwa skóra z martwego Od dawna umartwiona.
A mimo to nie rozpadła. A mimo to niewonna Nie pachnie Rozkładem.
Nie pachnie uciekającym Życiem z jednego w inne.

Przyglądać się bliżej płynąć podpłynąć.

To to jest jak coś coś jej przypomina. Kształt Kształt jej coś przypomi-
na. Zna. Skąd?

But. Tak to się mówi.

Skąd to się zroiło w jej głowie?

Czarny but duży but. Wystaje z mułu z piachu ale Niewzruszony nie
ucieka. I nie jeden. Nie jeden to znaczy? Dwa.

Dziwne dziwne okraszone piachem buty w mule.

Dziwne więcej, bo nie puste. Nie puste buty ale Buty pełne ciała. To
jest to gdzie powinien być ogon. Gdzie powinien być ogon a są... nogi.
Z czyjego ciała bezogonio rosną nogi...?

Człowiek.

Dziwne jeszcze więcej przecież zimno. Nie dla ludzi woda gdy zimno
rzadko dla ludzi woda gdy zimno. Dla niej nawet zimno aż musi pocie-
rać ogon tak zimno taki ziąb.

Dziwne dziwne.

Przyglądać się w górę no już. Już niepewnie się przygląda. Niepew-
nie bo człowiek nie zawsze miły czasem chce wyszarpać takie jak ona.
Zdrzeć łuski z ogona przenieść do siebie włąb gdzie suche gdzie nie
ma Życia Dla niej na pewno nie.

Łaskocze ją coś Włosy ją łaskoczą w szyję. Odgarnia i gdy odgarnia to
dłoń wprzęga się w nurt mocniej. Myśli nurt myśli krople myśli kropli
pośpiech w dół myśli ku Ujściu. Myśli nie tylko krople Jeszcze drobi-
ny ciał jeszcze drobne ciała wszystkie razem splecione w pośpiechu
w dół Ale zawsze wracają.

Chciała By jej szepla kropla by jej szepla Rzeka co to człowiek i Czemu
człowiek w wodzie? No szepnij szepnijże Rzeko-Rzeczuko-Rzeczajko
kochana Ale ona nic Ciemność ciemność ale taka bez głosu. Cisza.

Hejże Rzeko-Rzeczuko-Rzeczajko no powiedz szepnijże coś!

Cisza.

Czemu człowiek tutaj Ona tego nie rozumie jej nie jest wiadomo.

Przecież ziąb wyziębi się wyziębi całkiem i wtedy może i nawet Życie
ucieknie.

A temu to nic ten na to niewzruszony Na coś może czeka. Może czeka że mu muł oplecie te nogi i zrosnie się i będzie jednym ciałem z ciałem mułu z ciałem Rzeki. Dziwne jak u człowieka.

Albo i wcale nie dziwne Bo i dla niej nie ma przyjemność nad wrosnięcie wplecenie się w nurt Nad splecenie się zrosnięcie z ciałem Rzeki. Może dla niego też Może mu trzeba pomóc.

Hejże Rzeko-Rzeczuko-Rzeczajko trzeba mu pomóc się wpleść?

W głębinie ciągnąć zaciągnąć dalej ku piachom i kamieniom? Więcej – ucałować mocno mocniej się nie da i napełnić mu usta i nie tylko usta ale i całe płuca ale i całe ciało wodą do utraty Życia-dechu? By nie uciekł by nie wzruszył go szybko kaprys powrotu na Brzeg powrotu w Dolinę.

Cisza Cisza Cisza.

Patrzy w górę Wiatr targa wierzchem taflą Jest poruszony.

*

Poruszył się? Tak, chyba tak. Była niemal pewna, że stał już nieco dalej niż przed chwilą. Nieco głębiej. Albo może i nie. Może się jej przywidziało. Może mu się przyglądała zanadto, za długo się gapiała. A może to ruch rzeki jej się wsączył w oczy, we wzrok, i chwycił także tego mężczyznę ze sobą, w dół. Bo przecież wszystko wokół, wszystko nad rzeką pędziło poruszone. Szarości, brązy, żółcie i zielenie.

– Dobra, wiesz co, ja dzwonię na straż miejską.

Znowu Paweł. Niezawodny w szarpaniu jej ku lądowi.

– Na straż miejską? No co ty, przecież sam wiesz, jakie są służby.

– A masz jakiś lepszy pomysł?

– Tak. Możemy z nim porozmawiać.

– No to proszę bardzo, czemu tu jeszcze stoisz?!

W kieszeni prawie już roztarła ostatnią z chusteczek na wiór. Szczepki lepiły jej się teraz do koniuszków palców i środka dłoni. Oblepiały linię życia. Prawda była taka, że nie chciała podchodzić do wody. Że się bała. Że nawet spojrzenie, choć na początku zdawało się uspokajające, koić, na dłuższą metę mamiło. Że popłynąć na kępę to znaczy umrzeć. Ale nie mogła mu tego powiedzieć. To było głupie i irracjonalne. Takie rzeczy nie przystoją dorosłym.

– Słuchaj, Łucja – zaczął nieco spokojniej, koncyliacyjnie. – Wiem, co

o tym myślisz. Ale służby mają ludzi do takich rzeczy. Jakiegoś psychologa, mediatora, no nie wiem.

– Nie ma mowy. Tylko go nastraszą, o ile nie odwalą czegoś jeszcze gorszego. Albo w ogóle nas oleją.

– Oleją, nie oleją. Warto spróbować.

– Nie no, jasne. Żeby zakuli go w kajdanki i zabrali na dołek?

– Przecież mówię, że zadzwonię na straż miejską. Albo straż pożarną. A nie na policję, na litość boską – westchnął ciężko. – Zresztą akurat mnie nie powinnaś o tym pouczać.

Rzeczywiście trochę pożałowała uderzenia go w czoło, w bolące. Zamilkła na chwilę, a Paweł to wykorzystał, podchwycił powietrze.

– Odsuć, okej? Zostawimy to straży. Oni się tym zajmą, a my wrócimy spokojnie do domu. Albo pójdziemy dalej na spacer i porozmawiamy. O czym tylko będziesz chciała. Dobra? – Popatrzył na nią wyczekująco. Wydał jej się naprawdę zmęczony. Nie chciała mu tego robić, ale było za późno.

– Nie. Musimy najpierw z nim porozmawiać. Jeśli nie chcesz tego robić, proszę bardzo. Ja idę.

– Łucja, co do cholery w ciebie wstąpiło?

– Nic. To zawsze tam było – powiedziała bardzo spokojnym tonem.

Zmarszczył brwi zaskoczony tą deklaracją istnienia innego porządku.

– Jak chcesz. I tak idę zadzwonić, a ty możesz sobie w międzyczasie próbować z nim porozmawiać. Tylko, o matko, muszę ochłonać.

Dobre sobie, on musi ochłonać. Łucja nieomal parsknęła śmiechem. Ale to nie teraz. Wciągnęła mocno chłodne, już nie zimowe, ale jeszcze nie wiosenne powietrze.

Spojrzała na mężczyznę w wodzie. W rzece.

Dawniej rzeka często przynosiła jej ze swoim nurtem złe myśli, dziwne myśli, zakolaste, zanieczyszczone. Tak. Miała tak od dzieciństwa. Ale mniej więcej wtedy, kiedy zesła się z Pawłem, zaczęło wydawać się, że będzie lepiej. Że to tylko jakieś przydługie trwanie pulsu dzieciennych wspomnień. Które odpływa. O, już odpłynęło. Wydawało się. To się tak tylko wydawało, że odeszło na dobre. Bo przyspieszony bieg krwi podpowiadał, że właśnie wracało. To dlatego, że między nimi się popsulo? Że nie wiadomo, czy uda się to naprawić i czy warto? A może z zupełnie innego powodu?

To minie. To chyba minie. To musi minąć. To tylko na chwilę, powinięta noga. Wróciło do niej poczucie, jakby miała się rozpaść. Pęknać jak lód

pod nieostrożnym krokiem pierzchającego zwierzęcia. A co się dzieje, kiedy łód pęka? Co się wtedy dzieje ze zwierzęciem?

Jak to co? Topi się.

Że złe myśli wróciły, poznała po tym, że znowu zaczęła się zastanawiać nad tym, czy trudno jest się utopić. Raz zapytała o to nawet Pawła. Wynętrzyła się spodem – podszyciem na wierzch. A on w zamian wygłosił autorytatywny, suchy osąd, że „no jasne, że tak. Woda bywa bardzo niebezpieczna. Dlatego to taka głupota, żeby pływać poza kąpieliskami. I to jeszcze po alkoholu”. Czyli łatwo. Jego zdaniem. Bo ona uważała, że wręcz przeciwnie. Że w gruncie rzeczy trudno jest utonąć. A jeśli już to się wydarza, to dzieje się tak przez dziką wolę wody. I nie da się tego uniknąć. Rzeka decyduje się coś wciągnąć i już. A może i coś wyciągnąć – skrywane zmęczenie lub smutek.

To się stało latem. Ciężkim, gęstym i suchym. To się stało latem, ale mogło wydarzyć się też w grudniu. To się stało w środku dnia, ale mogło wydarzyć się też w środku nocy.

Czy jest różnica między topieniem się a tonięciem?

Z trudem spuściła wzrok na czubki butów. Czuła, że na policzki wypełzało jej ciepłe i czerwone. Że płynęło w niej czyste, rwące i gwałtowne. Nie mogła tyle patrzeć w rzekę. Nie dziś. Musiała krzyczeć, nie patrząc na mężczyznę, unikać wzrokiem wody. Dobrze, że i tak stał tyłem.

– Halo! Halo! – krzyknęła.

Głos odbił się od tafli i jak kaczka rozproszył w nawodnych drganiach.

Cisza.

– Proszę pana! Halo!

Nie wiedziała, co się krzyczy w takich sytuacjach. Czy cokolwiek. Nikt ich tego nie uczył. A może powinien był.

Spróbowała jeszcze z „halo”, próbowała z „proszę pana”. To wszystko wydawało jej się głupie, jakieś formalne, zupełnie nie z tego porządku. Powinna była zaśpiewać. Zaśpiewać? Głupia myśl, zła myśl. Krzyknęła jeszcze raz. Cisza. Pewnie trzeba głośniej. On prawdopodobnie jej nie usłyszał. Krzyknęła głośniej. Nadal cisza. Krzyknęła kolejny raz, potem jeszcze kolejny. Cisza, cisza, cisza.

Paweł miał rację, to było bez sensu. Zaraz i tak przyjadą służby. Nie ma co.

Nagle w jej głowie pojawiła się jednak inna myśl. Jasna, czysta, nie do odparcia. Nie do odrzucenia. Trzeba wejść do rzeki.

* Cisza Cisza Cisza.

Rzeka. Już nie Rzeczułka wcale nie Rzeczejka kapryśna nielitościwa
Rzeka nic nic a nic nie chce szepnąć. A to Rzczysko Rzczysko kałamutne Tfu!

Myśli co robić co człowiek czemu człowiek i co z nim Nie będzie tak
czekać i czekać przecież.

Cisza.

Ale wydaje jej się że Poruszenie w bucie! Tak na pewno na pewno do
przodu. But Buty choć nadal ugrzęzłe to na pewno poruszone bo one
poruszone i woda poruszona i bąble poruszone ileż ich się tam kręci
tańcuje wiruje wokół.

Albo i nieporuszone Buty nieporuszone. Bo bąble na pewno tak bo
bąble roztańczone ale to może przypadek może jakiś sekrecik nurtu
mały wir wirczek wirczek i Już go nie ma.

Myśli co robić co robić.

Hejże Rzeko-Rzczysko Tfu tak nie można. Tak o Rzece nie można.

A może Hejże Siostry-Siostrzyczki? Hejże Siostry-Siostrzyczki.

Ale od nich też cisza Znowu cisza i Cisza. Cisza szpetna Cisza kałamutna.

Nie myśli o tym Nie myśli o tym teraz! bo jak tak myśli o tej ciszy To
jest jak palce na szyi jak zacisk. Jak alga złota alga w nozdrzu w gębie
w ciałoogonie. Muł dusi i dławi.

Nie myśli! Nie o tym! Człowiek To ważne, co z nim robić To ważne! inne
potem.

Ale wie przecież wie co robić.

Takie jak ona wiedzą Takie jak ona wiedzą że jak człowiek zwłaszcza
jak sam człowiek jeden jedniutki się w wodę zapuści, to Oj, nie leż
w wodę, nie utoniesz.

Bo takie jak ona wiedzą jak człowiek sam jeden jedniutki w wodę
wchodzi co robić.

Co? No jak to co? No jak to co Czego jeszcze pyta.

Utopić!

Takie jak ona wiedzą że jak człowiek sam jeden jedniutki w wodę
wchodzi to nic tylko go utopić na dno zawlec i on potem potem potem.
Potem co? Coś potem Coś na pewno na pewno wie coś potem. Tylko co.

Nieważne! Człowiek To ważne, by schwycić go na dno zaciągnąć To

ważne! inne potem Z tym Schwytańcem się rozliczy zobaczy co ze Schwytańcem potem.

Utopić zaciągnąć w głębinę tak o, po prostu nawet bez duszenia nawet bez kuszenia śpiewami. To za długo nie ma na to siły ochoty też. Oplecie go ogonem i dalej i włąb ku dnu i dalej i dalej!

Buzuje jej w głowie wściekle Żywe rozpanoszone. Dobrze niech buzuje wściekle niech się panoszy!

Słyszy kropla w nurcie – słyszy jakby jej ta Kropla w nurcie szeptała że tak tak utopić to trzeba! Ach Rzeko-Rzeczulko-Rzeczajko jednak jesteś jednak szepcesz, jakże dobrze cię słyszeć! Wcale nie kałamutna niedobrze niedobrze że zwątpiła w Rzekę tak nie wolno Tfu!

Płynąć byle bliżej byle tylko bliżej płynąć. Dziwi ją Że człowiek nie widzi jej poruszenia nie widzi błysku łusek nie widzi co z nim? Nie myśli nie myśli o tym teraz – teraz by go wciągnąć to ważne, inne potem.

Wtem! Chlupot! Chlupot chlupot chlupot – nie cisza już ale Chlupot I bąble rój bąbli ławica bąbli skąd one.

To ludzie to kolejni ludzie skąd oni? Skąd kolejne nogi?

Nieruchomieje nie ma jej. Pętli się jej w brzuchu bo jak ludzi dużo to zawsze niedobrze niedobrze dla takich jak ona. Bo ludzie nie zawsze mili czasem chcą wyszarpać takie jak ona. Zedrzyć łuski z ogona przenieść do siebie włąb gdzie suche gdzie nie ma Życia dla niej na pewno nie.

Pętli się pętli Ale już wściekle za bardzo rozpanoszone by nieruchomieć.

Ona im pokaże!

Ona go zaciągnie!

Oj, zaciągnie go bo Nie leż w wodę, nie utoniesz! trzeba by ludzie to pamiętali. Trzeba by tego nie zapomnieli.

*

Wejść do rzeki. Tak jej szepnęło. Szepnęło jej to nadwodne echo, echo po rosie.

Tak, Łucja już to wiedziała. Musiała wejść do rzeki. Koniecznie. Nie było innej drogi. Tylko taka, by się zanurzyć. Tylko taka, by wejść, wejść głębiej, w głębiej, w toń. To oczywiste. Stała na brzegu, na skraju utwardzonego, oblanego betonem, jeżorem betonu brzegu. Stała i wiedziała. Że się musi z niego zsunąć w dół. Wprost do rzeki.

Na nic były jej krzyki. Na nic nawoływania. To był suchy głos z suchego gardła.

Musiła tam wejść. Wejść do rzeki i... i... uratować go?

Pewnie gdyby ktoś – jakiś człowiek – ją o to zapytał, co chciała zrobić, to odpowiedziałaby, że go uratować. Ale prawdę mówiąc, dla niej samej to, co było po „wejść do rzeki”, po „i”, przestało mieć znaczenie. Zamazywało się.

Wejść, wsunąć się, wnikać. Głębiej, w głębie, w toń.

Huczy jej w głowie, huczy, mogłaby przysiąc, że słyszy w tym melodię. Że to melodia ją woła.

Wejść, wsunąć się, wnikać. Głębiej, w głębie, w toń. To jest jak refren.

Krok do przodu i jest. I już jest na nadbrzeżnym, na stromym. Noga się potyka się potknęła Ale to nieważne to.

Nagle czuje ścisk ucisk na nadgarstku. Pali. Jakby palił suchym, suchszym, wysuszonym.

– Co ty do cholery jasnej wyprawiasz?!

Paweł. Spojrzała na niego i aż zamruwała. Obraz przed oczami jej kołował, migotał różnobarwnymi plamami. Rozszalałymi archipelagami plam. Jednak im dłużej wpatrywała się w twarz Pawła okoloną zielenią nadbrzeża, z zielenią drzew i krzewów w tle, tym bardziej wracała do stałych barw i kształtów. Byle się nie odwracać, byle nie w wodę.

– Łucja, Łucja?! Co się dzieje?

– Nic, już nic. Przepraszam, chciałam się tylko do niego zbliżyć. W sensie, do tego faceta. Chyba nie słyszał mnie z brzegu.

– Zwariowałaś?! Mogłaś wpaść do wody! – Paweł westchnął ciężko. Po chwili wahania przytulił ją, a ona mu pozwoliła. – No ale nieważne. Już nieważne, zaraz i tak tu będą.

I rzeczywiście, nie minęła minuta, a ciszę przerwał pomruk parkującego samochodu. Zza krzaków wyłonili się dwaj strażnicy miejscy. Coś miała ostatnio szczęście do mundurowych.

– Straż miejska, to pan dzwonił?

– Tak, to ja, Paweł Strzelecki. Jesteśmy tu z moją narzeczoną od jakichś dziesięciu, no może piętnastu minut, a on, a ten mężczyzna nawet się nie ruszył.

– No jasne, jasne. To już wiemy. Ale do rzeczy, proszę pana. To jest ten facet? – zapytał strażnik, wskazując na mężczyznę w rzece.

Łucji było nieswojo, bo zwracał się tylko do Pawła. Ale może to i lepiej. Mogła się trochę uspokoić. Drugi strażnik nie odzywał się do żadnego z nich. Stał obok i notował, maksymalnie skupiony na swoim zadaniu.

– Tak, to o niego chodzi. Nawet próbowaliśmy do niego krzyczeć, znaczy narzeczona próbowała, a on...

– Dobra, to na później. A co, zna go pan?

– Nie, ja nawet nie jestem stąd.

– A pani?

Łucja pokręciła głową. Instynktownie ścisnęła Pawła za rękę. Była chłodna, kiedy odwzajemnił uścisk, oplatając palce wokół jej dłoni.

– Skoro tak, to proszę bardzo, mogą państwo sobie iść. Kolega z dyspozytorni już nam podał pana dane. Będziemy dzwonić, jeśli będzie potrzeba.

– I nie trzeba panom pomóc?

– Nie, proszę pana. My tu sobie już poradzimy z kolegą.

– Rozumiem. – Ton Pawła przypominał ucznia tłumaczącego się z braku pracy domowej. – Ale – zawahał się – wezwą panowie jakąś pomoc, prawda? Z nim chyba trzeba porozmawiać, może dobrze, żeby to zrobił jakiś specjalista.

Słodki, naiwny Paweł. Nie wiedziała, czy bardziej ją to rozczulało, czy irytowało. Zachowywał się, jakby zupełnie nic a nic nie rozumiał.

– Proszę pana, my tu sobie poradzimy – powtórzył strażnik wolniej. – Mamy doświadczenie z takimi przypadkami. A teraz proszę już iść.

Ścisnęła mocniej dłoń Pawła i lekko go pociągnęła. Nie chciała już stać tu i dawać się mamieć bezwstydnej rzece. Każde z ukradkowych nawet zerknięcie Łucji przyklejało się do tafli. Jak ciepły wosk do skóry. Taki później ciężko oderwać. To później boli, kiedy się go odrywa. Czuła, że jeszcze chwila i znowu narosną w niej złe myśli, dziwne myśli, zakolaśte, zanieczyszczone.

Paweł zrozumiał sygnał. Ruszyli ku Rybakom. Szli szybkim krokiem, obydwój milczeli. Łucja starała się skupiać wzrok na ścieżce. Dopiero gdy mijali most, rzuciła szybkie spojrzenie za siebie. Strażnicy rozchlapywali właśnie wodę. Chaotycznie, bez żadnej dbałości o ruchy burzyli bezmyślnie spokój tafli. Na pierwszy rzut oka widać było, że rozmawiać z nikim raczej nie zamierzali. Zadrżała i znowu wbiła wzrok przed siebie, w ścieżkę. Chciałaby wrócić już do domu.

I jeszcze ta melodia. Szumiała jej w głowie, od kiedy ruszyli. Albo i wcześniej.

Jakby wychwyciła ją z rzecznego wiatru, jakby ją echo nadwodne podszepetywało.

*

Chcą jej go zabrać! ciemni ludzie chytry ludzie zawsze ludzie ludzie ludzie chcą jej zabrać Schwytańca sami go pochwycić.

Tfu! Niedoczekanie.

I jeszcze prują niedbale prują wierzch taflę niedbale Burzą ją Burzą wodę Tfu! I jeszcze dobry, lepki szum kropel zakłócają suchymi obrzydłymi głosami lepki, gęsty szum zakrzykują Tfu!

Wściekłe rozpanosza się bardziej Więcej się rozpanoszaj jeszcze jeszcze więcej więcej wściekłego niech ją niesie Niech ją nosi to wściekłe!

Hejże Rzeko-Rzeczulko-Rzeczajko daj jeszcze daj więcej wściekłego aby ją niosło aby ją nosiło wściekłe rozpanoszone.

To nie będzie trudne.

Byle chwycić byle tylko chwycić byle tylko za rękę chwycić Schwytańca byle go pociągnąć i byle tam dotrzeć gdzie nurt bystrzeje.

A tam już Rzeka sama resztę zrobi dokona sama dzieła.

Byle tylko chwycić Ale może nie za rękę może za nogę za nogę może i łatwiej.

Chwyta go za nogę za niską nogę za przy ziemi nogę za but Dobrze.

Ale już tam na górze ktoś – inny człowiek – go szarpie z góry, Już go szarpie z wody wyszarpuje.

Więc ona wszystkie siły zbiera Wszysciuchne, Wszystko co ma w sobie, co ma Wszystko Całe całe ciałoogon.

Na nic próżno tfu! Tamten Tamto silniejsze na nic próżno tfu z takim walczyć.

Ostatni raz spojrzeć w górę.

Widziała twarz Widziała twarz Schwytańca Już prawie Nieschwytańca

Widziała jego uśmiech i jego oczy W przeblysku. Widziała i Wiedziała i już Miała pewność Myśli Ma pewność Wie. On wróci. Do Rzeki wróci. Do Rzeki-Rzeczulki-Rzeczajki.

Więc ona puszcza niech ten inny się męczy. Dobrze mu tak, ona mu

tego nie powie że się wysiła na darmo, bo wróci Człowiek wróci. Ten pierwszy człowiek ten od butów Schwytaniec.

Ale ona nie odpływa nie jeszcze nie. Nie ma wiele czasu ale szybko ciągnie za węzyki węzyki co z butów zwisają jak pędy jak młode pędy wierzby nie ma pojęcia co to jest Nazywa to sobie to butopędzikiem. Ciągnie a te się rozplątują pod jej palcami.

I zaraz ten inny ten obcy ten intruz kończy. Kończy ich przeciągankę i niby wygrywa ale on nie wie nie wie a ona wie że to żadna, że to na darmo wygrana. Jakże jej do śmiechu.

Ale teraz trzeba jej uciekać umykać w głębinę niedostrzeżonej.

I tylko w rękach ściska zdobycz tylko przyciska do siebie co schwytane.

Duży czarny but.

*

Kiedy weszli do mieszkania, stało puste i ciche. Mama miała wrócić dopiero za kilka godzin. Łucja zaproponowała, że zanim usiądą do pracy, każde do swojego suchego od błękitnych świateł ekranu, mogą wypić razem herbatę z imbirami i miodem. Paweł się zgodził. Wyglądało na to, że uspokoił się już całkiem po porannej kłótni. Z kolei ta historia z mężczyzną w rzecce wydawała się niemal nierealna. Jakby nie miała prawa się wydarzyć – i jakby mogli ją łatwo wymazać jako nieprzystającą do świata, w którym osiedli.

Paweł zniknął w jej pokoju. Kiedy przyjechał, nie zdążył się nawet rozpakować, zanim wyszli na spacer. Łucja została sama w kuchni. Zauważyła, że za grubo pokroiła imbir. Nie mogła odmierzyć plasterków, kiedy trzęsły jej się dłonie.

Woda w czajniku gotowała się leniwie, a Łucja oparła ręce na blacie. Przypatrywała się niebieskawym żyłkom rozgałęziającym się pod skórą. Pod znamieniem na prawej dłoni były nieco mniej widoczne, zasnuwane brązem.

Nagle przed oczami zamigotały jej ciemne plamy, drżące, układające się w wiry i rozlewiska. Zobaczyła bardzo wyraźnie mężczyznę z rzeki. Najpierw kapelusz, a potem całą sylwetkę zlewającą się u dołu z taflą. Nie ruszał się, ale ona zbliżała się do niego. Czowała to samo zimno, przesywający chłód, lekkie muskanie prądu. Jej dłonie zaczęły drętwieć. Chociaż stała nieruchomo, czuła, że woda wspina się coraz wyżej. Już wznosi się ku brodzie, pochłaniając jej szyję. Wlewa się do ust i nozdrzy, odbiera jej oddech w piersiach. Jej oczy zasnuwają się mgłą. Zaraz jej nie będzie. Pochłonie ją toń po czubek głowy, a rzeka wedrze się do płuc, pochłonie ją także od środka. Choć trochę ją to przeraża, czuje

też ekscytację.

Łzy toczą się po policzkach.

– Wiesz, chyba trzeba skoczyć na zakupy, bo nie widzę nic, co moglibyśmy zrobić na ob... Łucja, co się stało?!

– Boję się, że utonę.

Ada Tymińska:

Łucja miała dziesięć lat, kiedy nieomal utonęła w Wiśle. Dwadzieścia lat później, kiedy życie ucieka jej spod nóg, widzi mężczyznę, który wchodzi do Rzeki bez powodu, wiedziony nieznanym instynktem. Takich przypadków jest coraz więcej. Powietrze wokół Łucji gęstnieje od melodii.

Syrena szuka zaginionych Sióstr. Ucieka przed myślą, że być może jest ostatnią wiślaną syreną.

Zapora włocławska przed niczym nie ucieka. Jest zbyt solidna, by porzucić swoje stanowisko pracy. W końcu ktoś musi wyrabiać normy.

Zbliża się powódź. Zbliża się susza. Jedno goni drugie. Zapora pęknie jak policzek opuchniętego topielca. A Syrena i Łucja spotkają się na łasze. Jednej z ostatnich.

A Rzeką płynie. I nuci swoje starodawne melodie.

Wisłę czeka przesilenie. Wielka powódź, po której nastąpi jeszcze większa susza. Rzeką nawodnym echem zaczyna wzywać do siebie ludzi, których chce ugościć na święcie wylewającej wody.

Łucja, trzydziestoletnia wnuczka marynarza wiślanego z Płocka i potomkini przewoźników rzecznych z Murzynowa, wraca do rodzinnego miasta, żeby uciec od zmartwień. Zajmuje ją rozwiązywanie tajemnic z przeszłości. Pewnego dnia widzi mężczyznę, który bez wyraźnego powodu wchodzi do Wisły. Wkrótce okazuje się, że takich historii jest więcej. Łucja zaczyna słyszeć melodię, echo nawodne. Coraz trudniej jest jej zgłębiać zagadkę urzeczeń i zarazem opierać się wołaniu Rzeki, które ciągnie ją do głębin.

Rozmytym przez nurt odbiciem Łucji jest Syrena, która kieruje się ku źródłom Rzeki – ku Białej i Czarnej Wisełce – aby odnaleźć swoje Siostry. U ujścia Sanu spotyka jednak niespodziewanego sojusznika. On zawraca ją do morza, do którego mogły podążać Siostry. Ale żeby to sprawdzić, muszą pokonać Zaporę we Włocławku.

Wzbiera fala powodzi. Łucja rusza w drogę. Trasę jej ucieczki wyznacza nurt, który kieruje ją na Kępę Dzikowską, gdzie czeka na nią rozwiązanie zagadki i wyczekiwane święto. W tym samym czasie Syrena ukrywa się. Fala dociera do Włocławka, a Zapora pęka. Rozmywa się w swojej wieloletniej towarzyszce, Rzece. Powódź porywa Łucję i Syrenę, które nareszcie się spotykają. Ale tylko jedna z nich będzie mogła przetrwać.

A Rzeką rozleje się na dolinę, choć nie wszyscy urzeczeni będą jej w tym towarzyszyć. Ich strata.

Co zostaje, gdy fala powodziowa opada, a wody wylewu wracają do koryta? Wizje możliwych przyszłości rzeki. Koniecznie w liczbie mnogiej.

Teksty wyróżnione

Martyna Wawrzyniak

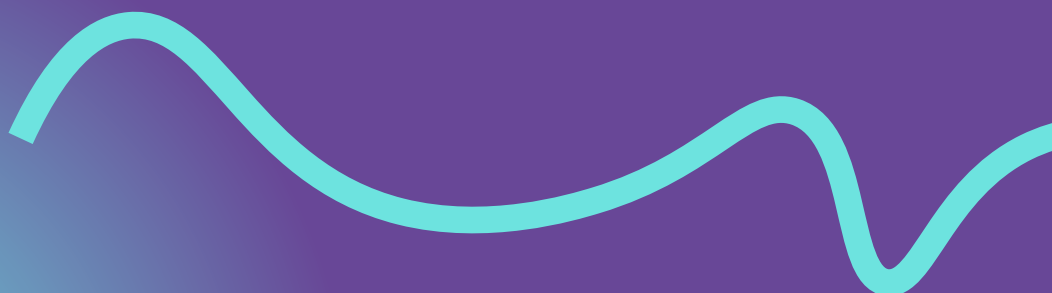
Niedziela to dzień zabójczyni

Paweł Goźliński:

Właściwie czy to jest powieść? Tak, ale raczej w duchu *Autobiografii czerwonego Anne Carson*, a nie „klasycznej produkcji powieściowej”. Zamkniętą w niej historię jak najbardziej da się opowiedzieć: to kameralna, zamknięta w jednym pomieszczeniu i kilkunastu godzinach opowieść (przypomina w tym dramat, widzę tekst Marty Wawrzyniak równie dobrze w książce, jak i na scenie) o społecznej aktywistce (przemoc wobec kobiet), której praca niebezpiecznie zaczyna zażębiać się z życiem osobistym i odsłaniać kolejne warstwy ukrytych motywów i motywacji bohaterki. Ale to tylko powierzchnia, a raczej ukryty narracyjny silnik tej opowieści. To, co najciekawsze, tkwi w języku tej powieści, który opis codziennych sytuacji zmienia w poetycką, „wysoko zmetaforyzowaną”, a jednocześnie precyzyjną wiwisekcję styku świadomości i nieświadomości, pamięci i niepamięci, kontrolowanego i niekontrolowanego. Aż do dramatycznego finału.

Filip Modrzejewski:

Pewna zła historia się wydarzy i jest to nieuniknione. Dziewczyna, Lucrecja, ani dobra, ani zła, jest zwykłym człowiekiem. Dawna przemoc w rodzinie, wyczerpująca praca, dziwne okoliczności i uwięzienie w rzekomo własnym domu – to wszystko zostaje nam pokazane, ale ani przez chwilę nie wątpimy, że bohaterce nic się nie przywidziało. Mroczna fabuła pędzi do nas i po nas depcze, i obywa się bez narracji: jesteśmy niemymi świadkami i docierają do nas krótkie zdania, pojedyncze słowa, jak gdyby akapity się rozsypały. Wszystko dzieje się prędko, zostaje w nas na długo i nie wyjdziemy z tego cało.



Martyna Wawrzyniak

Niedziela to dzień zabójczyni

I. ŚNIADANIE

I w niedzielę od rana czujesz ten swąd
co wżera się rychle w zapach pościeli
w niedzielny poranek z pizamy do mózgu
prosto
wychodzisz z łózka otwierasz okna chowasz swój płaszcz
wełna merino kupiony na lumpie a baba mówi fiu fiu w głowie
fiu-bździau
chowasz też pranie przed obcą inwazją niemiecka chemio chroń je
dziś
zamykasz za sobą drzwi izolujesz snu pomieszczenie niby od nie-
chcenia sprawdzisz czy twoje włosy zaczęły już śmierdzieć
w wąchujesz się w swoje martwe odnogi
czy padliny od matki nie twojej matki czuć już ten smród
ten sztynek ten swąd
swędzi mnie skóra wy też czujecie ten ból?
badasz ten grunt sklejonym spojrzeniem szukasz już świadkiń
kto ogarnie ten brud
zoom
skorupki jajek sklejone już z blatem
ślady wczorajszych butelek po piwie
myślisz sobie
kto myśli?
co za melina co to za gnój

poduszki z kanapy wciąż na podłodze
szczur od herbaty kapie się w zlewie
koty biegają jak w barcelonie ale to kurz
tytoń na biurku ktoś jarał lolka
z doniczki kapie żółta maź
bierzesz jej łyk
a nie to kawa
słodka jak pies
mleko jest zimne
chcesz sobie podgrzać
szukasz garnuszka
a w środku gnój gruz białawy śluz
wylewasz do zlewu dokładasz koloru zupa z odpadków basen zamknięty chyba sinice komendancie zaatakowały ten akwen wyciągasz łyżeczkę w powłoce śliskiej jak noworodka taki jej smutny los
słyszysz
kochanie tu siadaj wypijaś już kawkę
nie kochanie
trochę za słodka
i zimna jak lód
ale to takie wspaniałe dziękuję ci bardzo, że o mnie dbasz
zaciskasz zęby robisz oddechy
wcale nie robisz tak tylko mówisz
co to za tani chwyt już masz go pod ręką
wyczuwasz tę wajchę
ale stój
nie odpalaj rakiety choć raz na raz
bo co to za zwyczaj
dobry obyczaj

na gest poranny miły i zwykły
odpowiadać paskudztwem pretensją i tym
tym czymś
siadaj do stołu podaję jajeczka ile ich chcesz
mało najmniej bo coś mi od rana w brzuchu wiruje
talerz szoruje o warstwę okruchów zgniecionych już starych much
czy nie można już tego chociaż ogarnąć
słyszysz ten głos
to on
ten ton
co ucieka się do niewybrednych przykładów z epoki
mówisz
(ty
chyba)
śniadanie niedzielne to ważna jest sprawa
(tak, to ty)
to ładna jest sprawa to sprawa o początkach i estetycznych kąskach
ale za nimi nie kryje się styl tu o chodzi o myśl o uczucie o byt
o zapach proszku od rana komfortu doznania twarożku szczypiorku
o rzodkiew co chrupie o ciało co czuje o spokój bezbrzeżny łokieć na
stole twardo oparty bez żadnych pod spodem bruzd
a tam
co tam robi ten gruz
pytasz co tam robi ten gruz
czy trzeba od rana wpierdalać/pożerać ten gruz
wczoraj tu ryłaś na szmacie jeździłaś
błaty wycierałaś szafki szorowałaś zakamarki najobrzydliwsze
odkurzałaś pająki na szczęście bezwzględnie słoiki wygotowywałaś
buty układałaś mole czule żegnałaś w kiblu spuszczałaś poduszki
trzepałaś itd. itd. rymy stare śpiewki zdarte płyty idą dalej przez
alternatywną niedzielę powielając swe nieskończone pętle wędrując
po domach obcych i swoich nowoczesnych i zaściankowych to już
chyba jakaś uzurpacja narracyjna uogólnienie o nie

a tu
pytasz
czemu rano zawsze ten brud
czemu podajesz mi moje śniadanie na cmentarzysku much
czy ty tego nie widzisz
czy ty się nie brzydzisz
czy ty się nie wstydzisz znowu ten głos
słyszysz
kochanie zrobiłem śniadanie ogarnę i już
luz
okej
wyciągasz podkładki rozkładasz serwetki
solniczkę kucharza pieprzniczkę kaczuszkę układasz na stole co za
ogłada
wyciągnij z tej folii chleb
masełko osobno ser na talerzu pomidor w plasterkach
do kurwy nędzy gdzie jest ten chleb
spokojnie kochanie tylko bez nerwów początek niedzieli nowa
nadzieja
Tak nowa niedziela to nowe porządki pyszne jajeczko wyszło na
miętko czy chciałby herbatki pytasz go miło *kings charles* od rana
wybór najlepszy z cytryną do brzuszka wleci jak złoto pytanie tylko
co wisi nad nami
co później robimy
w taką niedzielę piękną aż strach
czy może na spacer chcesz wyjść
a nie wiem już byłam
czy może już trzeba w domu gnić
a nie wiem za smutno
czy może pójdziemy do jakiegoś muzeum
a nie wiem za ładnie

to może na piwo do koleżanki
już byłam widziałam nigdy jej nie lubiłam
chodźmy do kina
nie mam pieniędzy
zamówmy pizzę
szkoda tej zupy
to posprzątajmy
co to za weekend
ciasto zrobimy
jak starzy ludzie
chodźmy po buty
sklepy zamknięte
no to na basen
po moim trupie jadę do domu
kochanie tu jest twój dom
jak ja ciągle czuję ten swąd
umyje kibel
to już jest coś
o czym myślisz kochanie
o niczym o pracy

bo patrzeć nie mogę na żółte zacieki szoruję aż miło żebyś ty zawsze
ochrzcił i poszedł tak nawet wzroku nie zawiesiwszy na chwilę na
sekundę bez spojrzenia na jakikolwiek ślad co pozostawia twoje ciało
ten brud za sobą ciągle rozkładając

kochanie już idę, przecież już myję daj pokój

Oglądasz tę scenę w zwykłą niedzielę może w tv ktoś z ciebie drwi,
myślisz sobie co to za małpa

to nie bohaterka a idź z taką babą co chłopca się czepia, a przecież to
dobry chłop

kto mówi

gotuje pozmywa co baba mu każe nie taki to zły jest chłop
a ona wydziwia ciągle jej źle, że musi mu mówić
no cóż taki jest
przynajmniej nie pije
przynajmniej nie bije
i tak nie ma źle
słyszałaś ta kaśka twoja kuzynka wraca do domu i nic w nim nie zrobi
wyciąga telefon i gra
niedobra, oj zła
a krystian gotuje dzieci szykuje do szkoły podwozi kanapki pakuje no
święty chłop
babciu to ty?
halo kto dzwoni
może babcia dzwoni może ciocia krysia dzwoni może baba z kiosku
na wschodniej dzwoni co cię to obchodzi, ja nic nie zamawiałam,
dziękuję pozdrawiam, pomyłka przepraszam niczego nie potrzebuję
dziękuję mam już garnki, chłop tylko do wymiany taki stary dziad
halo kto dzwoni
tu centrum praw
nieważne pomyłka
proszę się nie bać proszę mówić
nie mogę pozdrawiam
nikt, koleżanka
babciu to ty?
tu słyszysz
o czym ty myślisz
o niczym o pracy
znów w naszą niedzielę się wkrada twoje centrum praw
no tak
kochanie ja ciebie proszę odłóż laptopa to przecież niedziela
rodzinny czas
W każdą niedzielę budzisz się za dnia nie możesz spać

myślisz o pracy co za szczytny cel już dawno za tobą takie chełpienie

budzi cię zbłąkany żart

jeszcze raz

przeoglądasz w głowie wszystkie detale przeczesujesz archiwa notatki komputer co zawsze z tobą w centrum dnia wyświetlasz film

siedzisz wśród grupy pytasz o zdanie

a potem przerywasz jej

jakiej jej

jakiejś jej

chyba którejś

to ważne przecież

wiem

pot

ma imię ma *story* i swoją opowieść, którą ty musisz jedynie wesprzeć a nie w nią uderzać co twoim zdaniem

a może to było zwykłe przerwanie, neutralne przerwanie, delikatne formowanie dynamiki grupy, nieagresywne nadanie tonu rozmowie prowadzisz to przecież jak każdy *meeting* zacisk powiek no już

a może chciała coś bardzo powiedzieć coś delikatnego co nie zdążyło się jeszcze wykluc pod twoim hardym spojrzeniem czasu mierzeniem

zapytam jej

nie

napisze do niej

prywatnie to dziwnie

czy ona maila w ogóle ma

wiesz, że nie możesz to ona ma przyjść a nie ty w jej przestrzeń się będziesz wpraszać narażać na jakieś zagrożenie, na rewanz na kości trzask

bądź bardziej czujna, weź się w tę garść, wiesz co to za grupa, znasz ten stan, to nie jest odcinek serialu o tobie one potrzebują twojej uważności a nie jakieś osobowości pozał się boże

jeszcze raz

po co był ten żart
po co komu twój żart
widziałaś jej twarz
tam odbił się żart twój żart
po co ta ostrość po co ta rzutkość kim ty tam jesteś
trzymaj się w ryzach
napiszę do niej przeproszę za żart
to będzie dziwne
może nie przyjdzie przez ciebie nie przyjdzie a ty przecież znasz ten
stan ten kruchy stan
jeszcze raz
jak mówisz, że słuchasz to słuchaj uważnie
a nie powtarzaj jak mantrę rozumiem
rozumiesz rozumiesz co ty rozumiesz
musisz zakładać, że nic nie rozumiesz
że jesteś tam po to żeby wysłuchać
a nie uzurpować jakiegoś rozumienia prawo, bo nie o twoje tam
prawo chodzi
no wiem
no masz
idź spać
babcia mówi idź spać
a może to ty mówisz
idź spać
nie zwracaj na niego uwagi
to dziad
to tylko wredny dziad
idź spać

Martyna Wawrzyniak:

W nocy z niedzieli na poniedziałek na dworcu autobusowym średniej wielkości miasta około trzydziestoletnia kobieta zatłukła na śmierć mężczyznę starym laptopem. Jediną świadkinią zdarzenia jest pewna kobieta, która na pytania komendanta policji o domniemany motyw, uparcie odpowiada: „Takie jest życie, złotko”.

Lukrecja niedawno wprowadziła się do 35-metrowego mieszkania swojego partnera. Złożyła się na nie cała jego rodzina, licząc na rychłe pojawienie się wnuka. Partner Lukrecji to dobry chłop, co nie pije i nie bije, i tylko od czasu do czasu zapomina wycisnąć gąbkę, kiedy pozmywa naczynia.

Lukrecja pracuje w fundacji na rzecz przeciwdziałania przemocy domowej, której sama była świadkiem w dzieciństwie, kiedy dziadek terroryzował jej babcię. Ostatnia sprawa, z którą mierzy się w pracy, jest dla niej szczególnie wymagająca, a w domu coraz częściej puszcza jej nerwy. Akcja rozgrywa się podczas jednej długiej niedzieli, dzielonej z jajkiem na miękko, rosółem i nocną pizzą, kiedy zdechła mucha na kuchennym blacie, szczur od herbaty, co kąpie się w zlewie, i brudna szmata rzucona w kąt doprowadzają bohaterkę do szału.

W decydującym momencie, kiedy nie wie, czy to jej głowa czy głowa partnera wybuchnie w piekarniku, Lukrecja zabiera swoje rzeczy, wychodzi z mieszkania i zdesperowana ucieka do znienawidzonego domu rodzinnego, by wymierzyć sprawiedliwość. Jednak w autobusie Lukrecja wdaje się w kłótnię z przypadkowym mężczyzną i na obskurnym dworcu w rodzinnym mieście tłucze go na śmierć.

Niedziela to dzień zabójczyni to kameralna powieść, dramat niescenniczny rozgrywający się pomiędzy doświadczeniem, obserwowaniem i wyrządzaniem przemocy. Narracja drugoosobowa podąża krok w krok za bohaterką, podsuwa jej rozmaite scenariusze, słowa jako narzędzia zbrodni, monstrialne wyobrażenia na temat samej siebie i wspomnienia, których rytm zabłąkał się dziecinnych wyliczankach. *Niedziela...* nie sączy się leniwie, tylko współcześnie pędzi, wypływa z siebie słowa jak zaklęcia, jak trwoga, co jakiś czas rozbijając się o rozmaite gatunki i formy.



Pozostałe teksty

Alicja Beryt – *Hostel Belgrad*

Ewa Bugajska – *Sztuka pozostawania w cieniu*

Marta Fałęcka – *Chów klatkowy*

Jakub Krüger – *Strzępy, skrawki, łatki*

Marta Maj-Sobkowiak – *Słone bakalie*

Patrycja Mierzejewska – *Indygo*

Irena Powell – *Gdybyśmy mieli urodzić się powtórnie*

Aleksandra Szmolke – *Cena wolności*

Anna Urbaniak – *Gastro*

Alicja Beryt

Hostel Belgrad

– Ten kraj jest kompletnie bez sensu. Amerykanie powinni byli go zbombardować i spalić, kiedy mieli okazję. – Kierownik wstał dziś lewą nogą, więc od rana zamęcza swoich gości przemyśleniami na temat polityki i świata. Teraz padło akurat na Thora, Norwega po pięćdziesiątce, który zmierzał do pobliskiego sklepu po zakupy na śniadanie. Kierownik zaciąga się lucky strikiem, patrzy z nienawiścią na drzewa przy ulicy Svetozara Markovića i pluje. Ślina przelatuje parę metrów i zatrzymuje się na pniu dorodnej lipy. Promienie słońca prześwitują przez młode liście, ale posadzone gęsto drzewa sprawiają, że ulicę spowija przyjemny chłód. Zupełnie nie współgra to z płonącym gniewem Kierownika, który uderza w raczej wycofanego gościa. – Zaorać i posolić, kurwa.

Thor nie bardzo wie, jak dyskutować z Turkiem miotającym przekleństwa na wraży naród serbski. Raczej nie ma tu przestrzeni na rozmowę. Thor przyjechał, żeby rozejrzeć się w możliwościach zakupu ziemi. W Norwegii był strażakiem, ale w ostatnich latach częściej niż gaszeniem pożarów zajmował się grzebaniem w papierach. Teraz na wcześniejszej emeryturze stać go, żeby kupić sobie ładną działkę w tej części Europy. Niestety w taksówce z lotniska zgubił paszport i wygląda na to, że w hostelu, w którym miał zostać tylko dwa dni, utknie na dłużej. Dyplomatyczne młyny mielą powoli.

– Ja pierdolę, jak tylko zarobię, ile trzeba, to wynoszę się stąd natychmiast. Natychmiast, kurwa. Nie rozumiem, po co ktoś chciałby tu mieszkać. Tyle jest piękniejszych miejsc na świecie. Nie mogę pojąć, po co tu przyjeżdżacie. – Kierownik kończy papierosa i wyrzuca niedopałek na chodnik. – Dobra, idź kup jakieś jajka, to usmażę nam jajecznicę.

Maja skończyła poranne nagrywki w studiu i wraca do domu. Kierownik przepuszcza ją w drzwiach. To w zasadzie jedyna osoba w całym budynku, która jest dla niej miła. Reszta patrzy krzywo, bo Maja pracuje w reżimowej telewizji. W tej okolicy mało kto głosował na partię rządzącą. Raz ktoś rozlał jakąś śmierdzącą ciecz na jej wycieraczkę. Normalnie pomyślałaby, że to wina okolicznych kotów, ale zdarzenie zbiegło się akurat z reportażem o ekologach walczących z budową elektrowni wodnej. Sąsiadka przyspiesza kroku, na wypadek gdyby Kierownik chciał się bratać.

– Miłego dnia! – pokrzykuje za nią Kierownik

– Dziękuję, wzajemnie – odpowiada kurtuazyjnie.

Nigdy się sobie nie przedstawili, bo i po co. Żeby nie było, nie ma nic do Turków. Zresztą ten wydaje się nawet sympatyczny. Co prawda od czasu, kiedy Maja jest w ciąży, wkurza ją, że on cały czas jara pod oknem, rzuca pety na chodnik, a wieczorami drze się do telefonu po angielsku. Ale zawsze też mówi „ciao” i otwiera drzwi. Wiadomo, że hostel to nie jest wymarzone sąsiedztwo. Dzisiaj pewnie nie dostałby licencji, bo po zmianie prawa trzeba uzyskać zgodę sąsiadów, a ci wolą spokój. Ale w zasadzie nigdy nie jest tu głośno, jeśli nie liczyć incydentu z wybitym oknem. Póki jest ciepło, brak szyby nikomu nie przeszkadza. Kierownik idzie korytarzem i odgania nogą jednookiego kota, który naiwnie postanowił się do niego podziękować. Słysząc pełne pretensji miauknięcie.

– Spadaj, ile razy mam powtarzać, że wolę psy. Won, na podwórze, mysy łowić. Do roboty, leniwy skurwielu. Raz-raz.

Alen w drodze do szkoły przejeżdża zwykle kilka przystanków autobusem. Ale dziś wyjątkowo wychodzi wcześniej i idzie pieszo. Dziś wielki dzień. Jest dobrze przygotowany, lepiej niż na najważniejszy sprawdzian. Ćwiczył od wielu miesięcy. Instruktor na strzelnicy chwali go za bystre oko i prawidłową postawę. Sam z kolei przymyka oko na trzynastolatka, który oficjalnie nie ma prawa ćwiczyć strzelania z czegokolwiek. Szkoda marnować taki talent, bo Alen strzela dobrze jak mało kto. Na dziesięć oddanych strzałów 8-9 trafia w serce. Tata jest z niego dumny. Matka udaje, że nie wie, co robi po szkole. Broń w plecaku jest zabezpieczona. Alen poci się, ale to nie stres, tylko majowe słońce. Wcześniej sprawdził, że przed czternastym rokiem życia nic mu nie grozi. Idzie żwawym krokiem przez ulicę Svetozara Markovića i mija graffiti z Gavrilem Principem. Uśmiecha się do wysprejowanego na ścianie portretu. Taki żywot, bracie!

Olga siedzi w autobusie z Sofii do Belgradu. Awtomagistrala Jewropa biegnąca ze stolicy do granicy przeszła właśnie remont, więc nawierzchnia jest równa i autobus linii Jug Trans, pod banderą niemieckiego FlixBusa żwawo toczy się w kierunku przejścia granicznego Kalotina. Na pokładzie jadą Bułgarzy, Serbowie, Indonezyjczyk, którego Olga spotkała w hostelu w Sofii, para Polaków i Rosjanka z psem. Przewóz psa jest raczej nielegalny, ale pasażerka uiściła dodatkową opłatę, która wcale nie była łapówką i corgi, znany jako pies królowej Elżbiety, również przemierza trasę z Sofii do Belgradu. Na granicy starsza kobieta zamiata okolice budek strażników. Nosi ze sobą miotłę i szufelkę zrobioną z kija i starej puszki po włoskiej oliwie, przyciętej w taki sposób, żeby móc do niej łatwo zamiatać śmieci. „A co jeśli cała ta nasza Unia trwa tylko dlatego, że jakaś baba na przejściu granicznym zamiata pety do puszki” – myśli Olga, obserwując dość nudny krajobraz.

Na granicy zamieszanie. Olga stoi na samym końcu kolejki i dziwi się, że nikt nie pali. W końcu na Bałkanach wszyscy powinni jarać, łącznie z kierowcą w autobusie. Ale tak się składa, że jest jedyną osobą z papierosem. Kierowca drze się po serbsku, przez telefon wtóruje mu szef

ustawiony na głośnomówiący oraz dwie serbskie celniczki. Rosjanka usiłuje im coś tłumaczyć po angielsku. Krzyczy, że zapłaciła pieniądze. Kierowca teatralnym gestem wyciąga plik banknotów i wrzeszczy: „A masz tu swoje, kurwa, pieniądze”. Nikt z kolejki nie włącza się w awanturę. Rosjanka odchodzi na bok i płacze.

Infrastruktura graniczna nie wygląda na trwałą. Może gdyby wjechać buldożerem i po prostu rozpieprzyć ten bajzel, nikt nie mrugnąłby okiem? Granica to pawilon obłożony sidingiem, z klimą i kaloryferem przyczepionymi do ściany na słowo honoru. Odpadające gniazdko, płytki typu granitogres. Wszystko to przypomina cieciovnię na parkingu całodobowym, zaplecze magazynu albo inny średnio udany biznes. Zamiast kalendarza z gołą babą na ścianie wisi plakat po bułgarsku, arabsku i angielsku: „Jeśli przekraczasz granicę nielegalnie, jesteś tylko cieniem”. Olga znudzonym wzrokiem literuje bułgarskie wyrazy. Przebyła setki kilometrów i spotkała ludzi z różnych stron, więc drażni ją napis przeczący idei braterstwa ludów i świata bez granic. Na zmianę rozmyśla teraz o swoim złamanym sercu i polityce międzynarodowej. Poważne twarze mundurowych podnoszą jej ciśnienie, chociaż musi przyznać, że laski celniczki mają w sobie pewien empowermentujący vibe.

Thor drepcze ulicami dzielnicy Vračar, która wygląda mu na idealną do życia. Oczywiście, jeśli ktoś lubi mieszkać w mieście. Trochę nierówne, ale szerokie, asfaltowe chodniki. Wokół kawiarnie, restauracje i dużo zieleni. Jest i Mały Paryż, z cevapcici w menu. Kelnerzy uwijają się wśród stolików, bo w knajpie tłum. Ceny niewygórowane, szczególnie jeśli przyjechało się ze Skandynawii. W wielu miastach w Europie ludzie dużo daliby za taką przestrzeń publiczną.

Chociaż tu i ówdzie coś się sypie. Piękne fasady nie widziały remontu od czasów Tity, a kto wie, może i od Piotra II. Z zakamarka ułamanego gzymsu wyrasta niewielkie drzewko. Siewka wiązu znalazła sprzyjające warunki i teraz puszcza korzenie, rozsadzając omszały tynk. Kiedyś załatają tę ścianę i podniosą czynsz, ale tej wiosny wegetacja w ubytkach architektury jest bezpieczna.

Znamienitą część Vračaru zajmuje kompleks Szpitala Uniwersyteckiego, w końcu nazwa zobowiązuje. Jest to też zagłębienie aptek i dentyków. Żyć nie umierać, za to chorować można. Rzut beretem od hostelu mieści się też rosyjska ambasada. Do norweskiej trzeba zmierzać aż za Sawę. Thor poklepuje się po kieszeni, sprawdzając, czy nie zgubił też portfela. Roztargnienie daje mu się ostatnio we znaki.

Zapach jajecznicy wypełnia salon hostelu, który tak naprawdę jest mieszkaniem podzielonym na sypialnie i dorm. Kierownik opanował do perfekcji gotowanie na jednym palniku elektrycznym, chociaż nie wiadomo, co konkretnie przeszkodziło mu w zakupie drugiego. Być może myślenie biznesowe i optymalizacja. W końcu to niewygórowane ceny przyciągają budżetowych podróżników ze Wschodu i Zachodu. Płaci się gotówką, chyba że ktoś ma kryptowaluty. Tak się składa,

że uciekinierzy z krajów, w których inflacja jest wyższa niż w Serbii, chętnie wymieniają swoją oficjalną walutę na krypto. Kierownik nie marnuje czasu na myślenie o moralnych aspektach swoich transakcji. Biznes to biznes, a jeść trzeba. Opinie gości wahają się od jednej do dziesięciu gwiazdek, w zależności od nastroju gospodarza. Dziś nie-nawidzi Belgradu i Serbów, ale swoich gości otacza ojcowską opieką i z własnej inicjatywy smaży wszystkim jajecznicę. Na kanapie leży kot, kanapowiec, nie dachowiec. Ma oboje oczu, imię i lekką nadwagę.

– Młody, jak zjesz, to pozmywasz, pozdejmujesz pościel i ogarniesz kibel, bo jest straszny syf. – Kierownik przechodzi z trybu „wszyscy jesteście rodziną” do trybu „ma być porządek, bo ja tak mówię”. Młody ma na imię Can i też jest Turkiem. Śpi w hostelu za darmo, bo przejściowo nie ma się gdzie podziać. Też czeka na swój wielki dzień.

– Miała być tylko pościel i zmywanie – próbuje negocjować Can, czując, że od paru dni jego lista zadań się wydłuża.

– Młody, nie za to ci płacę.

– Przecież w ogóle mi nie płacisz, co ty gadasz.

– Młody, jak chcesz dyskutować, to możesz wypierdalać, wiesz o tym, nie?

– Dobra, człowieku, ogarnę – zgadza się w końcu Can. Przejechanie parę razy mopem nie jest wygórowaną ceną za możliwość noclegu w centrum i niezadawanie zbędnych pytań. Na przykład: ile to jeszcze potrwa? Kierownik oprócz pracy i jedzenia dostarcza mu też „rodzinnej atmosfery”, objawiającej się szorstką troską o porządne śniadanie przyprawioną hasłami w rodzaju: „jak dla mnie, możesz zdechnąć, mam to w dupie”.

– Dobre, nie? – Kierownik chce się upewnić, że wszystkim smakuje, a przy okazji dostać swoją codzienną porcję głąsków.

– Bracie, zajebiste śniadanko, dzięki – potwierdza Thor, a reszta kiwa głowami, przełykając kęsy jajecznicy.

– No, kurwa, wiadomo. Rano trzeba dobrze zjeść, żeby mieć siłę – zauważa sentencjonalnie Kierownik. – Dobra, spierdalam, mam robotę – po czym chowa się z laptopem w pokoju, zostawiając gości i Cana z bałaganem po śniadaniu.

Olga wysiada z autobusu w Belgradzie. Jest ospała po wielogodzinnej jeździe i trudno jej się skupić. Przytłacza ją chaotyczna zabudowa, hałas i zapach ciepłego powietrza wymieszanego ze spalinami. Na powitanie zderza się z wielkim placem budowy Belgrade Waterfront, który wygląda, jakby ktoś sklonował dziesiątki razy odnowionego krakowskiego Szkieletora, tu i ówdzie dodając mu dodatkowe piętra. Wielkie to, a zarazem nijakie. Wyjmuje telefon i robi zdjęcie na pamiątkę. Plac budowy nie będzie przecież tak wiecznie trwał. W oddali błyszczą

srebrny grzyb, którego nie da się objąć obiektywem. Wszyscy Słowianie kochają pomniki, a ten to, jak mówią lokalsi, pomnik korupcji. Cyk, nie wszystko, co ciekawe, musi być od razu piękne.

Obok dworca autobusowego, z którego trzewi odchodzą połączenia krajowe i zagraniczne, stoi stary, austro-węgierski dworzec kolejowy. Odnowiony i zamknięty. Nie zgrywał się z wielką inwestycją Belgradu na wodzie. Na placu przed dworcem przesyłka z Moskwy: pomnik Stefana Nemanji. Wielki jak ego zlecciodawców. 80 ton i 20 metrów wysokości nie pozwalają przejść obojętnie obok serbskiego kolosa.

Pominąwszy świętego Nemanję, spoglądającego pustym wzrokiem w kierunku ulicy, której patronuje, przed odnowionym dworcem jest pusto. Całe szczęście, że obok starego dworca jest dworzec autobusowy. Tętni życiem, wysysa pieniądze, oferuje jedzenie, chroni przed deszczem. Nie zaprasza, ale i nie wygania. Możesz wypić kawę, musisz posłuchać muzyki. I nie zapomnij uiścić drobnego haraczu w postaci peronówki. Wiadomo, czysty dworzec to pomyłka. Prawdziwe centra komunikacji muszą być trochę odrapane. Jeśli bryła wskazuje na dawną świetność – wewnątrz powinno odrzucać. „Odrapane znaczy żywe” – myśli Olga, mimochodem rozdrapując sobie strupek na ramieniu i patrząc, jak sączy się z niego krew.

Wzdycha ciężko i drepcze w stronę ulicy Nemanjinej przygnieciona ciężkim plecakiem. Południowe powietrze od razu uruchamia wakacyjne wspomnienia. Mija hotel, w którym spała parę lat temu, teraz zamknięty na cztery spusty. Portier opowiadał, jak jeździł do Polski w latach 80. i na wszystko było go stać. „Kto by się spodziewał, że trzydzieści lat później będzie zupełnie na odwrót”.

Olga pnie się dalej w górę ulicy. Nie da się nie myśleć o wojnie. Tej czy innej. Niby wie, że nastroje w Serbii są prorosyjskie, ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć na własne oczy. „Aha, teraz to naprawdę jestem za granicą” – myśli, spoglądając na belgradzkie mury, które nikogo nie pozostawia obojętnym. Im bliżej zbombardowanego w 1999 ministerstwa obrony, tym bardziej wizualna propaganda się zagęszcza, a nacjonalistyczny ściek miesza się z antynatowskimi sloganami. Z dala widać graffiti: „Ratko mój bohater”. „Ciekawe który?” – myśli przez chwilę Olga, ale orientuje się, że coś przysłoniło jej część napisu i po prostu ktoś nasmarował tam cyrylicą: „Ratko Mladić bohater”. Na rogu Nemanjinej i Kneza Miloša stoi miejscowy wariat, odpowiednik polskich zapaleńców smoleńskich albo świrów od kondominium niemiecko-rosyjskiego pod żydowskim nadzorem, albo może jeszcze tych od „Wołyn pamiętamy”. Typ obwieszony jest napisami o serbskości Kosowa. Olga przez chwilę rozważa zrobienie mu zdjęcia, ale koniec końców rezygnuje z pomysłu, bo to jednak biedny człowiek i fotografowanie go jak atrakcji turystycznej wydaje jej się nie końca fair. „Nie uwierzycie, gdzie jestem, na Bałkanach. Nacjonalizm, pljeskavica, rakija” – myśli z przekąsem, mijając ciągnący się na całą długość budynku napis: „Serbia bez Kosowa i Metochii jest jak człowiek bez serca”. Naprzeciw ministerstwa wisi zaś od lat wielka płachta reklamująca

jąca serbskie wojsko. Salutująca młoda kobieta dumnie patrzy w dal.

Olga gubi się w parku Manjež, w którym niby nie sposób się zgubić, chyba że offline'owe mapy.cz, na które jest skazana z braku serbskiej karty oraz oszczędzania na zagranicznym roamingu, nie zaktualizują się jak trzeba. Na liście obiektów do znalezienia znajduje się też bankomat, ale zamiast niego znajduje tylko Narodowy Bank Serbii, metalową fortecę, do której nie da się wejść. Po drodze mijają ją kilka radiowozów na sygnale i ambulans. Graffiti z Gavrilem Principem umyka jej uwadze.

– Olga! – Kierownik, który regularnie wystaje przed klatką, od razu rozpoznaje turystkę.

– O... – Olga odkleja się od telefonu, lekko zdziwiona powitaniem. – To tu? Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Idziesz, gapisz się w telefon, masz wielki plecak, widać, że jesteś nie-tutejsza – wyjaśnia Kierownik, który dla odmiany reprezentuje stereotypowy wschodnioeuropejski image. Odziany jest w dres z trzema paskami, czarny tiszert z napisem i czapkę z logiem NY. Całość dopełnia wczorajszy zarost i zacięte spojrzenie.

– Wyszedłeś po mnie specjalnie? – dopytuje szybko, upewniając się, czy aby nie dostarczyła mu kłopotu.

– Wyszedłem jarać.

– A to całe szczęście. Głupio by było, że tu czekasz, a ja miałam być godzinę temu.

– Na luzie – odpowiada leniwie Kierownik i otwiera jej drzwi na klatkę. Po śniadaniu poprawił mu się nastrój, więc gra dobrego gospodarza.

– Słuchaj, sytuacja jest taka, że nie mam dinarów ani euro. Szukałam bankomatu po drodze, ale nie znalazłam. Znalazłam tylko bank, co wyglądał jak ze Star Warsów. Raz, że był zamknięty, dwa, że i tak nigdzie nie miał bankomatu.

– Spoko, spoko. Damy radę. Wyciągnij sobie pieniądze z OnlyFans i bądźcie git – mówi Kierownik, jakby była to najzwyklejsza rzecz na świecie.

– Taaa, to jest dokładnie to, co mam w zwyczaju – mówi lekko zdziwiona Olga, odnotowując, że w tych skromnych progach feminizm i szacunek do klienta się przyjęły.

Kierownik szarmancko otwiera drzwi do swojego imperium, z szarą ikeowską kanapą stanowiącą centrum życia i integracji. Na kanapie siedzi Can, który w międzyczasie skończył sprzątanie i zmywanie. Chłopak wpatruje się w telefon podłączony do jednego z licznych gniazdek. Wszechobecne przedłużacze i ładowarki królują w każdym szanującym się hostelu. W przeciwieństwie do starszych obiektów

turystycznych, w których pojedyncze, dziwnie usytuowane gniazdka mieszczą jedynie wpięty kabel od telewizora. Droga kabla jest zaś bardziej kręta niż trasa, którą przybył turysta. Tymczasem współcześni goście chcą od razu podłączyć telefon, laptop czy powerbank. Doładować słuchawki. Pragną otoczyć się technologią, zaktualizować social media i zanurkować w darmowym wi-fi. Can ledwo co podnosi głowę znad telefonu, odpowiadając na „cześć” Olgi. W narożniku śpi kot, który nie potrzebuje ani elektryczności ani ludzi, albo przynajmniej tak mu się wydaje.

Olga marzy o tym, żeby się umyć i odpocząć, ale przede wszystkim odzyskać dostęp do internetu. Tymczasem Kierownik kończy proces zameldowania, cały czas gada i zaczyna oprowadzać Olgę po włościach.

– Tu śpisz, tu jest łazienka, tu jest kuchnia, tu jest PlayStation. Grasz? – pyta na wszelki wypadek.

– Nie gram.

– No tak, nie wyglądasz. Polecam ten prysznic, bo jest lepszy. Pranie: 5 euro.

Olga rozgląda się po pokojach. Nie jest to luksusowy apartament, ale ponieważ w regionie zdarzają się obiekty, w których standardem jest połączenie prysznic z sedesem i gniazdkiem elektrycznym przy obowiązkowym braku zasłonki, która tylko podwyższa koszty, hostel w mieszkaniu robi przyzwoite wrażenie. Poza tym jest tani.

– Chcesz mój paszport czy coś? – upewnia się Olga.

– Nie chcę paszportu, mam wszystkie twoje dane: imię, nazwisko, numer telefonu. Gdybyś kombinowała, to zawsze mogę powiedzieć: ta dziewczyna mi nie zapłaciła za nocleg i zamieścić twój numer w internecie – drażni ją Kierownik. Olga stara się nie mieć uprzedzeń, ale w połączeniu z wcześniejszym paplaniem o OnlyFans żart Kierownika nie robi na niej najlepszego wrażenia.

– Taa, spoko, byłam już w takiej sytuacji, pisz se, co chcesz – mówi niespodziewanie.

– Byłaś w takiej sytuacji? – Kierownik podnosi brew i przygląda się badawczo, zastanawiając się, czy aby dobrze ją ocenił.

– Nie, kurwa, nie byłam – rzuca triumfalnie Olga. – Co myślałeś, że jak mi pogroźisz, że zamieścisz mój numer w internecie, to się wystraszę? No i co? Teraz sam się zdziwiłeś.

Na te słowa milczący dotąd Can zaczyna chichotać, ale widząc karcące spojrzenie Kierownika natychmiast przestaje i wraca do skrolowania TikToka.

– Oj tam, wiadomo, że żartowałem. Grunt to zaufanie!

– No jasne – zgadza się Olga i uśmiecha się w duchu.

Zamiast iść pod prysznic, Olga postanawia zatopić się w rozkoszach darmowego wi-fi. Przerwę w byciu online nadrabia, szybko sprawdzając komunikatory, skrollując powiadomienia i sprawdzając lajki. Długa lista serduszek daje jej wyrzut dopaminy i poprawia humor. W zalewie wiadomości trafia w końcu na informację o zamachu w belgradzkiej szkole.

– Ej, słuchajcie chłopaki, macie tu żałobę narodową?

– Cooo? Nie wiem – rzuca Kierownik, a Can nie bardzo śledzi rozmowę, ponieważ właśnie wkręcił się w zabieg odrdzewiania klucza francuskiego na TikToku, który to proces odpowiednio przyspieszony robi naprawdę satysfakcjonujące wrażenie. W sumie sam mógłby coś takiego nagrywać.

– No, podobno jakiś dzieciak przyniósł ze sobą broń do szkoły i zaczął strzelać do koleżanek i kolegów – oczy Olgi robią się okrągłe, chociaż nie jest pewna, czy faktycznie tak bardzo porusza ją to, co przeczytała, czy po prostu tak wypada. Wydarzenia medialne, nieważne jak wstrząsające, zdają się jej nie dotyczyć. Od początku wojny w Ukrainie wszelkie strzały, o ile nie padają na jej podwórku, wydają się bardzo odległe. Z drugiej strony czuje, że na tragedię trzeba reagować w adekwatny sposób.

– Aaa tak, to tu w szkole obok – mówi Kierownik beztrąsko, tak jakby podobne rzeczy zdarzały się tu codziennie, chociaż to nieprawda.

– O Jezuuu, co? – jęczy Olga, która zdaje sobie sprawę, że może jednak to jej podwórko.

– Taaaa, no takie rzeczy się zdarzają. A co do żałoby, to nie wiem. I tak nie jestem Serbem.

„A co to, kurwa, za różnica?” – myśli sobie Olga, która jeszcze niedawno rozmyślała o uniwersalności ludzkiego doświadczenia. „Jak można coś takiego powiedzieć? Totalnie nie na miejscu”.

– Taaa? Skoro nie jesteś Serbem, to kim jesteś?

– Ja? Jestem Turkiem – poważnie na chwilę Kierownik i informację o narodowości podaje z wyraźną dumą.

– Aha, no ja jestem z Polski, ale to już wiesz.

– No, już wszystko o tobie wiem. Chcesz jeść?

– Chcę bankomat i chcę zadzwonić, chcę wziąć prysznic i może też coś zjeść. Ale najbardziej to chcę się uspokoić i ogarnąć.

– A w ogóle, to stało się coś? Masz taką minę... Taką trochę smutną, a trochę „jebać to wszystko”.

– Jestem z Polski. W Polsce wszyscy mamy taką minę. To nasza mina narodowa. Taką mam twarz. *Resting bitch face*, a że jestem na wakacjach, to wiesz, odpoczywam. Muszę sobie ustawiać alarm w telefonie, żeby pamiętać, żeby się uśmiechnąć.

– Nie no, co ty opowiadasz, jesteś na pewno miłą laską – zauważa Kierownik tonem znawcy. – Aaaa czekaj, ja powiedziałem „laską”, ale może wcale się nie identyfikujesz jako dziewczyna, może chcesz bardziej neutralnie – ostatnie słowo akcentuje w wystudiowany, lekko pogardliwy sposób. Olga patrzy z niedowierzaniem. – Mogę do ciebie mówić *dude*, to jest *gender neutral*.

– Ta, *neutral* w chuj, faktycznie – Olga jest zmęczona, poirytowana i nie chce jej się bawić w słowne gierki.

– Będę mówił *dude*, to jest *gender neutral* – upiera się Kierownik.

– Mów, mów, jeśli tak cię to cieszy.

Olga idzie ogarnąć swoje łóżko, do którego w międzyczasie przeprowadził się kot. Ma na imię Mars i przyjechał ze swoim panem Igorem z Krasnodaru. Kierownik idzie za nią i cały czas gada.

– Ten kot jest głupi i nie ma honoru. Będzie się do ciebie łasił i będzie próbował cię namówić, żebyś go wypuściła. Ciągłe się czai przy drzwiach. Uważaj i nie wypuszczaj go na klatkę. On chce po prostu iść do innych kotów, ale nie wie, co go czeka. Widziałaś jak one wyglądają? Żaden nie ma obojga oczu. Ten kot nie przeżyłby chwili na ulicy. Nie zna życia, więc niech siedzi na kanapie. Za to ty będziesz miała tu super warunki – zapewnia Kierownik. – Dookoła będą chrapać i pierdzieć, jak to w dormie.

Olga jest niewzruszona i zapewnia, że spała już w takich warunkach i w ogóle nie widzi problemu.

– Mam zatyczki do uszu – mówi przygotowana na tę ewentualność.

– A *buttplug* masz? – rechoce Kierownik.

– Kurwaaaa, stary – czuje, że powinna jakoś ukrócić heheszki.

– No sama zaczęłaś, *earplug*, *buttplug*, no samo się kojarzy, sorry.

– Ja pierdolę. Słuchaj no, jak by to powiedzieć: ciężko jest być samotną kobietą w podróży. Możesz mi tego jeszcze nie utrudniać?

– Sama zaczęłaś.

– Słucham?

Olga rozpakowuje plecak i chodzi w tę i z powrotem, usiłując się zdomować w nowej przestrzeni. Konieczność adaptacji do nowego pomieszczenia wywołuje u niej deficyt uwagi.

– Macie tu recykling?

– Nie, Serbowie nie dyskryminują swoich śmieci. Co innego ludzi – Kierownik znowu rechocze.

– Założyłam, że nie segregujecie, ale gdybym zaczęła od tego, że „pewnie nie macie recyklingu”, to brzmiałoby to słabo.

– Na luzie, nie myśl tyle.

Wracając jednak do rzeczy podstawowych, Olga przypomina sobie, że ciągle nie zapłaciła za pokój.

– Dobra, to gdzie ten bankomat? I ile to w ogóle będzie? Bo przeliczałam z euro na złotówki, a ze złotych na dinary i wyszło mi 1500.

– No to dobrze ci wyszło. Chcesz zniżkę? Dziesięć procent?

– Taa, no pewnie, że chcę, a co muszę za to zrobić?

– Dać dziesięć gwiazdek.

– Spoko. A czemu potrzebujesz dziesięciu gwiazdek, co się stało?

– Aaa, jakieś dupki, co tu spały, dały nam po jednej gwiazdce i teraz muszę się odbić. Jeden Serb postanowił tu ćpać, to mu powiedziałem, że nie może. Nie posłuchał, więc go wyrzuciłem, a on się święcie obraził i dał jedną gwiazdkę. Potem przyjechał jakiś Izraelczyk, co za 10 euro by chciał nie wiadomo czego. Marudził i dał jedną gwiazdkę. No i teraz spadły mi notowania i muszę się odbić.

– No dobra, deal. Dam ci dziesięć gwiazdek. Gdzie bankomat? Pokażesz mi?

– Jasne. Chyba, że masz jakieś krypto? – Olga krzywi się na samą myśl, że mogłaby mieć jakieś kryptowaluty – Nie masz? No ok. Chodź, pójdziemy razem.

Pierwszy napotkany bankomat nalicza wysoką opłatę za wypłacenie pieniędzy z Revoluta. Idą dalej, a Kierownik opowiada o hostelach w Belgradzie.

– Te biznesy tutaj to jest często scam, albo pralnia, albo w ogóle przykrywką dla prostytucji.

– Oczywiście, natomiast twój jest zupełnie legalny i bezpieczny – mówi z przekąsem Olga.

– Dokładnie tak – odpowiada jej tonem poważnego biznesmena.

Gdy w końcu znajdują jakiś bankomat bez horrendalnych opłat, Kierownik teatralnie przyjmuje postawę ochroniarza i profesjonalnie rozgląda się na boki.

– Będę tu stał i pilnował, żeby nikt cię nie okradł.

Olga rzuca okiem na towarzysza w dresie i stwierdza, że statystycznie, jeśli ktoś miałby jej wyrwać portfel, to prawdopodobnie on.

W końcu wyciąga gotówkę i idą do sklepu. Olga usiłuje się skomunikować ze sprzedawcą po serbsku, ale nie rozumie, kiedy ten proponuje jej torbę. Kierownik z kolei kupuje żelki Haribo w kształcie dinozaurów, którymi następnie uparczywie częstuje, chociaż ona nie nadąża jeść i wykręca się co chwilę. Kierownik przemawia do żelków po niemiecku.

– O, masz dobry akcent.

– Jak byłem dzieckiem, to oglądałem niemiecką telewizję RTL.

– No tak, w latach 90. wszyscy oglądali. Oprócz mnie. Mama nie widziała potrzeby założenia anteny satelitarnej. Albo może nie miała pieniędzy. A może jedno i drugie.

Idąc krzywym chodnikiem, kilkakrotnie wpadają na siebie. Kierownik przytrzymuje jej ramię.

– Słuchaj, wiem, że lubisz mnie dotykać, ale no, są granice – niby to oburza się Kierownik.

– Kto tu kogo dotyka, weź – Olga rozkłada ręce w geście niedowierzania. Jest zmęczona, nie zna drogi i nie chce się jej dyskutować. Zresztą i tak zawsze przegrywa w tę grę w przekomarzanie. Pewnie dlatego, że też ją to bawi.

Alicja Beryt:

W majowy dzień w Belgradzie spotykają się: Olga, turystka z Polski, która podróżuje z plecakiem przez Bałkany; Thor, strażak z Norwegii szukający działki na starość; Maja, serbska dziennikarka reżimowego medium w kryzysie kariery; Can, młody Turek, którego europejska przyszłość leży w rękach przemytników. Gościnne progi budżetowego hostelu otwiera przed nimi Kierownik, obywatel świata i wieczny emigrant, który wszystko już widział i na wszystkim zna się najlepiej.

W dzień spotkania trzynastolatek zabija w szkole dziewięć osób. Przez Serbię przechodzą marsze przeciw przemocy i szlak uchodźczy.

Bohaterowie chcą zmienić swoje życie, ale w spełnieniu marzeń przeszkadzają im brak pieniędzy, wielka polityka oraz trudne charaktery. A czasem też prawo i moralność.

Hostel Belgrad będzie powieścią drogi, która nagle przeobrazą się w prozę awanturniczą – słodko-gorzka, ale też melancholijna.



Ewa Bugajska

Sztuka pozostawania w cieniu

Afisze rozwieszono na kolumnach przy wejściu do Teatru Narodowego ograniczając się do jednej linijki tekstu: „Świat nie skończył się wielkim wybuchem”. Szkarłatne litery na ciemnozielonym tle obwieszczają, że premiera baletu na nowo interpretującego legendę o powstaniu Republiki odbędzie się w maju.

– Uwielbiam te nowe adaptacje – powiedziała Helena dzień wcześniej, wręczając jej bilety na spektakl otwarcia. – Zawsze coś przekręca.

Klara nigdy wcześniej nie była w Teatrze Narodowym. Jej pobyt w stolicy z reguły ograniczał się do trzech dni, w pełni zaplanowanych przez mamę. Jeden dzień na politykę, jeden na zaktualizowanie danych badaczom w obserwatorium, trzeci – na zobowiązania towarzyskie, które dla Klary nie różniły się niczym od polityki. Z reguły politycy, medycy i naukowcy, z którymi spotykały się, żeby zapewnić ciągłość funduszy na ich podróże po kraju i badania mamy, próbowali wykupić wyłączność na rezultaty badań mamy Klary bezpośrednio albo poprzez oferowanie swoich synów na mężów dla Klary, licząc, że uzyskają je pośrednio.

– To za duże poświęcenie – zwykła zbywać ich mama. Poświęcenie mogło tu oznaczać, że młodzi mężowie musieliby dołączyć do ich, w dużej mierze koczowniczego, trybu życia. Klara podejrzewała jednak, że mama ma na myśli coś zupełnie innego.

Teraz podekscytowana krąży u stóp schodów prowadzących do głównego wejścia do opery. Jej mama, jak zwykle uosabiająca niewzruszony spokój, wyciąga zegarek z dewizką i sprawdza godzinę. Między nimi pary i grupy widzów w wieczorowych strojach pokonują stopnie, zatrzymują się, żeby przywitać znajomych albo poprawiają szale i krawaty.

– Jeśli mamy zdążyć na spektakl, nie możemy dłużej czekać – mówi, gdy Klara zawraca po raz kolejny. – Helena będzie musiała nas znaleźć w środku. – Nie czekając na odpowiedź, unosi skraj lawendowej sukni i energicznym krokiem wchodzi po stopniach.

Klara rzuca ostatnie spojrzenie na zatrzymujące się przy wejściu takówki i z westchnieniem rusza za mamą. Wolałaby od początku mieć sojusznika w Helenie, spodziewając się, że pozycja jej mamy jako wicedziekan Naczelnej Rady Lekarskiej przyciągnie jeszcze kilku prominentnych mieszkańców z synami na wydaniu.

Rzeczywiście, ledwo wręczając bilety poważnemu jegomościowi ubranemu w ciemnozielony frak i ze szkarłatną różą w butonierce, poje-

dyncze głosy odrywają się z harmidru wypełniającego bogato zdobione foyer. Część z nich ogranicza się do wymiany powitania, ale co jakiś czas pada też:

– To córka pani doktor? Naprawdę?

Klara do tej pory nieszczególnie zastanawiała się nad tym, jak bardzo podobna jest do mamy. Teraz jednak, słysząc zdumienie u kolejnej osoby, przygląda się mamie. Marcjanna Zeflik jest drobnej budowy, i tę Klara odziedziczyła, podobnie jak kasztanowate włosy i zielone oczy. Na tym jednak podobieństwa zdawały się kończyć: *chignon* jej mamy był wciąż idealnie ułożony, pomimo tego, że wieczór był wietrzny, Klara natomiast co chwilę odgarniała z oczu sztywne loki, które wysuwały się spod wsuwek. Podczas gdy Marcjanna poruszała się z gracją, bez wysiłku wymijając inne osoby, kościste łokcie Klary stanowiły zagrożenie dla innych widzów, gdy co chwilę zbierała butelkowozieloną spódnicę, żeby jej nie przydepnąć. Spokój emanował z całej sylwetki Marcjanny, Klara natomiast wiecznie była w ruchu, dopóki nie została zatrzymana przez obiekt o większej powierzchni lub masie. Tym razem padło na jegomościa w przyciasnym fraku, z włosami brylantowanymi tak silnie, że odbijały światło lamp.

– Doktor Zeflik – woła, wchodząc w jej trajektorię. Gdy na niego wpada, zajęta poprawianiem włosów i sukni jednocześnie, zupełnie nie zwraca to jego uwagi. Dopiero gdy Marcjanna zawraca, mniej z powodu jego zawołania, a bardziej dlatego, że Klara traci równowagę i przez chwilę kręci rozpaczliwie młynka ramionami, brylantynowy mieszczanin zwraca na nią uwagę.

– A to musi być córka, o której tyle słyszałem, ale nie mogłem doprosić się o poznanie!

– Tak, to moja Klara. – Marcjanna płynnym ruchem staje pomiędzy nimi i kładzie rękę na jej ramieniu. – Dobry wieczór, doktorze Hajduk.

– Z twoich opowiadań miałem wrażenie, że to jeszcze dziecko, a widzę, że to już kawał pannicy. – Mężczyzna wydaje z siebie odgłos, który sugeruje, że krztusi się własną śliną. Gdy jednak mama nie wykonuje ruchu, żeby mu pomóc, Klara uświadamia sobie, że jest to śmiech nieznanego.

– Tak, cóż. – Marcjanna sięga do torebki i jest to jedyna oznaka zniecierpliwienia, jaką Klara dostrzega, a i to tylko dlatego, że rozpoznaje odruch mamy, żeby sięgnąć po zegarek. – Czasem samej trudno mi się przyzwyczaić, że czas tak szybko mija.

– Doskonale to rozumiem. Mam wrażenie, że ani się obejrzałem, a mój Karol od nauki czytania przeszedł do robienia specjalizacji.

Klara krzywi się mimo woli. Z reguły, gdy ktoś określał ją jako pannę, pannicę albo dorosłą kobietę, a następnie wspominał swoje męskie potomstwo, oznaczało to, że ona i rzeczone potomstwo są w podob-

nym wieku. Klara już parę lat temu nauczyła się, że myśl niewyrażona wprost w tym twierdzeniu oznacza, że ona i Karol (wymienne z: Tadeusz, Janek, Henryk, Leon itd.) byłiby dobraną parą. Logika stojąca za tym rozumowaniem była albo pokrętna, albo po prostu nie istniała, a jednak za każdym razem tak to działało.

– Musi być w podobnym wieku, co mój Karol.

Bingo.

– Muszę go koniecznie panience przedstawić. Swoją drogą, gdzie się podział ten chłopak? Mówię pani doktor, skaranie boskie z tym dzieciakiem – znów zaczyna się dusić – jest jeszcze bardziej towarzyski niż ja w jego wieku i choć rzadko bywa w domu... Mówiłem pani doktor, że podobnie jak pani, interesuje go bardziej praca w terenie... W każdym razie nawet dzisiaj, ledwo weszliśmy, już został porwany przez stęsknionych kolegów.

– Proszę się nie martwić. To dobrze, że jest tyle osób, które czekają na jego powrót – odpowiada Marcjanna. – Chciałabym, żeby Klara miała więcej znajomych, ale niestety nasz tryb życia nie bardzo na to pozwala.

– Karol na pewno chętnie przedstawi Klarę swoim szkolnym kolegom. Wielu z nich ma już narzeczone, wszyscy są właściwie ze znajomych albo koleżeństwa po fachu, więc mogę za nich ręczyć. Niech no go tylko znajdzie...

– To bardzo miłe, ale naprawdę, niech się doktor nie fatyguje. Może uda nam się zapoznać z panem Karolem w antrakcie. – Mama wykonuje ruch, jakby chciała ruszyć dalej.

– Ależ to żadna fatyga. Tak rzadko panie bywają u nas, chcemy pokazać miasto z jak najlepszej strony, zwłaszcza młodej panience.

Klara zna miasto na tyle, żeby wiedzieć, że kręgi, w których obraca się jej matka mają niesamowitą umiejętność mówienia o młodych ludziach, przede wszystkim kobietach, przy nich i o nich, ale nie zwracając się do nich bezpośrednio. Wystarczy jej to, żeby wyrobić sobie zdanie o zwyczajach panujących w stolicy.

Rozmowa między doktorem Hajdukiem a Marcjanną trwa dalej, ale na szczęście temat Klary został zakończony. Od słowa do słowa, okazuje się, że siedzą w sąsiedzkich łóżach i doktor zaprasza je do swojej, dopóki Helena się nie pojawi, bo „Karol jest miłośnikiem baletu i może pomóc panience Klarze zrozumieć zasady, skoro nigdy wcześniej nie widziała tego spektaklu”. Marcjanna próbuje się jeszcze od tego wykręcić, ale doktor nie daje za wygraną: odprowadza je na ich miejsca, stwierdzając, że i tak musi znaleźć Karola. Kiedy drzwi łoży się zamykają, wydaje się, że udało im się uniknąć dwóch godzin w towarzystwie doktora Hajduka i jego rodziny, jednak gdy wybrzmiewa ostatni dzwonek, drzwi znów otwierają się i doktor jowialnie oznajmia:

– Widzę, że nadal ani śladu po pani znajomych. Zapraszamy zatem do nas. Balet lepiej przeżywa się w grupie!

Żona doktora Hajduka to blada osoba o kruczonych włosach przeplatanych siwizną i brązowych oczach zrezygnowanej sarny. Wzdryga się za każdym razem, gdy jej mąż wybucha swoim kaszlącym śmiechem, co tylko utwierdza Klarę w przekonaniu, że nikt nie wie na pewno, czy doktor akurat ma setny ubaw, czy się zadławia. Osławiony król towarzysza Karol wciąż jest nieobecny, mimo że światła już przygasają, a wraz z nimi ostatnie rozmowy wśród publiczności. Klara zajmuje jego miejsce przy barierce, zupełnie nierozczarowana tą nieobecnością.

Scenografia ogranicza się do czarnych i szarych tkanin, które powiewają, najwyraźniej reprezentując Mgły. Legenda opowiadana jest od końca. Muzyka natomiast, powoli narastająca od werbli i kontrabasów, gdy wybucha w całej swojej okazałości jako tło do choreografii żałoby matek, których dzieci poległy w Wielkiej Wojnie, sprawia, że serce Klary zaciska się boleśnie. Każdy takt skrzypiec jest jej własnym lamentem, linia pianina sprawia, że łzy pchają jej się do oczu. Musi zacisnąć ręce na barierce, żeby nie zatkać ust ciągle paplającego doktora Hajduka, który stara się zabawiać jej mamę.

– Podobno same kostiumy pochłonęły jedną trzecią budżetu.

– Łoża obok nas należy do księcia Mesali, ale rzadko go widzujemy. Z kolei naprzeciwko nas jest sekretarz Sulla. Dzisiaj bez małżonki, ale za to z młodym Erykiem, synem jego zmarłej siostry. Bardzo zdolny chłopak, z tego co słyszałem. Mój Karol miał okazję go poznać.

– Oskar Sulla jest przeciwny naszym badaniom – szepcze Marcjana, zamykając doktorowi na moment usta. Klara nie wiedziała o tym, więc z ociąganiem odrywa wzrok od sceny. Mama rzadko opowiadała jej o tych, którzy byli przeciwni jej projektom, więc Klara czuła się zastrygowana, kim są tajemniczy, złowieszczy Sullowie.

W świetle padającym ze sceny niewiele widać, ale mimo to nie ulega wątpliwości, że młody mężczyzna siedzący dokładnie naprzeciwko niej odwzajemnia spojrzenie. Przechyliła lekko głowę, jakby nie mógł się zdecydować, czy się jej ukłonić, niepewny, czy zostali sobie przedstawieni. Klara widzi przede wszystkim zarys jego sylwetki i to, że jest wyższy od swojego towarzysza.

Kopnięcie w krzesło sprowadza jej myśli z powrotem do ich łoża. Ktoś zajął miejsce za nią.

– Gdzieś się podziewał? – szepcze przenikliwie doktor Hajduk do przybysza. Najwyraźniej Karol jednak postanowił dołączyć do rodziców.

– Mama Leona potrzebowała konsultacji – odszeptuje przybysz, poprawiając kołnierzyk koszuli. Mimo półmroku, odległość między nim a Klarą jest na tyle niewielka, że dostrzega ślad szminki na kołnierzyku białej koszuli.

Karol puszcza do niej oko, ale próbuje zetrzeć ślad kciukiem.

– Mama Leona próbuje cię wyswatać ze swoją najmłodszą córką – odzywa się po raz pierwszy żona doktora – a jej hipochondria pozwala jej na tobie żerować. A teraz obaj zamilknijcie. Panna Klara próbuje skupić się na spektaklu, podobnie jak ja. Porozmawiamy w antrakcie.

Klara patrzy z podziwem na zblazowaną doktorową i zastanawia się, czy przejrzała też kłamstwo swojego syna, bo kimkolwiek są mama i siostra Leona, Klara jest dość pewna, że szminka na kołnierzyku Karola nie należy do żadnej z nich.

#

Antrakt, zgodnie z jej przewidywaniami, jest festiwalem zachwalania Karola, zarówno jako chirurga – do Marcjanny, jak i obytego młodego człowieka – do Klary, która wytrzymuje całe pięć minut, zanim wymawia się koniecznością poprawienia fryzury i ucieka do toalety.

Wraca z drugim dzwonkiem. Karol, szturchany przez ojca, oferuje jej ramię.

– Niech panienka wyświadczy przysługę nam obojgu i przynajmniej udaje, że się dobrze bawi – szepcze do niej konspiracyjnie i znów puszcza oko. Klara zaczyna podejrzewać, że to jakiś tik.

– Nie – burczy. Po chwili jednak bierze go pod ramię, bo czuje wyciekające spojrzenia ich rodziców na karku i już słyszy nabrzmiałe rozczarowaniem westchnienia Marcjanny po powrocie do domu.

Gdy z powrotem zajmują miejsca w łoży, kurtyna jest podniesiona i scenografia prezentuje wnętrze pałacu z widokiem na lazurowe morze. Światła jednak jeszcze nie zgasły. Klara spogląda dyskretnie w kierunku łoży naprzeciwko, ale ta jest pusta.

Na scenę wchodzi mężczyzna ubrany w czarny frak. Klara zauważa go jako jedną z pierwszych, bo sala pozostaje w pełni oświetlona. Część widzów na parterze wciąż stoi, rozmawiając ze znajomymi. Łoże wypełniają się powoli.

Mężczyzna wychyla się z proscenium do orkiestry i mówi coś do dyrygenta. Ten przytakuje i kiwa do sekcji dętej, która pospiesznie zajmuje miejsca. Po chwili szmer rozmów na widowni zostaje przecięty trzema seriami przeciągłego tonu – to trąbki i puzony imitują dźwięk syren alarmowych. Klarze, która ostatni raz słyszała je tydzień temu w osadzie przy Centralnej Puszczy, włosy stają na głowie. Syreny oznaczają jedno – Mgły się przemieszczają.

Rozmowy zamierają jak ucięte nożem. Cała uwaga skupia się na scenie. Ci, którzy stoją, nie próbują nawet zająć miejsc, wryci w posadzkę tam, gdzie zaskoczył ich niespodziewany dźwięk. Mężczyzna na scenie odkasłuje w pięść.

– Co dyrektor Biegański robi na scenie? – Karol pyta z niedowierzaniem. – Jego aktorskie dni są chyba już dawno za nim.

– Nie wygłupiaj się – karci go ojciec. – Coś musiało się stać.

– Szanowni państwo, przepraszam, że muszę państwu przerwać ten niezwykle, premierowy wieczór – głos dyrektora jest tubalny – ale otrzymaliśmy doniesienie, że ze względu na silny wiatr ze wschodu, Mgły znad Pogorzelska nadchodzą nad miasto. W związku z tym...

Kolejne słowa dyrektora, mimo jego doniosłego głosu, toną we wrzawie, która wybucha i unosi się pod kryształowy żyrandol jak rój rozszlonych pszczoł. Dopiero trzy gongi z orkiestry powodują, że Biegański może kontynuować.

– Proszę zachować spokój. Teatr Wielki jest przygotowany na tę okoliczność jak każdy inny budynek użyteczności publicznej.

Dyrektor mówi z przekonaniem, ale coś w jego postawie gryzie się z przyjętym tonem wypowiedzi. Im dłużej Klara mu się przygląda, tym więcej dostrzega oznak zdenerwowania. Kilka napomadowanych kosmyków wymknęło się z ułożonej fryzury. Marynarka jest rozpięta. Wzrok dyrektora ucieka za kulisy, jakby chciał czym prędzej zejść ze sceny albo jakby znajdował się tam ktoś, kto podpowiada mu, co powinien robić. Sądząc po tym, że publiczność nie cichnie, wrażenie, że dyrektor robi dobrą minę do o wiele gorszej gry jest powszechne.

W tym momencie drzwi do łoży Hajduków otwierają się i staje w nich młody mężczyzna.

– Pani doktor, ojciec byłby zobowiązany, gdyby dołączyła pani do niego w gabinecie – zwraca się do Marcjanny.

– Pana ojciec? – Marianna przygląda mu się z uprzejmym zdziwieniem.

Karol odchrząkuje.

– Pani doktor, proszę pozwolić, że przedstawię Leona Biegańskiego. Syn dyrektora teatru i obecny dyrektor artystyczny.

– Ach, oczywiście. Klaro. – Mama podnosi się i kiwa na nią.

Hajdukowie również podnoszą się z miejsc, niepewni, co ze sobą zrobić. Doktor porusza nerwowo wąsami. Zapewne chciałby być w centrum wydarzeń.

Dyrektor Biegański (młodszy) widocznie rozpoznaje tę potrzebę, bo dodaje:

– Oczywiście państwo też powinni do nas dołączyć.

W ten sposób ich mała grupa trafia do gabinetu dyrektora Teatru Narodowego, wsypując się do niego bez ładu do składu. Trójka mężczyzn

pochylona nad długim stołem pośrodku pokoju unosi na nich spojrzenia. Poza dyrektorem, który z roztargnieniem targa się za brodę, Klara nie rozpoznaje żadnego z nich.

Marcjanna bierze wdech w sposób, który Klara zna z obserwowania jej nad stołem operacyjnym, gdy kończyła, która miała być do uratowania, okazuje się wymagać amputacji. Plecy mamy napinają się i postępuje krok w bok, jakby chciała ukryć Klarę przed dwójką nieznanymi.

– Ach, pani doktor. – Biegański podchodzi do Marcjanny i energicznie potrząsa podaną przez nią ręką. – Sekretarz Sulla miał świetny pomysł, żeby poprosić o pani wsparcie w tej przykrew sytuacji.

– Oczywiście, oboje jesteśmy gotowi pomóc – wrywa się doktor Hajduk. Stojący obok niej Karol przeciąga dłonią po twarzy, wyraźnie zażenowany. – Panie sekretarzu, panie Sulla. – Jesteśmy do dyspozycji. Oczywiście szczęśliwie się składa, że akurat jest z nami doktor Zeflik. Nikt nie ma więcej doświadczenia od niej, ale też mój syn, Karol, może podzielić się świeżym spojrzeniem na sprawę... Wiedzą panowie, zaczął pracę w przygranicznych miejscowościach po egzaminie lekarskim... Tak, ja natomiast mogę służyć doświadczeniem.

– Józefie, muszę usiąść – przerywa mu doktorowa i ciągnie go za ramię do fotela pod oknem. Karol bezgłośnie jej dziękuje, tymczasem przenikliwe spojrzenie sekretarza Sulli powraca do Marcjanny. Jego siostrzeniec przez całą tę wymianę nawet nie podniósł głowy znad rozłożonych na stole papierów. Klara przygląda się Sullom z zainteresowaniem: obaj są brunetami, przy czym sekretarz jest szpakowaty. Obaj mają długie nosy i bladą cerę mieszkańców południowej górskiej prowincji. Sekretarz ma przy tym zimne, szare oczy i coś pogardliwego w wyrazie ust.

– Zawsze z zainteresowaniem czytamy raporty pani doktor z jej podróży – zwraca się teraz ze śpiewnym południowym akcentem, który tylko wypukla pogardliwą intonację słowa „podróż”.

– Zauważyłam. Podczas wystąpień przed izbą zawsze wyraża pan swoje zainteresowanie moją pracą w pytaniach – odpowiada chłodno Marcjanna.

Sekretarz uśmiecha się, jakby cieszył się z przeciwnika. Jego spojrzenie przenosi się na Klarę obserwującą scenę znad ramienia mamy.

– A to...?

– To córka pani doktor – spieszy z wyjaśnieniem doktor Hajduk, choć małżonka mocno trzyma jego łokieć, żeby nie przeszkadzał.

Marcjanna podchodzi do stołu i przysuwa do siebie jeden z dokumentów rozłożonych na planie. Klara dostrzega kredens z armią karafek pod przeciwległą ścianą i nonszalancko zmierza do niego, po drodze próbując dostrzec treść dokumentów, które tak pochłaniają Eryka Sullę.

– Podejrzewam, że zaprosili nas tutaj panowie w konkretnym celu. Jednak moja specjalizacja skupia się na zapobieganiu wczesnych objawów Mgieł, tymczasem – postukuje palcem w kartkę przed sobą – budynek teatru powinien uniemożliwić dostanie się Mgieł w ogóle.

– Tak, niestety... Widzi pani doktor... Okazuje się... – dyrektor wykręca rękę.

– System bezpieczeństwa drzwi i okien nie działa – wyjaśnia sekretarz. – Musimy zastanowić się, jak rozłokować widzów i czy możemy jakoś zapobiec efektom Mgieł, jeśli nie uda się go odblokować w ciągu najbliższej godziny. Eryk – kładzie rękę na ramieniu młodszego Sulli – zasugerował, że pani działanie może pomóc zminimalizować ryzyko.

Eryk odpycha się od stołu i odzywa się po raz pierwszy od ich przyścia. Wygląda na niewiele starszego od Klary, z gładką twarzą i głęboko osadzonymi, ciemnymi oczami. W przeciwieństwie do Hajduków jego włosy są tylko lekko zaczesane i kręcą się nad czołem i wokół uszu.

– Wuj wspomniał, że raporty pani doktor są niezwykle cennym źródłem informacji. - Praca, którą wykonuje pani zupełnie sama, jest imponująca i dlatego – przygląda włosy na karku – pomyślałem, że może pani doktor mieć pomysł, jak poradzić sobie z ograniczoną przestrzenią, w której możemy zgromadzić widzów i zespół teatru.

– Oczywiście naszym priorytetem jest ochrona publiczności – wtrąca jego wuj. – Wiele istotnych dla naszych społeczności osób, w tym kilku innych reprezentantów, przyszło na dzisiejszy spektakl.

Zapada cisza. Klara, która nie może już iść dużo wolniej, jeśli ma zachować pozory, że próbuje ugasić pragnienie, rozumie, że nikt nie chce powiedzieć na głos, o co tak naprawdę chodzi. Jeśli jej mama nie może wykorzystać swoich badań nad leczeniem wczesnych objawów kontaktu z Mgłami i jeżeli nie uda im się znaleźć sposobu na odblokowanie systemu zabezpieczenia budynku, trzeba będzie wybrać, kogo chronić przed napływem Mgieł, a kogo poświęcić.

Ewa Bugajska:

Wyniszczona wojnami Republika wiele lat temu postanowiła skryć się w cieniach między granicami europejskich państw. Jednak tym legendarnym bohaterom, którzy odpowiadali za jej ukrycie, coś poszło nie tak. Niedługo po tym, jak Republika zniknęła z map, pojawiły się Mgły, które coraz bardziej wgryzają się w jej ziemię i sprawiają, że obywatele zapadają w dziwny senny paraliż.

Osiemnastoletnia Klara zna jedynie świat pełen Mgieł, i to z pierwszej ręki. Podróżuje po najbardziej zagrożonych obszarach z mamą, która poświęca się znalezieniu lekarstwa na paraliż sprowadzany przez Mgły, jednak w przeciwieństwie do niej nie planuje zbawiać świata. Nie ma jednak możliwości o tym decydować. Chcąc uciec od życia w cieniu matki, zwraca się o pomoc do znajomej rodziny – Heleny – która prowadzi warsztat ślusarski w stolicy Republiki i potrafi otworzyć każde drzwi. Zwykle zatrudnia się ją do otwierania takich, które powinny zostać zamknięte.

Do otwarcia takich drzwi próbuje zaangażować Helenę Oskar Sulla – sekretarz Republiki odpowiedzialny za bezpieczeństwo. Niespodziewany napływ Mgieł do dotychczas bezpiecznej stolicy przyspiesza jego plany i pozwala mu przekonać oponentów do wyprawy po tajemniczą broń. Niestety Helena znika tej samej nocy.

Podając się za uczennicę Heleny, Klara dołącza do ekspedycji Sulli w zamian za jego pomoc w odnalezieniu mentorki. Wraz z Erykiem, kierującym grupą siostrzeńcem sekretarza, i Juratą, reporterką opozycyjnego dziennika „Nowa Republika”, wyrusza w podróż poza granice świata, który znała do tej pory. Musi się zmierzyć z nieprzejrzyistymi zamiarami swoich towarzyszy i koniecznością wyboru między tym, co łatwe, a tym, co dobre.

W tej feministycznej baśni spoza czasu otwarcie siedmiu zamków siedem razy okazuje się przy tym najmniej skomplikowaną zagadką do rozwiązania. Tajemnice się mnożą: co znajduje się za drzwiami? Co łączy Mgły z rodziną Klary? Kto chce uratować świat, a kto chce przejąć nad nim kontrolę?

Pierwsza część planowanej trylogii ze świata Mgieł.

Marta Fałęcka

Chów klatkowy

1.

Świdrowały mnie stare baby usadowione obok siebie, ramię w ramię, biodro w biodro jak kury na grzędach, ciasno. Gnieździły się na przyniesionych od sąsiadów krzesłach ustawionych wzdłuż ścian pokoju. Co chwilę któraś piała jakąś modlitwę. Moje starsze kuzynki grzecznie chlupały, tak jak trzeba. Reszta dzieciaków wpadała do kuchni po coś do picia jak po ogień, żeby znowu rozbiec się z piskiem. Chłopy piły w kuchni. Kryły się przede mną, bo podobno na początku, kiedy tu przyjechalśmy, strasznie się darłam, widząc, że ktoś pije. Bajdurzą te chłopy. Wszyscy wiedzą, że chodzi o to, żeby im nikt nie wyczytywał.

Stałam w progu. Mała kropielniczka wbijała mi się w ramiona, a ja patrzyłam jak Jezus i Maryja odsłaniają swoje serca zgrabnymi palcami. Kiedyś ukradłam inne serce. Było wielkie i ciepłe. Niosłam je pod koszulką do łazienki, a resztki krwi spływały mi po brzuchu. Miałam nadzieję, że nikt mnie nie przyłapie i że za bardzo się nie ubrudzę, bo zaś będą się darli. Suka Muszka towarzyszyła mi w tym przemyście. Musiałam podwójnie uważać, miejsce psa jest na polu, a jedzeniem nie wolno się bawić.

Kiedy tak szłam z ciepłym sercem przyklejonym do brzucha, miałam wielką ochotę, żeby przeparadować po podwórku, śmiać się złowieszczo i wołać do wszystkich: patrzcie, a mówiliście, że nie mam serca. Po takim czymś musiałabym chyba uciec z domu, dlatego wołałam schować się w łazience. Ścisnęłam swoją zdobycz. Pompowałam w nią powietrze. Serce poddawało się moim naciskom, ale życia już w nim nie było, duszy tym bardziej. Muszka zlizywała krew z podłogi. Wkładałam palce we wszystkie zakamarki tego dziwnego mięśnia. Chciałam zrozumieć, jak to działa. Znaleźć ten bębenek, który w nim bije. Nożyczkami do paznokci rozciąłam tkanki na pół. Przesuwałam palcami po dziwnych pajęczynowatych strukturach, prężyły się pod moimi palcami jak struny. Sprawdzałam fakturę wszystkich rurek wchodzących i wychodzących z serca. Powąchałam je. Polizałam. Więc tak smakuje miłość. Jak garnek na mleko.

Znudziło mi się. Oddałam serce Muszce, pożerała je łapczywie. Nie wiem, jak udało jej się nie porzygać: kawał mięcha był prawie jej wielkości. Nikt nie szukał serca, które skradłam świni.

Kiedys na Jedyncy mówili, że przeszczepiają świńskie zastawki ludziom. Znaczy, że serce jezusowe musi chociaż trochę być świńskie. Na obrazku nie było. Nie chciało mi się dłużej patrzeć na Jezusa i Maryję. Nie mogłam już słuchać babskiego zawodzenia. Wymknęłam się z pokoju i poszłam szukać pozostałych dzieciaków.

Tego dnia nikt nie kazał nam oglądać dobranocki, nikt nie krzyczał, że woda w misce wystygnie i trzeba się kąpać. Cały dzień wszyscy się modlili, więc paciorek też został nam odpuszczony. W imię ojca czy syna?

W końcu wszyscy sobie poszli.

W kuchni zostali domownicy, jak to się mówi: najbliższa rodzina.

Dwaj bracia mojej matki królowej apostołów siedzieli przy stole, ciotki stały za nimi. Pewno nawet nie zdawały sobie sprawy, że wyglądają jak swoje lustrzane odbicia z tymi rękami opartymi o ramiona swoich chłopów, z przechylnymi w ten sam sposób głowami, oczami biegającymi to po stosach papierów rozłożonych na stole, to po parze naprzeciwno. Kierowały swoimi mężami subtelnie i zręcznie. Podziwiałam spryt moich ciotek i dziwiłam się głupocie wujków. Po ściągniętych brwiach jednego i przeciągłym miętoleniu twarzy drugiego poznałam, że nad stołem podejmowane są jakieś ważne decyzje. Kucałam w progu między pokojem a kuchnią i stawałam się niewidzialna. Słyszałam coś o polach, kawałkach. Co dla kogo i komu bardziej. Padło imię mojej matki wsławionej. Strzygłam uszami jak nasze króliki w stajni. Zamknęłam oczy, żeby lepiej słyszeć. I wtedy ciotka mnie zobaczyła. Zasycała wściekła tym okropnym szeptem, który mógłby być krzykiem, że powinnam już spać, że to są sprawy dorosłych, że mi nic do tego, że na pewno matka wysłała mnie na przeszpiegi, że wszystkie dzieci w domu już dawno śpią, a ja jak zwykle kombinuję jak koń pod górkę. Wujkowie próbowali ją uspokajać, że przecież nic się nie stało, że taki dzień, że nikt nie przypilnował, że przecież i tak nie zrozumiem. Ale to ją jeszcze bardziej rozsierdziło. Energicznym susem skoczyła do mnie, ale ja byłam szybsza.

Nie chciało mi się jeszcze spać, więc poszłam do pokoju z krzesłami. Nikt ich nie sprzątnął. Jutro też będą potrzebne. Weszłam w głąb. Tylko mała lampka w kształcie Maryjki rozjaśniała pokój we wszystkich kolorach tęczy. Oparłam rękę o drewno. Długo patrzyłam na obce zmarszczki, na wyostrzone rysy, rozlane ciało. Na dłonie ściskające różaniec. Mogła już puścić te brzytwę, przecież nie utonie. Dotknęłam jej buzi. Zimna Zośka.

Nie zezłościła się, że ją zaczepiam. Nie strzepła mi ręki. Nie fukła, że bym się nie wygłupiała.

Zawsze okropnie się złościła, kiedy puszczały reklamy szamponów. Nie znosiła rozpuszczonych włosów, grzywek lecących do oczu, niesfornych kosmyków. Cesała mnie gładko w warkocz i wpinała we włosy miliony spinek. Musiało być porządnie. Schludnie. I tak ja i moje sześć kuzynek codziennie rano ustawiałyśmy się w kolejce, a ona na taśmie produkcyjnej naszej łazienki nadawała nam formę. Tylko moje rodzeństwo, Boguś i Bobo, nie chodzili w warkoczu. Mimo, że ona cesała nas codziennie, ja głaskałam ją teraz pierwszy raz po włosach.

Dopiero po chwili zobaczyłam, że w uszach ma wetkniętą watę. Rozchyliłam jej wargi, delikatnie, bo bałam się, że jednak może mnie

ugryźć. Tam też wata. A przecież zawsze chciała mieć usta pełne ziemniaków. Pobiegłam do spiżarki i przyniosłam trochę. Miała mocno zaciśnięte szczęki, jakby dalej była na mnie zła, ale udało mi się wepchnąć ziemniaki przez dziurę po piątce. Podniosłam jej powieki, patrzyła pochmurnymi oczami na obrazy z Maryją i Jezusem nad jej głową. Poczulałam ulgę, że tym razem złości się na nich. Zamknęłam powieki, tak jak się to robi na filmach. Trzeba to robić powoli, wydychając powietrze. Koniecznie trzeba odwrócić głowę w bok. Bez odwrócenia się nie liczy. Zrobiłam to po mistrzowsku. Zasłużyłam na Telekamerę.

Chwilę poświętowałam nieoczekiwany sukces i wróciłam do oglądania ciała. Zauważyłam, że za uszami jej skóra zrobiła się bordowa, potężny siniak rozchodził się po całym karku. Łydki i uda też pokryły się już siniakami. Próbowałam zobaczyć, jak wyglądają ramiona, ale beton już zastygł w jej stawach.

Mówiła na nie pelikany. To właśnie je lubiłam najbardziej. Kiedy opierała łokcie na stole, były takie miękkie i gładkie. Pozwalała mi chwilę je głaskać, a później znowu, żebym dała spokój, że też takie mi się zrobią, że jeszcze się doczekam.

Wyglądała bardzo ładnie, jak zawsze. Założę się, że sama uszyła sobie tę garsonkę kilka lat wcześniej. Czekać na śmierć też trzeba umieć.

Pomyślałam, że muszę odprawić obrządek, ale trochę się przestraszyłam, że ten jutrzejszy już nie będzie się liczył.

Podsunęłam sobie taboret spod ściany i wgramoliłam się do mojej babci, do trumny. Położyłam się jak zawsze, żeby nie dmuchać wydychanym powietrzem do ucha, ani nie dotykać zimnymi stopami, chociaż teraz pewno ona miała zimniejsze. Było całkiem wygodnie leżeć w tych miękkich atłasach, wachać babcię, która ciągle pachniała jak zawsze selerem i pietruszką. Wreszcie nie chrapała i dało się normalnie zasnąć. Moja babcia też w końcu się porządnie wyśpi, tak jak mówiła, na cmentarzu.

Zrobiła się okropna afera, że śpię z babcią w trumnie. Moja matka szarfarka łask próbowała mnie bronić, ale jej bracia byli nieugięci. Kłócili się bardzo długo, nie wiem o co, bo uciekłam. Efekt był taki, że moja matka przedziwna doszła do wniosku, że musimy się pożegnać. Spakowała nas w kilka godzin. Takie wyprowadzki to kwestia wprawy, a moja matka ucieczka grzesznych była weteranką. Czekaliśmy tylko, aż babcię huźną trzy razy nad progiem i zaśpiewają jej „Witaj, Królowo nieba”, żeby powoli i już bez świadków przybierała kolor ziemi.

Długo zastanawiałam się, dlaczego właściwie się wyprowadziliśmy. Babkę Bóg dał, Bóg zabrał. Niemożliwe, żeby jej ostatnie tchnienie mogło nas tak daleko popchnąć. Przecież dopiero co przyjechaliśmy. Jeszcze mi brzęczy w głowie ojciec wrzeszczący na pożegnanie do mojej matki gwiazdy zarannej, że do dupy z trójką pójdzie. Ale moja matka dom złoty zabrała nas pod pachę i sobie poszła. Zbyt wielu opcji z takim objuczeniem nie miała. Więc zamieszkaliśmy u babci.

Myślałam, że jesteśmy jak dobrze zgrane, wielopokoleniowe i całkiem liczne stado, w którym wszystko opiera się na spojrzeniach i sposobie stawiania kroków. Nic nie wskazywało, że termin naszej przydatności przypada na koniec życia babki. Zwłaszcza, że odkąd tu przyjechaliśmy bardzo się starałam zachowywać normalnie, chociaż czasami się zapominałam.

Na przykład nie dalej jak tydzień wcześniej, pobiłam się z kuzynką o rower. Co prawda to był jej rower, ale była umowa. To nie moja wina, że nie zauważyłyśmy otwartych drzwi do piwnicy i wpadła tam, i złamała sobie rękę. Przecież to szczęście w nieszczęściu. Bo mogłaby się po prostu zabić.

A może jorgnęli się, że zjadłam w tajemnicy przed wszystkimi puszkę sardynek i bombonierkę dla gości, które wygrzebałam w spiżarni. Kara przyszła na mnie niespodziewanie. Ledwo udało mi się dobiec do wychodka, bo mi się z tej szybkości zupełnie zapomniało, że babcia, która zabraniała załatwiać się w domu, już nie żyje.

A może ciotka Luśka miała już dość kolejnego miotu kotów ratowanych od rychłej śmierci, albo tego że mimo wyraźnego zakazu chodzimy oglądać „Power Rangers” na górę Tam Gdzie Telewizor.

Albo to kara za to, że kiedyś przyprowadziłam cielę do kuchni, żeby się napiło mleka, bo strasznie beczało. A ono zamiast się napić i wyjść, to zesrało się w sieni na nowe buty i nie było w czym iść do kościoła.

Jedno jest pewne.

Kiedy mojej babce zamknęły się oczy, nam się otworzyły, a matce zacisnęły się szczęki. Bardzo to jest polska historia, a na dodatek jeszcze padało.

Plus całej sytuacji jest taki, że mój ojciec okazał się fałszywym prorokiem. W chwilach wzburzenia wytykał matce, że wypchnęli ją z chałpy jak ostatnią furę gnoja. Ale przy wypychaniu gnoja jest kupa roboty. Myśmy się wynieśli jak pany, po angielsku. Dziady, ale honorowe.

To była dosyć spektakularna podróż, więc ją opowiem. Było ciasno i okropnie śmierdziało. Z przodu siedziała matka pociecha migrantów w towarzystwie worka z ziemniakami. My na tyłach. Nie dało się otworzyć okna. Bobo wierciło się zniecierpliwione na kolanach Bogusia, bo zazwyczaj to on pilnował, żeby niczego nie zeżarło ani się nie zrzygało. A biedny Boguś radził sobie jak mógł. Przytrzymał wszystkie rączki Bobo i jednocześnie próbował jakoś ratować się przed żrącym smrodem stajni, naciągając brodą podkoszulek na nos. Ta stajnia to przeze mnie. Trochę za długo się żegnałam i ubranie przeszło mi smrodem. Co mogłam poradzić na to, że ze wszystkich osób na świecie najbardziej lubiłam psy i krowy.

Po drodze matka łaski bożej zaczęła mówić różaniec, tajemnicę bolesną, w której Jezus upada, a fiat 126p rzezi ostatkiem sił.

Matka wspomnienie wiernych mówiła, żebyśmy liczyli na palcach zdrowaśki, bo ona się musi skupić na prowadzeniu. Matka radosna w ogóle chyba nie zwróciła uwagi, że toniemy w tych wszystkich rzeczach i swiergotała, że niedługo dojedziemy, że będzie plac zabaw i – o zgrozo! – że będzie tam jeszcze więcej dzieci niż w starej chałpie!

Między *Ojciec nasz* a *któryś jest w niebie* popatrzyłam wymownie na brata, próbując jednocześnie wyjąć z buzi Bobo kłaka niewiadomego pochodzenia. W ogóle nie było mi do śmiechu, więcej dzieci niż w starej chałpie oznacza, że trzeba będzie próbować dzielić zero na kolejne części. Na *chleba naszego powszechnego* sturcham łokciem Bogusia, żeby pomógł mi przebłagać jedyne go ojca, który mógłby nam jakkolwiek pomóc, tego, który jest w niebie. Jako przyszły ksiądz miałam pewne umiejętności w wymodlaniu sobie rzeczy, ale to właśnie Boguś był specjalistą w przebłaganiu.

Bobo mnie strasznie obśliniło. Trąciłam ręką Bogusia, który jechał z głową odchyłoną do tyłu i łapał powietrze jak Rose z „Titanica”, ale Jack nie przychodził, nie rozłupał siekierą metalu i nie uwolnił nas. Za to Bobo znowu coś żarło. Mój brat wprawiony w ogarnianiu Bobo klepał zdrowaśki, jedną ręką obejmował dziecko, a drugą wydłubywał paprocha nieznanego pochodzenia z jego uslinionej buzi.

Matka pocieszycielka strapionych zerkała co chwila na nas przez lusterko. Miała oczy dookoła głowy, dlatego ciągle przeskakiwały to na tył, to na przód. Kontrolowała, czy ładnie mówimy pociorki i czy droga układa się równie pomyślnie. My grzecznie, jak Bóg przykazał, na wzgórzu z worków po polifosce. Strach się było wiercić, bo za każdym razem coś wbijało się to w tyłek, to w plecy.

Maluch warczał niemiłosiernie, znaczy, że górka. Miałam nadzieję, że uda mu się jechać troszkę szybciej, bo wtedy mogłoby się zrobić to uczucie w brzuchu. Moje ulubione. To przy szybkim zjeżdżaniu jest miłe, ale jeszcze miłsze jest to na rancie wersalki u babci w pokoju. Dlatego zawsze chodziłam na różaniec z radjka. Trzeba było długo czekać, bo nie można się bardzo kręcić na modlitwie. Uczucie przychodziło po apelu jasnogórskim, kiedy chór śpiewał *od nagłej a niespodziewanej śmierci*. Zawsze bałam się tej piosenki, ale za wszystko w życiu trzeba płacić, tylko waluta jest różna.

Moje modlitwy jak zawsze zostały wysłuchane. Maluch bardzo powoli zaczął staczać się z górki, jakby próbował złapać oddech po wyczerpującym sprincie. Po chwili przestał zupełnie charczeć i kaszleć. Słychać było tylko narastający świst powietrza wpadający przez nieuszczelne szyby. Samochód rozpędzał się coraz bardziej. To była moja szansa. Ostrożnie zsunęłam się na koniec siedzenia i czekałam, aż pęd i wyboje na drodze zrobią swoje.

– Kruca fuks! Nie mam hamulców! – matka stolica mądrości syknęła niemal bezgłośnie przez zęby.

Widziałam jej oczy w lusterku. Przeskakiwały nerwowo to na drogę, to na nas. Niebieska żyłka wypełzła fioletem na jej prawej skroni, pod nosem na białym wąsie pojawił się pot, a cała twarz załała się purpurą. Znaczy: nie jest dobrze. Po wstępnej ocenie doszłam do wniosku, że niewiele mogę w tej sytuacji zrobić. Na pewno nie warto się odzywać, po co rozsierdzać, na siebie gniew sprowadzać. Zwłaszcza że maluch pędzi coraz szybciej. Taka szansa może się już szybko nie powtórzyć. Kto wie, jakie tam będziemy mieć ranty w łózkach. Boguś obejrzał się, jakby myślał, że zobaczy przez tylną szybę odpadające części. Tylna szyba była założona rzeczami, więc zostało mu sobie tylko powyobrażać ten niechybny rozpad. Nagle samochód wybił się na progu zwalniającym jak Adam Małysz w Willingen. Ogromna siła wyrzuciła Bobo do przodu, Boguś w ostatniej chwili złapał dziecko za parchaty i przyciągnął je do siebie, zapierając się kolanami o siedzenie kierowcy. Ziemniaki na przednim siedzeniu wysypały się z worka. A ja, cała pochłonięta dopasowaniem ruchów ciała do tempa rozpędzającego się samochodu, z dobrodziejstwem przyjąłam to niespodziewane wybicie. Dałam się ponieść pędowi. Zupełnie zapomniałam o swoich powinnościach, o pilnowaniu rodzeństwa, o utrzymaniu siatek, świeceniu przykładem. Niespodziewanie i nagle wylądowałam po tym przelocie między siedzeniami. Byłam jak ta pani z „American Beauty”, tylko w wersji polskiej, więc zamiast płatków róż sypały się na mnie ziemniaki. Wbita w norę między siedzeniami patrzyłam, jak pozostałe bagaże fruną siłą bezwładności na przód auta. Jajka ułożone na tylnej desce rozplaskwały się kogłem-mogłem na przedniej szybie i kokpicie. Matka przeczysta ścierała je łokciem, wyciągała spod pedałów ziemniaki i próbowała opanować rozszalały samochód.

– Trzymajcie się dzieci, bo się wyzabijamy, trzymajcie się!!! – darła się moja matka dobrej rady.

Bobo wygramoliło się z uścisku Bogusia przywalonego garnkami i ubraniami. Rozsiadło się na lekko przetrąconym tronie z kołder i pomniejszych siatek w miejscu, które wcześniej ja zajmowałam. Zanurkowało między rondlem a poduszką i z siatki wyciągnęło kawałek białego sera. Wreszcie mogło przystąpić do ucztowania.

Nie trwało to zbyt długo. Boguś w końcu wykaraskał się spod bagaży i wyrwał z pulchnych rączek resztki jedzenia. Już miał go brać na kolana, kiedy samochód nagle się zatrzymał. Moja matka stolica mądrości zaciągnęła hamulec ręczny.

Boguś rypnął kolanami w przednie siedzenie. Bobo zjechało prosto na mnie. Wbiło ręce pełne białego sera w moje włosy i pociągnęło za nie jak za cugle. W aucie włączył się dotąd niedziałający klakson. Bobo wygramoliło się, depcząc po mnie, z powrotem na siedzenie. Popatrzyło bezradnie na Bogusia. Boguś na mnie. Znaliśmy doskonale ten wyraz twarzy, wiedzieliśmy, co oznacza nagła zmiana koloru na buzi i to

szarpanie brodą. Ruszyliśmy oboje na ratunek. Ja mozolnie wygrzebywałam się spomiędzy siedzenia. Boguś zerwał się i syknął z bólu, porządnie musiał przywalić tymi kolanami, ale zignorował to, rzucił się na siatkę z serem, próbując podłożyć ją pod brodę Bobo. Nie zdążył. Bobo zerzygało się na koszulkę.

2.

Szliśmy wzdłuż brzoskwiniowo-groszkowego bloku. Firanki tańczyły w oknach.

– Jak rodzina Rumunów. Patrzcie! Zupełnie jak na wsi, wszyscy na nas patrzą. Ale nic się dzieci nie przejmujcie. Nieważne, jak się wygląda, ważne, co się ma w głowie!

Dojechaliśmy do miasta, a jakby prosto z pola. Wyleźliśmy ze wskrzeszonego mocą chłopską malucha. Spoceni, brudni i zmęczeni. Poobwieszani siatkami i plecakami. Nawet Bobo niosło jakiś rondel.

Co mniej uważni obserwatorzy dawali się złapać na podglądaniu, co wytrawniejsi uchylali tylko odrobinę zasłonę, skryci bezpiecznie w jamach mieszkań. Byli też wśród nich prawdziwi specjaliści monitoringu osiedlowego, przekonani o słuszności misji podglądania w celu utrzymania porządku pod blokiem, na osiedlu, w mieście, a nawet w kraju. Bezcześnie rozpychali się łokciami na przepastnych poduchach swojej ambony myśliwskiej i badali łąpczywie każdy szczegół przedziwnego pochodu. Niektórzy nawet wołali domowników, niech i ci nie tracą widowiska.

Wszystko mnie piekło od tych spojrzeń. Boguś zdawał się ich zupełnie nie czuć, jakby był posmarowany kremem z filtrem.

– Poczekajcie chwilkę, ja pójde po klucze.

Matka patronka powracających zawsze wracała, a my jak psy przywiązane przed sklepem czekaliśmy. Nasza wspólna warta nie trwała zbyt długo. Bobo dostrzegło za żywopłotem piaskownicę i pobiegło w jej stronę. Boguś bardzo nie chciał pilnować ze mną rzeczy, też chciał się iść bawić. Użył na mnie swojego najładniejszego błękitno-przekonującego spojrzenia. Zawsze to robi, kiedy już mi się wydaje, że jestem na nie odporna. Machnęłam niedbale ręką, że niby wcale mi nie zależy, niech idzie, przynajmniej popilnuje Bobo. Więc pobiegli na te place zabaw niebieskie, na te piaskownice kocim gównem upstrzone. I wtedy ją zobaczyłam.

Była ogromna jak chata góralska wybudowana za pieniądze z Ameryki. Miała siedem piętér, balkony bioder, taras brzucha i dwie okazałe loggie piersi. Kiedy szła, przerzucała jedno biodro za drugim, jakby

rozpędzała potężny silnik tłokowy. Balansowała swoją cielesną posiadłością jak Marilyn Monroe, która zaprzedała diamenty i piękne suknie za chleb ze smalcem. Można się było tylko domyślać, ile siły wkładała w każdy krok, w końcu niełatwo ruszyć takim domiszczem. Była potężna, ale nie gruba. Była masywna, ale zwinna. Zbliżała się w niewiarygodnym tempie zgodnie z zasadą, że masa razy prędkość to pęd. Wyrosła przede mną jak pensjonat ignorujący prawo budowlane, przynosząc ze sobą zapach naftaliny i placków ziemniaczanych. Mierzyła mnie wzrokiem. Szkła jej okularów były grube jak luksfery. Tylko osoby mocnej wiary mogłyby powiedzieć, że za musztardówkami kryją się jakieś oczy. Ja nie miałam odwagi szukać tego spojrzenia, więc wbiłam swoje w ziemię, marząc o rychłym końcu: swoim bądź światowym.

– Dzień dobry się mówi, jak się widzi starszą osobę przy klatce – ryknęła do mnie i przysięgłabym, że w jej głosie było coś ze skrzywienia wrót. – Nie nauczyli cię w domu?

Poczułam jak złość we mnie puchnie. Jak robię się cała czerwona, nienawidziłam tego, że robię się czerwona. Nienawidziłam, że ten straszny babol się na mnie drze. Nienawidziłam, że stoję tu sama obłożona tymi wszystkimi rzeczami.

– Coś się tak rozkraczyła z tymi betami? Ani wejść, ani wyjść! Tu się chodzi! Tu przejście musi być!

– Czekam na mamę. Jak wróci, to pozbieramy – próbowałam się opanować, ale z każdym jej słowem było mi coraz trudniej.

– A wyście skąd się tu wzięli? Nie macie swojego domu, żeby tak zagracać?

Znam tę melodię, znam kroki tego tańca. Toż to moja babka mi te samą piosenkę śpiewała w dzień i w nocy. Znałam na pamięć wszystkie zwrotki i refreny. Ja też umiem ją zagrać i zaśpiewać.

– A żebyś wiedziała, nie mamy! I co, chujowo bezdomność dziecku wytykać?

Teraz to już na pewno pójdę do piekła, trudno.

– No co tak na mnie patrzysz? Przesuń to! Ty myślisz, że ja mam tak czas zajmować się obcymi gówniarzami?

– A kto cię, stara purchawo, w ogóle prosił o zajmowanie się? Po prostu mnie omiń! Takie to trudne?

Nawet trochę się przesunęłam, żeby jej było łatwiej. Nic to nie dało, bo ciągnęła dalej.

– Roboty tyle w chałpie! Nie ma kogo, żeby chociaż zapytał, a co dopiero co pomógł! Wszystko wiecznie ja. A teraz jeszcze obcymi dziećmi dyryguj! Nikim się nie skrzepisz!

– Weźże dajże mi spokój wreszcie, babo!

– Pięknie! Tak to właśnie jest. Zabiorą się mamusie i pójdą do roboty albo do jakiej knajpy, a dzieci samopas. Nie ma komu przypilnować i później się dziwić, że rozboje, morderstwa, kradzieże. Strach z domu wyjść. A wszystko z czego? No z lenistwa!

– Odpierdol się od mojej matki!

Oczywiście w życiu nie odezwałabym się tak do obcej i starszej osoby. Ale co sobie nawyobrażałam i nawymyślałam to moje. Zawsze bardzo się starałam, żeby nikt nie zauważył, co sobie myślę. Nawet kiedy czułam, że policzki aż płoną mi od wściekłości, wiedziałam, że zostanie to odczytane jako poczucie ulubionego przez wszystkich dorosłych wstydu. Bardzo byłam z siebie zadowolona, że tak nagadałam tej starej babie, dla wzmocnienia efektu wizualnego skruszenia rozważałam, czy by się nie popłakać. Wolałam nie ryzykować. W końcu moje łzy były dla płonącego gniewu mojej babki jak oliwa, a skoro dobry Bóg zesłał moją babkę w ciele tej baby, to mogłoby się to bardzo źle skończyć. Przysięgłam sobie darzyć tę kobietę skrytą nienawiścią do końca swoich dni. Jeszcze nie wiedziałam, gdzie będziemy mieszkać, a już poczułam się jak w domu.

– No co tak cicho siedzisz? Języka w gębie zapomniałaś? Przecież grzecznie do ciebie mówię i ładnie się pytam, to może byś starszej pani odpowiedziała. Może ty się zgubiłaś, co? Albo z domu uciekałaś? Trochę ciężko z tyłoma betami, ale kto cie tam wie.

Baba jakby złagodniała. A ja milczałam, tak jak trzeba.

Na szczęście matka królowa męczenników wróciła w samą porę, żeby uratować mnie przed pożarciem.

– O! Dzień dobry Pani Róziu!

Matka wniebowzięta, a babol ledwo zdążył obetrzeć ślinę nade mną. Teraz będziemy temu potworowi panioróziować, uśmiechać się. Jeszcze rumieniec wściekłości mi nie zszedł. Jeszcze serce mocno waliło. Matka wieża dawidowa potwora dobrem zwycięża, a mnie ściska mocno za ramię. Znaczący, że muszę się uspokoić. Jeszcze kiedyś wszyscy mnie przeproszą i podziękują mi za te poświęcenia. Jeszcze się doczekam. Nauczona doświadczeniem wierzyłam, że moja matka zwierciadło sprawiedliwości na pewno ma jakiś plan. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko się z nim pogodzić. Zacisnąc zęby.

Matka nadziei spojrzała łaskawym okiem na Różę. Przywołała Bogusia i Bobo. To oznaczało tylko jedno: będziemy się przedstawiać. Zapoznanie to część naszego rytuału, w którym moja matka szafarka łask próbuje nas zaprezentować w najlepszym świetle. Nie znosiłam tego. Cała ta popisowa, uśmiechanie. Im gorszy potwór-babol, tym bardziej trzeba się szczerzyć. Moja matka roztropna powtarzała, że pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Zastygaliśmy w trójkę w łagod-

nym uśmiechu, kiedy moja matka oliwa prawdziwa mówiła nasz wiek, imię, kładła z namaszczeniem dłonie na naszych głowach. A na koniec wisienka: Boguś i Bobo wychodzą do przodu jako ci najbardziej reprezentacyjni, najślodszy. Ten układ nie ma słabych punktów. Przez całe swoje życie nie spotkałam ani jednej starej baby, która nie uległaby urokowi Bogusia.

Po części formalnej matka najmilsza coś napomknęła o serze dla Rózy, znaczy, że musiały się dobrze znać. To był kolejny dowód na to, że moja matka przedziwna umie w bilokację. Czasami przyglądałam się jej dłoniom w poszukiwaniu stygmatów. Miałam nadzieję, że nie skończy się śmierdzącą plamą na środku czoła, jak to było u Rity. Beznadziejna sprawa.

Staliśmy stłoczeni w przedpokoju wielkości pudełka na buty. Upchani między siatami z ubraniami a drzwiami do łazienki. Jak przekazała nam Róża, drzwi opadły z nawiasów, a jej Jaśkiem się nie skrzepisz, z kolei Broni świętej pamięci nie przeszkadzało. Bronia mieszkała tutaj przed nami. Wykazała się dużą dobrocią z tym umieraniem i zwalnianiem mieszkania. Róża dodała coś jeszcze, że to dobrze, że kuchnia osobna, bo przy dzieciach to ciężko o porządek. A także podała w wątpliwość kolor włosów Bobo, że niby ciemniejsze od naszych. Jest to niewątpliwa zniewaga, nie orientuję się za bardzo, o co chodzi z tym, że tak jest, ale zauważyłam, że brew mojej mamy królowej rodzin nieco się przymarszczyła, złapała się za dłonie na wysokości żołądka, lewą ręką za kciuka prawej. Róża zakłopotła moją matkę koncertowo, istna babcia!

Tak byśmy trwali w tym impasie. Na szczęście mamy Bogusia. Złapał Różę za rękę i zasypał ją tysiącem pytań, świdrując błękitnymi oczyma, w których jak to mówili u nas, niejedna utonie. Starym babom i tak nie zostało za dużo, więc ich nie szkoda, a cóż by to była za piękna śmierć. Patrzyłam pełna podziwu na czary Bogusia. Róża zmiękła, już prawie kuca przy nim, już jej się wrota uśmiechu rozszerzają. Już jedną ręką głaszcze płową czuprynę chłopca, a drugą sięga do podomki po landrynki. A jeszcze Bobo rozkoszne podbiega i wyciąga rączki. Róża musi oddać trochę cukru dzieciom, bo zalewa ją ich naturalna słodycz. Taki nagły wzrost glukozy grozi straszną tragedią, szczególnie jak się jest starą babą.

Pewnie byśmy stężeli w tej galarecie o smaku malinowym, ale drzwi otworzyły się, zatraskując mnie między łazienką a wyjściem.

Do środka władowały się dwie inne kobiety. Najpierw wtoczyła się krasnoludzka wersja Danuty Rinn, a za nią trupio chuda kobieta. Ścisnęła worek wypchany chlebem i rozglądała się błędnie po mieszkaniu. Założę się, że ta ruda wypatrzyła nas z okna i nie mogła wytrzymać z ciekawości. Zabrała nawet koleżankę dla niepoznaki. Rudowłosa kula pokryta czarną plandeką przedstawiła się jako Wójcikowa. Nie dbale machnęła ręką na panią z siatami z chlebem, że to nasza Słowakiewiczowa, starowinka, że my tu się wszystkie tak sobą opiekujemy,

i że ona właśnie pomóc przysła. Wszystkie stare baby są takie same, przysięgam.

Róża i Wójcikowa prześcigały się w pokazywaniu nam, co nieboszczka Bronia miała i jak sobie układała, a jak one by to widziały. Jak jest po prostu lepiej. Doradzały w kwestiach praktycznych i dekoracyjnych. Nawet się nie zorientowałam, kiedy zaczęłyśmy przesuwac wersalki i fotele. Róża pobiegła po swojego syna Jaśka, bo kto to słyszał widział, żeby my stare nosiły, a chłop telewizor w chałpie oglądał. Jasiek stanął w progu zagubiony zupełnie jak przed chwilą Słowakiewiczowa. Tylko zamiast reklamówki miał w rękach pulower. W każdym jego ruchu widać było, że Róża musiała się niezle po nim wozic. Jasiek poruszał się ruchem na wpół oswojonego kota. Szedł bokiem, skrywał brzuch. Balansował na cienkiej granicy między ucieczką a atakiem. Wyglądał na jednego z tych, którzy większość czasu milczą, ale jak się dokurwią, to trzeba wiać.

Przydzielili mnie do Jaśka, bo mam siły jak tur. Nie wiem, gdzie się tak strasznie spieszyliśmy, ale co chwila tylko któraś poganiała, że kęs dnia, mało czasu, że trzeba się uwijać. Tylko Słowakiewiczowa otworzyła drzwi do balkonu, ścisnęła drżącą ręką barierkę i patrzyła w dal pustymi oczami. Róża przyniosła skórkę od słoniny, żeby lepiej było przesuwac meble. Wójcikowa potoczyła się, sapiąc na całą klatkę, po jakieś firanki. Zapała, że później oddamy, że to od razu inaczej jak w chałpie czyste wisi, bo wiadomo, że po nieboszczce to tak nieprzyjemnie. Nie wiem, czemu Wójcikowa wyszeptęła tę nieboszczkę. Chyba nie wszyscy w bloku wiedzą, że pani Bronia nie żyje. Kolejna tajemnica. Zaczynało mi się tu coraz bardziej podobać.

Słowakiewiczowa utknęła między zasłoną a firanką, ale nie było za bardzo komu jej ratowac, bo Róża i Wójcikowa przestawiały nami z prawa na lewo. Ładowały do worków rzeczy po pani Broni, żeby mieszkanie się nie zagraciło, bo przy trójce to trzeba na bieżąco niepotrzebne wyrzucać, a nie trzymac dziady jak kotka gównno. W blokach się tak nie da zbierac, tu nie ma gdzie trzymac. Tu się zostawia tylko to, co się nadaje. Doradzały w dobrej wierze, jak zawsze. Z czystej chęci pomocy. Prawie w ogóle nie było widać, jak wyrrywają sobie Bobo, żeby się do niego poprzytulac.

Kiedy już wszystko, co można było przestawic, zostało przestawione, zaczęło się herbatowanie i kawowanie. Wszędzie zawsze wszystko jest takie samo. Stawiaj wodę! Postaw wodę! Masz wodę? Nie stój nad wodą, bo się nie zagrzeje! Niech jeszcze pogwizdze, niech się porządnie zagotuje! Jak w reklamie: zawsze jest czas na kawę. Kawa domyka klamrę wszystkie wydarzenia. Kawą kończy się wizyta w kościele, zakupy, wizyta w spółdzielni i przeprowadzka. Kawę, ale słabą, z pół łyżeczki, pije się po południu. Wiadomo, że fusiastą, rozpuszczalnej nie da się pic. Chyba że z mlekiem. Niektórzy idą z duchem czasu i piją kawę ze śmietanką w proszku, od święta z mlekiem skondensowanym. My mieliśmy kawę po świętej pamięci pani Bronce, mleko nam się wylało. Wójcikowa z Różą pobiegły do mamy do kuchni rozmawiac o ważnych

sprawach. Słowakiewiczowa została z nami w pokoju, usiadła półdupkiem na wersalce i skubała chleb w siatce.

Widziałam, jak w kuchni matka moja bolesna rozkłada ręce nad panią Wójcikową, że kawa nie taka, a ta pobłażliwie macha, nic się dziecko nie martw, jaka jest, taką wypijemy. A Słowakiewiczowej zrób herbaty, jak jakaś została. Później zaczęły się trudniejsze pytania: jedna przez drugą dopytywały, co się stało, skąd przyjeżdżamy, gdzie ojciec, skąd matka moja zna Asię (kim jest Asia?), jak sobie poradzi z trójką i wreszcie najgorsze: a pracę jaką masz? A z dziećmi co będzie?

Widziałam, jak mojej matce pannie nad pannami roztrzęsły się ręce. Jak klepała się po ubraniu w poszukiwaniu papierosów, o których mieliśmy nie wiedzieć, że je pali. Jak przestawiała szklankami. Żeby chociaż one były tak jak trzeba. Widziałam, jak Wójcikowa napiera na moją matkę bramę niebieską, zamyka swoim czarnym ponczem drogę ucieczki, jak nagle rośnie. Jej ruda czupryna płonęła słońcem zachodzącym za oknem (widna kuchnia to skarb!). Nagięła się sępem nad moją matką dobrej rady. Róża nie pozostawała dłużna. Górowała nad Wójcikową i matką moją pełną łaski. Im więcej zadawały pytań, tym bardziej moja matka nienaruszona się kurczyła.

Trzeba było coś zrobić. Dałam znać Bogusiowi, że czas rozpocząć drugi akt przedstawienia. Prestidigitator był z niego pierwszorzędnym. Stał w progu mikroskopijnej kuchni i opowiedział rozzwierając serce historię o tym, jak to Bobo miało zapalenie opon mózgowych i dlatego nie mówi, ale wszystko rozumie. Później, dla rozluźnienia przygęstniałej atmosfery, rzucił kilka żartów. Sąsiadki nasze oczarowane Bogusiem szukały spojrzenia błękitnych oczu pełnych miłości. Śmiały się i patrzyły po sobie, nie kryjąc wzruszenia i zachwytu nad małym chłopcem, takim rezolutnym, co się mamusi tak udał. Ja mogłam w spokoju robić swoje. Byłam suflerem ninja, dlatego mogłam się skupić na tym, co działo się w kuchni.

Moja matka pocieszycielka strapionych kręciła się przy tych herbatokawach. Wójcikowa była mocnym zawodnikiem. Nie kryła oczarowania Bogusiem, ale nie spuszczała z oczu mojej mamy. Wójcikowa ewidentnie wygrywała przepychankę o schedę w naszym domu. Nawet zachód słońca robił ukoronowanie Wójcikowej na naszą władczynię. Jej ruda trwała lśniła klejnotami, podczas gdy niczego nieswiadoma Róża śmiała się donośnie z żartów Bogusia, aż trzęsły się szyby jej okularów i szybki meblościanki. Przez chwilę bałam się, że tym śmiechem rozbije nam kryształ po Broni w kredensie. Bogusiowi udało się zwabić Różę do pokoju. Położył jej na kolanach Bobo, które liczyło jej palce, a ona mu wierszykiem warzyła kaszkę.

Wróciłam wzrokiem do kuchni, gdzie matka królowa proroków i Wójcikowa coś ustalały. Dochodziły do mnie tylko strzępki: ja mam, ja znam, ja powiem, ja napiszę, ja zadzwonię. Ty się nic nie bój, ty siednij. Oczy mi łzawiły klute rozżarzonymi promieniami, ale czytałam wytrwale z ust Wójcikowej: to prywaciarz, to handlarz. Ma piniondze,

ma sklepy, ma masarnię, ma pensjonat, ma trzech synów. Obiecywała: będziesz robiła, będziesz miała, będziesz sprzedawała. Ale zapomniała dodać: będziesz dźwigała, będziesz oszukana, będziesz dorobiona, będziesz niedopłacona, będziesz umęczona. Moja matka bolesna obtarła wierzchem dłoni czoło. Też wiedziała, czego jej Wójcikowa zapomniała dodać. Po wysłuchaniu litanii do matek pracujących czajnik odgwizdał Te Deum.

– Ino kto ci będzie tymi dziećmi zawiadywał?

3.

My, dzieci z wolnego wybiegu, zostaliśmy przekonwertowani na dzieci z chowu klatkowego. Ci, co zostali w starej chałpie, od teraz będą o nas mówić miastowi. Abo że żeśmy się chet zmieścili, a także z miastąście dupaście. Nigdy tego nie zweryfikujemy, ale tak mówili o wujku Edku z Tarnowa, więc czemu nas mieliby oszczędzić.

Więc mieściliśmy się w czwórce na trzydziestu metrach kwadratowych. Moja matka, ja, Boguś i Bobo.

To była moja trzecia przeprowadzka, a druga ostateczna.

Przewrotny los zabrał nam jedną babkę, żeby dać nam cały blokowy ul babek. Trochę jak z tym palcem i ręką, z tym że nie do końca.

Najpierw pod skrzydła wzięła nas pani Wójcikowa. Nie bardzo byliśmy zadowoleni z tego układu. I w ogóle nie chodzi o to, że była strasznie gruba i przypominała nieudaną krzyżówkę Danuły Rinn z przefarbowaną na rudo Urszulą z „Małej syrenki”, ani o to, że najpierw było ją słyszeć, a później widać. Właściwie to była dobra cecha, bo dało się ją poznać po tym sapaniu. Charczała bez otwierania ust, a ciężki oddech haratał po krtani z osobliwą mieszanką dźwięku pieca z „Kevina samego w domu” z przesuwaniem szafy po drewnianej podłodze. My po prostu nie lubiliśmy do niej chodzić. A najbardziej nieszczęśliwe było Bobo.

Zasadniczo, widać było, że co jak co, ale w dzieci to ona nie umie. Nie puszczała telewizora, nie dawała kartek do rysowania. Nie można było rozwiązywać krzyżówek, bo to były jej krzyżówki, ani tym bardziej malować wąsów paniom z okładki. Trzeba było siedzieć i czekać. I trzeba było zjadać ładnie wszystko. A to beżowe, tłuste jedzenie piętrzyło się na talerzach jak wieża Babel i było naszą papką niezgody. Wójcikowa lubiła zjeść i lubiła, żeby zjadano wszystko ładnie, tak jak grzeczne dzieci robią. I trzeba było siedzieć, dopóki się nie zje. W sumie i tak nie było co robić. A lepiej było zjeść beżowe jedzenie, póki ciepłe, bo później tłuszcz oblepiał podniebienie, przełyk i serce.

Boguś uciekał się do przeróżnych sztuczek, nawet czasami płakał nad jedzeniem. Wtedy Wójcikowa przekupywała go, że jak zje, to mu da złotówkę. Boguś miał zawsze łeb do interesów. Ja się trochę bałam płakać. Wiadomo, jak mój płacz działał na stare kobiety.

Wtedy mi się wydawało, że Wójcikowa jest naszą jedyną opcją, więc wpychałam w siebie to jedzenie, pracując dzielnie na opinię dobrej świnki, co wszystko zje, posiadacza braku dna w dupie, a także osoby przepadzistej. Raz jeden jedyny wymyśliłam, żeby spakować beżowe jedzenie do kieszeni i wyrzucić do kibla. Wiedziałam, że nie wolno marnować jedzenia, ale usprawiedliwiałam się tym, że to w sumie jedzenia nie przypomina, więc się nie liczy za grzech. Beżowa papka była strasznie gorąca, tłuszcz skapywał mi po brzuchu, spływał do majtek. Strasznie parzył, ale nie tak mocno jak mój wstyd na policzkach. Wójcikowa mnie przyłapała i poskarżyła mamie. Matka najmilsza upomniała mnie od niechcienia przy Wójcikowej, tak jak wypada, żeby nie mówili, że nas rozpuszcza jak dziadoski bicz i nie gnie gałązki, póki młodo. Następnego dnia zapisała nas na obiady do szkoły. Oczywiście, musiałam zapłacić sowitą cenę, bo to ja – najstarsza – nosiłam te nieszczęsne menażki w czerwonej torbie. Przyczynę mojego utrapienia i jednocześnie wybawienia. Później dowiedziałam się, że to się nazywa ambiwalencja.

Wójcikowa chciała nauczyć Bogusia śpiewać. Podobno piękni chłopcy muszą pięknie śpiewać. Nie wyjaśniła, dlaczego, dopiero później połączyłam wszystkie kropki. Na razie miało mi wystarczyć wytłumaczenie wszystkiego sygnowane znakiem jakości „bo tak”. Wójcikowa miała porządną wieżę, którą kupiła sobie na jarmaku. Puszczala nam z niej różne piosenki. Pod tą wieżą była mała szufladka, w której trzymała zboczone pisma i robiła z nich kolaże. Pewnie byłyby bardzo zła, gdyby dowiedziała się, że o tym wiem. Wójcikowa, kiedy miała dobry humor, a zaczęła go mieć od momentu, kiedy przynosiłam obiady w menażce i ładnie wszystko zjadaliśmy, często nam śpiewała. Albo właściwie mówiła do nas piosenką. Kiedy śpiewała, pochylała się w pół, wypinała potężne dupsko i zginała ręce jak do kaczuszek. Przesławiała być rudowłosą purchawą na opuchniętych nogach. Zaczynała być puchatą chmurką. Oczy jej się rozszerzały, tak że można było w nich zobaczyć odrobinę więcej blasku i nadziei. Trochę nas to zawsze onieśmiało, kiedy nuciła *daj mi nogę, daj mi nogę, ja ci nogi dać nie mogę*, ubierając buty Bobo. Albo *na prawo most, na lewo most, a dołem Wisła płynie*, kiedy przechodziliśmy przez drogę. Z drugiej strony, trudno nam się było oprzeć łobuzerskiej wersji Wójcikowej. Szkoda, że zaraz po skończonym wersie, a jak mielimy więcej szczęścia, to zwrotce, Wójcikowa wracała do swojego pierwotnego stanu nieprzystępnej, otyłej szpiezki z Krainy Deszczowców.

Wójcikowa mieszkała na parterze. Zamiast ogródka z rabatą albo jarzyniaka miała wybieg dla królików. Widzieliśmy te klatki z naszego okna, ale nie mieliśmy odwagi jej poprosić, żeby nas do nich zabrała. Wójcikowa była świadoma, że im mniej ludzi o królikach wie, tym lepiej. A wiadomo, że najgorsze na świecie są w kolejności: wiatr, przy-

jaciółki i dzieciaki z osiedla. Wszystkie te trzy żywiły mogły zabrać króliki, dlatego ogródek otoczony był sporym żywopłotem. Króliki nie miały szans się przekopać pod żywopłotem. Świętej pamięci Wójcik wylał fundamenty pod ogródkiem, to on zaczął te hodowlę, bo nie ma lepszego jedzenia jak królik w śmietanie.

Trochę było roboty przy tych gagatkach. A Wójcikowej było coraz ciężiej. Sapała i furczała. Kolebała się w swojej czerni z jednej opuchniętej nogi na drugą. Schylała się z trudem i z jeszcze większym trudem się prostowała. Pot skraplał się pod rudą czupryną i na wąsie, a wielkie krople spływały między potężne piersi albo skapywały z nosa prosto na ziemię. Mogłabym jej pomóc, ale nie chciała. Za to sporo narzekała, że zanim przyjdzie zima, musi wysprzątać suszarnię i przenieść króliki do piwnicy. A najważniejsze w chodzeniu do piwnicy, to dobrze zamykać za sobą drzwi.

– Głucha Marysia dokarmia szczury. Nie da się jej do rozumu przemówić. No to sprowadziłam koty, niech nam trochę pomogą. Idziecie ze mną karmić?

Wzięłam ze sobą Bobo, przecież i tak nie powie Marysi, że Wójcikowa szykuje szczurzą zagładę. Zresztą, to nie ona ostatecznie wybiła wszystkie szczury klatkowe, ale o tym zaraz.

Poszliśmy z Bobo do tej piwnicy. Wójcikowa stała z wielkim garem pełnym beżowej papy. Wywnioskowałam, że chyba karmiła nas kocim jedzeniem. Biedne koty.

Wójcikowa kicikiciała. Z każdej strony zaczęły wylazić kocury zaka-piory. Wzięłam szybko Bobo na ręce. Nie wiem, ile było tych kotów, ale nie dało się ich policzyć. Wyglądały co najmniej na ciężko chore albo mocno doświadczone chowem klatkowym. Część miała zaropiałe oczy, inne powygryzane uszy. Wszystkie były przeraźliwie chude. Szły w naszą stronę, pochylone do przodu, przez chwilę miałam wrażenie, że się na nas rzucają, więc obróciłam się z Bobo tak, żeby go osłaniać ciałem w razie w. Wójcikowa niewzruszona widokiem zombie-kotów karmiła je dziwną breją, a one rzucały się na jedzenie jak na pierwszorzędnny rarytas. Syczały do siebie i tłukły się po głowach. Uciekłam na górę z Bobo na rękach.

– To wszystko od walki ze szczurami – tłumaczyła mi później Wójcikowa zażenowana moim wydelikaceniem i brakiem zrozumienia dla istoty problemu. – Jeszcze są za słabe i jest ich za mało. Ale na przyszły rok będzie ich więcej i zrobią porządek z tymi szczurzyskami.

Przebąknęłam coś, że te koty wyglądają na chore, że może do weterynarza, ale Wójcikowa mnie ofukała, że ze wsi jestem, a gadam jak warszawiok. Poprzysięgłam sobie nie schodzić już nigdy do piwnicy.

Boguś któregoś razu odkrył, że w takim małym ceramicznym puzderku na komodzie przy wejściu do przedpokoju Wójcikowa trzyma drobniaki. Przy każdej wizycie zabierał po kilka monet. Rozwydrzył się zupełnie, kiedy zaczęłam przynosić obiady ze szkoły i Wójcikowa przestała mu płacić za zjedzenie swojego jedzenia. W końcu drobniaki prawie zupełnie zniknęły, więc Bobo z Bogusiem zaczęli częściej chodzić do Rózy. Ja przychodziłam do Wójcikowej, bo moja matka wierna mi kazała. Jestem pewna, że Wójcikowa powiązała moją obecność z brakiem drobniaków. Nie odstępowała mnie na krok, odprowadzała nawet do łazienki. Przestała śpiewać stare piosenki. Czułam narastającą niechęć, mimo że bardzo się starałam, pomagałam myć okna i wieszać firanki. Wójcikowa opornie przyjmowała moją pomoc, mówiąc że nie ma dla mnie pieniędzy.

Wszystko szło w miarę sprawnie. Aż pewnego dnia skończyło się przyśłowiowej babce sranie. Stało się to w czwartek.

Czwartek był dniem szczególnym dla moich sąsiadek. W czwartek był jarmak. W czwartek na dziadach było wszystko po złotówce. W czwartek kończyła się też zupa z niedzieli. Obracana w garnku i zmieniana wielokrotnie w pomidorową albo ogórkową, albo krokiety z jarzyny i mięsa, pierogi, sałatkę, kluski śląskie, albo bulate. Sąsiadki tańczyły w swoich małych kuchniach z chochlami i garnkami do tanga granego przez kiszki.

Do czwartkowej bitwy należało się odpowiednio przygotować. Uzbroidź w mapę miasta złożoną z kolaży z gazetek zakupowych. Rozrysować topografię z podziałem na punkty handlowo-usługowe, do których warto, a do których zdecydowanie odradza się iść. Zaznaczając także te najniebezpieczniejsze, gdzie kusi, ale gdzie nie można, bo nie zostanie nic.

Wieloletnie zwiady terenowe pozwalały im precyzyjnie określić, gdzie w tym tygodniu kupić marchewki, w którym mięsny sprzedawczyni dokrawa dodatkowy plaster mielonki albo mortadeli. Na którym straganie sprzedają buty, które nie ślizgają się po śniegu, trzymając ciepło i nie przemakają.

Znały dokładnie promocyjną mapę miasta. I wiedziały, że samodzielnie nigdy nie zdobędą wszystkich punktów życia. Dlatego od niedzieli do środy ustalały strategię. Napoleonki zakupów spożywczych planowały nad ławami kolejność bastionów, dzieliły się na frakcje i podgrupy. Wyruszały skoro świt, odziane w maskujące płaszcze, pstrokate chustki albo ciepłe berety. Część szła w stronę jarmaku, ciągnąc za sobą artylerię dwukołowych wózków, tak pomocnych przy niedomagających plecach, kolanach, biodrach, ciałach. Te młodsze, bo jedynie siedemdziesięcioletnie, ruszały na drugi koniec miasta autobusami linii miejskiej. Za nic miały spojrzenia pełne pogardy i niedowierzania ludu pracującego tłoczącego się wraz z nimi, ustępującego im miejsca, a jakby splotwał. Babcia se siednie, babcia by mogła jeszcze spać, do roboty już nie trzeba babci. Ale jak spać, głupcze, kiedy w leklerku można kupić schab za 14,99, zamrozi się i będzie jak znalazł na święta.

Natrą jeszcze na Niebiańskiego, na mięsny, po pasztetową i smaczek, żeby na koniec zdobyć ostatni bastion: cukier w Biedronce na promocji. Lewa flanka pójdzie po jarzynę na Kolejową, tam swoje mają, taniej im liczą, bo z tej samej wsi.

Czasami walczyły na otwartym polu dyskontów, czasami posuwały się do prawdziwej podjazdowo zaczepnej partyzantki. Wytrawne żołnierki potrafiły spędzać całe kwadransy przy kasie, mając sprzedawczynie swoimi historiami, byle tylko zniecierpliwiona kasjerka, pod naporem kolejkowych gburów, machnęła ręką na te końcówkę z drobnych. Doradzały w kwestiach zdrowotnych zmarzniętym sprzedawcom na jarmaku, czasami nawet podrzucały naleweczkę albo sok, jeżeli gra toczyła się o coś naprawdę wartościowego. Nierzadko ich działanie wymagało elastyczności. W jednym lumpeksie w czwartek była dostawa i 45 złotych za kilo. Wtedy co ładniejsze ubrania były upychane głęboko pod wszystkie szmaty, tak żeby odkopać je spod sterty, kiedy będzie po złotówce za kilo.

Po wszystkim pozostawało wtargać wózek na czwarte piętro. Trzecie. Chwała Bogu jak na pierwsze. Robiły swoje rambotreningi i wspinały się na schody, zaznaczając każdy stopień kroplą potu albo łzą bezsilności. Stołek by się przydał, ale zawsze zabierają. A co komu taki stołek szkodzi. A człowiek by se siednął.

Po zakończonej bitwie coczwartkowej wykladały zakupy i wyciągały kartki. To trzeba dodać. To odjąć. Ona mi mięso, ja jej jarzynę. Już do popołudnia zaczynały się migracje spożywcze. Szlakiem posthandlowym chodziły od drzwi do drzwi. Czasami tylko w progu wymieniały się łupami, czasami siadały na kawę, omawiały dokładnie, co widziały, z kim rozmawiały, ile udało im się uzyskać. Dyskutowały na temat przyszłotygodniowych planów zakupowych. Nigdy nie przyznawały się do swoich upadków konsumenckich w postaci nowej bluzki czy kolejnego kompletu pościeli po promocyjnej cenie kupionego. Nabytego w celu sprezentowania, uszczęśliwienia jubilatki bądź solenizanta. Na pewno w najbliższym czasie trafi się jakiś. Do tego czasu pościel opakowana w folie będzie leżeć ukryta w szafie w oczekiwaniu na okazję.

Strategia promocyjno-okazyjna pozwalała im przetrwać, a przede wszystkim pozwalała im odłożyć. Odkładały na później, na kupkę, na gorsze czasy, na pogrzeb, na przyszłość. Oczywiście swoich dzieci i wnuków, bo wiadomo, że moje sąsiadki nie miały przed sobą żadnego życia ani przyszłości, w którą warto byłoby inwestować.

Aż wydarzył się taki czwartek, w którym nasze sąsiadki wciągnęły nas w swoje szeregi jako najemników. Zdarzało się to już wcześniej, tym razem jednak Wójcikowa miała konkretny cel. Chciała kupić wykładzinę. Do tego byłam potrzebna ja, żeby nieść i Boguś, żeby umiłał drogę. Bobo zostało u Głuchej Marysi. Mogłoby się zgubić na takim jarmarku, a przecież nie odpowie, kiedy będziemy go wołać.

Wójcikowa z Różą długo przegadywały się co do wyboru wykładziny. Zbyt wiele czynników było branych pod uwagę, a wiadomo, że praktyczność rzadko idzie w parze z estetyką.

Weszłam w głąb budy z dywanami. I zagrzebałam się w dywanikach łazienkowych. Upodobałam sobie zestaw na toaletę. Pod głowę ugniotłam dywanik na klapę od sedesu, pod tyłek wsadziłam ten obejmujący nogę od kibla. Zostawiłam sobie w obwodzie jeszcze jeden z zestawu, taki co kładzie się go na poddupie, żeby było miękko srać. Postanowiłam, że prześpię te przepychanki. Po jakimś czasie Boguś mnie obudził. Udało się znaleźć piękny, jak twierdziła Wójcikowa, dywan, a nie wykładzinę. Trochę zmiany jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Targaliśmy ten dywan na lichym wózekczku dwukołowym. Najtrudniej było wnieść go po schodach, ale w końcu się udało. W nagrodę Wójcikowa obiecała nam pierogi z truskawkami. Boguś przyprowadził Bobo. Popołudnie mijało nam w sielankowej atmosferze. Róża przyprowadziła Jaśka, żeby pomógł zdjąć starą wykładzinę. Jak zwykle wspólnie przestawialiśmy meble. Jasiek uciekł tak szybko, jak mógł, później wpadła pani Hania pokazać mi, gdzie nie domyłam podłogi i gdzie nierówno kładę pastę. W końcu rozłożyliśmy pachnący chińskim marketem dywan. Był okropnie brzydki i nijak nie pasował do mieszkania Wójcikowej, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć tego głośno. Róża swoim zwyczajem obśliniła kciuka i palca wskazującego i zbierała niewidzialne okruchy z nowego dywanu, co oczywiście nie umknęło uwadze Wójcikowej.

W końcu wszyscy sobie poszli. Pierogi z truskawkami zdążyły się ugotować. Wtedy Wójcikowa przypomniała sobie, że nie ma śmietany. Wybiegła z mieszkania, podśpiewując, że wyszła za mąż i zaraz wraca.

Siedzieliśmy w trójkę grzecznie. Tak jak zawsze u Wójcikowej. Szybko nam się znudziło, więc najpierw pokazałam Bogusiowi zboczone gazety, ale nie zrobiły na nim wrażenia. Za to Bobo zdążyło już się dobrać do pierogów i szarżowało na nas uklejonymi paluchami. Boguś zaprowadził Bobo do łazienki, żeby mu umyć ręce, a ja schowałam szybko gazety do szuflady, tak jak były. Najważniejsze, żeby nie zostawiać po sobie śladów. Boguś wyszedł z łazienki, trzymając przed sobą nieniapompowany zielony balon. Ten z tych wielkich, gufrowanych, co ma na końcu gumkę, żeby po napompowaniu można go było odbijać.

– Róża kupiła mi na jarmaku – popatrzył na mnie lśniąco oczami.
– A jakby go tak napełnić wodą! Zrzucić z okna! I patrzeć jak się rozplaskuje?

Bobo aż zaklaskało rękami. Pobiegłam do kuchni i zaczęłam napełniać balon wodą. Boguś podniósł Bobo, żeby też widziało. Zaczęliśmy sobie wyobrażać ten lot.

– Ale by było, jakby się tak rozplaszczyl, tak bum! I ochlapał Wójcikową! Ale by się wściekła! – Boguś fantazjował, a Bobo z radości wyciągało ręce do góry i przechylało głowę do tyłu. – Albo jakby ta woda

ochlapała Słowakiewiczową! Wtedy to już by w ogóle nie wiedziała, co się dzieje!

– Nie, Słowakiewiczową nie. Chleb by jej się zmoczył i co by jadła. – Resztki mojego zdrowego rozsądku próbowały się przebijać, ale ja też już byłam uchichrana tą wizją.

– Albo jakbyśmy wcelowali w chłopaków z podwórka, mieliby za swoje!

Balon w końcu się napełnił, tak że ledwo go wyciągnęłam ze zlewu. Był ogromny jak arbus i prawie tak samo ciężki. Trzymałam go za ten dynks, co się w niego dmucha, żeby woda nie uciekała, a drugą ręką podtrzymywałam od spodu za gumkę. Boguś i Bobo biegali wokół mnie podnieceni wizją zrzutu. Mi też udzielał się ten entuzjazm. Z tego śmiechu zachciało mi się strasznie sikać, poczułam mocne ukłucie w brzuchu i skrzyżowałam nogi. Nie udało mi się zatrzymać tych kilku kropli.

– Zesikała się! Zesikała!

Balon zaczął niebezpiecznie się przechylać. Śmiech i siki sprawiły, że zupełnie opadłam z sił. Próbowałam zrobić krok, ale Bobo zaplątało się między moimi nogami. Nie zauważyłam, że próbowało mi pomóc trzymać balon.

– Boguś, ratuj! – zdążyłam jeszcze krzyknąć.

Próbowaliśmy pokonać falę. Rzuciliśmy się na ręczniki w łazience, papier toaletowy, na ścierki w kuchni. Skąd w takim małym balonie tyleśno wody? Próbowaliśmy wycierać wodę spod nowiutkiego dywanu, ale meble nie dawały się podnieść. Nie było innego wyjścia. Uciekliśmy do kościoła tulić się jak dziadki do serca Maryi matki.

– Dzieci, my już zamykamy. Idźcie do domu. – Kościelny zamknął za nami drzwi. A my ciągnęliśmy nogą za nogą do klatki, do domu.

– Dostaniemy, nie? – Boguś złapał mnie i Bobo za rękę.

Nie musiałam odpowiadać. Wiadomo, jak będzie. W mieszkaniu siedziały Wójcikowa, Róża i moja matka ucieczka strapionych. Patrzyły na nas srogo. Bobo wyciągnęło ręce do Bogusia i wtuliło się w niego całym ciałem. Boguś oparł się o mój brzuch plecami, jakby chciał przeniknąć przez ubranie do środka. I tak staliśmy na tym sądzie ostatecznym.

– Co wam przyszło do głowy, żeby wodę na nowy dywan wylewać? – Metaliczny głos Wójcikowej rozbił ciszę w drobny mak.

Ścisnęłam delikatnie ramię Bogusia, żeby on mówił. Byłoby lepiej, gdyby on mówił, ale Boguś delikatnie sturchnął mnie łokciem. Wypuściłam powietrze. Najgorzej być najstarszą.

- Niechcący nam spadł balon – wydukałam przerażona.
- Na nowy dywan balon?!
- Ostatni raz, jak wam cokolwiek kupuję!
- Co to są za pomysły?
- Już nie macie co wymyślać!

Sąsiadki łąjały nas jedna przez drugą. A my siedzieliśmy cicho. W takiej sytuacji trzeba siedzieć cicho. Moja matka zwierciadło sprawiedliwości też tylko na nas patrzyła i nic nie mówiła. A to zawsze jest najgorsze. Znaczący, że jak pójdą, to nam się dostanie.

- Diebły nie dzieci!
- Głodu do dupy, a nie balonów!
- Gdzieście były tyle czasu? Dziesiąto godzina!

Sąsiadki jedna przez drugą wygarniały nam.

- W kościele – burknęłam niechętnie.

Te popatrzyły po sobie i jakby zeszło z nich powietrze.

- E, to dobre dzieci.
- To ładnie, jak po takim grzechu Pana Boga poszły przeprosić.

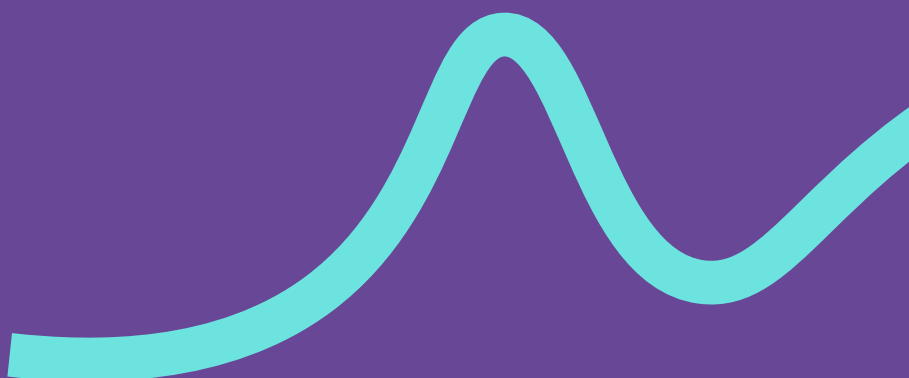
Marta Fałęcka:

Klatka schodowa pachnie piwnicą i Ajaksem Floral Fiesta, mieszan-
ką dań oraz naftaliną upychaną hojnie w zakamarkach szafy. To tu, za
drzwiami, przy ławach pokrytych bieżnikiem dociśniętym szybą eme-
rytki schroniły się w kawalerkach i skromnych M2 przed swoimi spo-
łecznościami, tworząc własną wspólnotę. Łączy je pochodzenie, klatka
schodowa, emerytura i trójka dzieci, którym postanowiły babciować.

Szybko okazuje się, że przyjęcie dzieci pod opiekę było błędem. Dzikie
dzieci zamknięte w małym mieszkaniu w bloku konsekwentnie prze-
kraczają granice wytrzymałości sąsiadek. Zupełnie niewinne psoty
przeradzają się w coraz gorsze wykroczenia. Przybłędy nie tylko nie
potrafią i nie chcą dostosować się do zasad przyjętych w klatce, ale też
odkrywają skrzętnie skrywane sekrety swoich sąsiadek.

Pojawienie się dzieci zaburza od lat wypracowany ład i porządek
wspólnoty, co w konsekwencji prowadzi do katastrofy.

Łotrzykowska prowincjałka opowiada o relikcie pomocy sąsiedzkiej,
o cenie, jaką musi zapłacić jednostka za dostosowanie się do życia
w zbiorowości. O tym, co jest uważane za moralne i niemoralne. Opo-
wiada o wykluczeniu, ageizmie i samotności.



Jakub Krüger

Strzępy, skrawki, łatki

1.1

W moim sekretnym dzienniku ostatni wpis zrobiłem 7 marca 2019 roku. Pisałem go prawie codziennie od 13 maja 1982 roku. Niemal czterdzieści lat zapisywanych zeszytów. Kiedyś były z makulaturowego papieru z graficznym wizerunkiem poznańskiego rynku, a dokładnie fragmentu, na którym widać domki budników. W dzieciństwie najbardziej lubiłem właśnie te grubsze, 96-stronicowe bruliony, które były na grzbiecie wzmacniane tkaniną i wydawało się, jakbym pisał książkę. Na początku jeden wystarczył mi nawet na pół roku, wtedy pisałem mało i dużymi literami. Z czasem było ich coraz więcej. Staranne pismo zastąpiłem gryzmołami, ale pisałem codziennie. Już słowo brulion jest wyjątkowe. Zmieniały się okładki. Makulaturowe z lat osiemdziesiątych zamienione zostały na kolorowy karton, potem lakierowany. Pojawiały się na nim wizerunki postaci z popularnych filmów, potem bajek, których już nie znałem. Kiedy na początku nowego wieku moje dzieci zaczęły chodzić do szkoły, znów na chwilę zacząłem rozumieć, co producent zamieścił na okładce zeszytu, żeby zwiększyć sprzedaż. Miałem kilka dzienników ze Shrekiem na okładce, zdarzyły się Pokemony. Na koniec każdego zeszytu sklejałem kartki, żeby przeszłość zostawić za sobą. Kładłem zeszyt na stół, przyciskałem deseczką i ołowianym ciężarkiem, który dostałem z zakładu introligatorskiego, w którym spędziłem dzieciństwo. Tak przygotowany zeszyt zaklejałem. Starannie nakładałem dwie warstwy introligatorskiego kleju na ściśnięte kartki. Dlaczego? Żeby mnie nie kusilo, by wracać do chwil, które tam zamykałem. Około czterdziestego roku życia każdy zeszyt opisywałem na okładce: „W przypadku mojej śmierci spalić”. Nie zakleiałem tylko ostatniego zeszytu.

Siedzę teraz przy kartonie i znów nachodzi mnie myśl: „Czy aby nie przyszła pora na ognisko?”. Żeby nie kusily, nie były kłopotem dla moich dzieci. Nie naznaczyły następnego pokolenia. Tak jak mnie. Bo muszę się przyznać, mój czytelniku, twój narrator skusily cudze listy i pamiętniki. Skusily, żeby poszukać w nich odpowiedzi na pytania dotyczące przeszłości. Skusily, żeby jeszcze raz poobcować z bliskimi, których już nie ma. Wejść w specyficznie intymny, a jestem nawet gotów zaryzykować twierdzenie, że w najintymniejszy kontakt z drugim człowiekiem, w kontakt z jego myślami. Tym są moje dzienniki. Zapisem najintymniejszych myśli. I tego spodziewałem się, kiedy trafiły w moje ręce zapiski bliskich mi osób. Tak się składa, że były

to najważniejsze osoby w moim życiu. I tak właśnie jest, teraz kiedy przeszłość zaczyna nocą dopadać moją duszę niczym sfora wściekłych psów, chwyciłem ostatni zeszyt, ten, którego nieopatrznie nie zakleiłem, otwieram i ruszam w podróż w czasie. Zabieram Cię w nią, mój czytelniku.

20 lutego 2019 roku

Nie spałem dziś w nocy. Prawie. Obudziłem się po pierwszej. Odwróciłem poduszkę na drugą stronę. Tę chłodniejszą. Nie pomogło. Potem jeszcze raz. Bez skutku. Wstałem, po omacku poszukałem kapci i cicho, żeby nie budzić Ani, poszedłem na piętro. Po ciemku. Po drodze się potknąłem. Schyliłem się i podniosłem siatkę, którą ktoś zostawił na korytarzu. Podniosłem ją i wyczułem, że to siatka z kapciami. Ja ją tam zostawiłem. Biała siatka z logo Tesco z niebieskimi crocsami mojego taty. Dwa lata temu szurał nimi, kiedy szliśmy na spacer. Na fajeczkę. Usiadłem na sofie. Patrzyłem na te crocsy i pomyślałem o holenderskich chodakach taty. Przywiózł je w młodości z regat w Kilonii. To był prezent od kolegi żeglarza. W domu były od zawsze. Malowane w kwiaty, wydłubane, jak mówił tato, z jednego kawałka drzewa, holenderskie drewniane chodaki. Mama walczyła z nimi, bo kiedy tatek nimi szurał w domu, niszczył parkiet i drewniane schody. Był taki czas, że ojciec je zakładał i nie było rady. Nie odpuszczał, chodził w nich całymi dniami. Do sklepu, po domu, jeździł samochodem. Bałem się, że na wywiadówkę przyjdzie w tych chodakach. To było jak zła pogoda. Trzeba było przeczekać. Miało też dobre strony. Chodaki były tak głośnie, że działały jak lokalizator. Kiedy je nosił, cała rodzina wiedziała, gdzie był.

Był ciepły kwiecień 1987 roku, byłem chory, a za miesiąc matura. Odwiedziła mnie dziewczyna, żeby pomóc mi w nauce angielskiego. Taki był plan. Była wzorową uczennicą i bardzo chciała ten plan zrealizować. Miała błękitne oczy i wąski, prosty nos. Szczupłą twarz o delikatnych rysach. Była prymuską totalną. Od pięknych nóg po proste blond włosy i świadectwa z czerwonym paskiem. Ja też chciałem zrealizować plan. Bardzo. Siedzieliśmy na łóżku w moim pokoju, typowej jaskini dziewczętnastolatka. Biurko pod oknem, które sam pomalowałem w ciapki i plamy. Wielka zielona szafa, do której można było szybko wrzucić cały bałagan z pokoju i jeszcze – a jakże – zielony regał z książkami. Taką farbę tatek zdobył, kiedy urządzaliśmy mój pokój. Tymczasem wróćmy do moich korepetycji. Sami na piętrze. Mama w pracy. Rodzeństwo jeszcze w szkole. Piętro niżej w kuchni tatek. Porozkładane książki, słynny zielony Aleksander, najlepszy wówczas podręcznik do gramatyki języka angielskiego. Zeszyty. Ja pod kołdrą, ale coraz bliżej. Dziewczyna ambitnie, żeby powtórzyć Future Continuous. Ja próbuję, ale mi wciąż Present Continuous chodzi po głowie. Jestem tuż obok, zza jej ramienia patrzę na zeszyt, tylko chwilę, bo poprawia włosy i odslania szyję. Już nosem dotykam granicy włosów na szyi. Wdycham jej zapach. Oliwkowe mydło. Tylko mydło i zapach osiemnastoletniego ciała. Mocno wdycham ten zapach. Dziewczyna

wzdycha. Minąłem granicę włosów i ucho. Zbliżam się do policzka. Słyszę: „Łup, łup, łup”. To nie bicie serca. To mój ojciec w holenderskich chodakach wchodzi po schodach na piętro. Odsuwam się, poprawiam koldrę, biorę zeszyt. Czas Past Perfect. Ojciec otwiera drzwi. Podchodzi do okna, otwiera je i mówi: „Duszno tu”. Odwraca się, niby nie patrzy w naszą stronę, ale patrzy i wychodzi. Drzwi zostawia otwarte. Po chwili słysząc „Łup, łup, łup”. Jest na dole. W oczach dziewczyny widzę błękitne figielki. Wychylam się, zamykam drzwi. Wracamy do angielskiego. Od razu Present Continuous. Dotykam palcami jej szyi, przesuwam rękę na plecy. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Present Simple. Firanka w oknie się nadyma. Słyszemy „Łup, łup, łup”. Dziewczyna śmieje się bezgłośnie. „Łup, łup, łup”. Może to jednak moje skronie tak pulsują. Future Perfect Continuous. Drzwi otwierają się. Firanka ucieka na ulicę. Ojciec wchodzi, wciąga ją do środka, zamyka okno. „Przeciąg” – stwierdza i wychodzi. Wracamy do angielskiego. Tak całe popołudnie.

Teraz trzymam niebieskie crocsy tatka i myślę, że wtedy specjalnie holenderskie chodaki założył. Sprawdzam godzinę na telefonie. Druga dwadzieścia. Trzeba spróbować zasnąć. Kładę się na sofie. Zakładam słuchawki i słucham audiobooka. „Pieska przydrożnego”. Zagłuszam galopadę myśli myślami Miłosza. Kilka razy już mi pomógł.

12 lutego 2019 roku

– Musicie państwo przygotować się na różne scenariusze. – Patrzymy na siebie w milczeniu. Kobieta, która do mnie mówi, ma małe niebieskie oczy. Krótkie blond włosy i dyskretny makijaż. Patrzę na nią z uwagą i usiłuję zrozumieć więcej. Teraz lekarka decyduje, jakich dobrać słów. Myślę, że jest lekarką. Szukam wzrokiem plakietki, ale nie ma. Pewnie RODO. Kiedyś myślałem, że lekarzy rozpoznaje się po stetoskopie zawieszonym na szyi. Ona nie ma stetoskopu. W kieszeni białego fartucha na piersi ma długopisy. Dużo długopisów. Liczę je. Osiem. Nie, dziewięć. Zauważam, że inni lekarze też mają długopisy. Noszą je zamiast plakietek? Piszą scenariusze?

– Stan jest ciężki – lekarka wzdycha. Znow patrzymy sobie w oczy. – Jeśli uda nam się go wzmocnić, zrobimy badania i będziemy wiedzieć coś więcej. Na razie tyle – lekarka siada za biurkiem. Wyciąga plik druków i mi podsuwa. – Proszę wypełnić – sięga do kieszeni i podaje mi jeden z długopisów. To dlatego ma ich tyle? Wyciągam okulary. Obracam poprzednie zdanie w głowie. „Jeśli”. To słowo dotyczyło mojego taty?

Czuję się, jakbym zdawał test. Ważny test. A nie jestem przygotowany. Czytam i rozumiem, że brakuje mi podstawowych danych o tacie. Coś wiem. Nie, implantu nie ma. Tak, rozrusznik serca jest. Wypełniam kwestionariusz i podsuwam lekarce. Niepewnie. Tak jak słaby uczeń sprawdzian.

– Tyle wiem – usprawiedliwiam się. – Mam nadzieję, że wystarczy.

– Wystarczy – mówi lekarka. – Pan jest synem? Proszę się jeszcze podpisać. O tu – wskazuje długopisem.

Rozglądam się, taty już nie ma na korytarzu. Leży w pokoju za przeszklonymi drzwiami tuż przy dyżurce pielęgniarek. Do obu rąk ma podłączone kroplówki. Za łóżkiem stojak z monitorem. Na ekranie dwie linie określają czynności życiowe. Zielona, bardziej regularna, to serce. Żółta to oddech. Kiedy tatek kaszle, żółta rwie się, wyskakuje poza skalę. Po chwili uspokaja się i staje ledwo widocznym wężykiem. Z tyłu jeszcze jedna maszyna, tłoczy powietrze do materaca przeciwodleżynowego. Staję przy łóżku. Tato leży na prawym boku. Patrzy na wenflony podpięte do swoich chudych rąk. Przykryty jest kołdrą w białej szpitalnej poszewce z nadrukowanym w powtarzalny wzór napisem „szpital wojewódzki”. Na stoliku jest woda w butelce z dzióbkiem. Tak łatwiej napoić. Nachylam się nad łóżkiem.

– Jak Jarogniew? – pytam.

Niby dowcipnie, tak niby zwyczajnie wpadam i pytam co słychać. Kiedyś by odpowiedział: „Zależy gdzie ucho przyłożyć”. Wychowanie przez powiedzonka i przysłowia. Teraz patrzy na mnie, podnosi palce do twarzy. Widzę, jak ma obgryzione paznokcie. Zawsze obgryzał. Językiem dotyka górnej wargi. – Chcesz pić? – pytam. Kiwa słabo głową. Podaję butelkę. Wkładam dzióbek do ust i przechylam. Nie mam wprawy. Woda przelewa się bokiem. Biorę papierowy ręcznik i wycieram tacie twarz, osuszam poduszkę. Próbuje jeszcze raz, jest lepiej. Patrzymy na siebie. Uciekam wzrokiem na kołdrę i myślę, czy to, co widzę na pościeli, to tylko fałda, czy noga mojego taty. Obok szafka i siatka z crocsami z Tesco. Czuję, że powinienem coś powiedzieć.

– Będą cię badać tato. Najpierw cię wzmocnią, a potem przebadają – szukam słów i w końcu zaklinam: – Będzie dobrze – po chwili dodaje: – Zobaczysz, „jak się ściemni, to się wyjaśni”.

A teraz znów kilka dni do przodu.

22 lutego 2019 roku

Spóźniłem się na karmienie obiadowe do szpitala. Miałem podać mojemu tacie papkę w kolorze buraczano-ziemniaczanym. Białą jednorazową łyżką. Pielęgniarka pochwaliła: „Zjadł grzecznie”. Byłem u lekarki prowadzącej. To ta blondynka z długopisami. Poznałem diagnozę. Mówiła do mnie, a ja patrzyłem na jej kieszonkę. Były tylko dwa długopisy. Starłem się zapamiętać. Nie. Lepiej zapisać. Poprosiłem, żeby powtórzyła. Zawsze mam przy sobie notesik. Wyjąłem i zapisałem: „Stan po zawale serca i zapaleniu płuc”, potem „Rak płuc z przerzutami do otrzewnej i mózgu”. „Zdyskwalifikowany do leczenia operacyjnego, radiologicznego i chemii”. Też zapisałem. I jeszcze poniżej: „Jak dotrwa do poniedziałku, to go wypiszemy”. Tato nic nie mówi. On, olimpijczyk i żeglarz regatowy dobrze zna słowo „zdyskwalifikowany”. Chwył mnie za rękę i trzymaliśmy się

mocno. Długo. Trzy godziny. W milczeniu. Potem była kolacja. Też papka. Tym razem z przewagą marchewki. Potem tato zasnął. Spał pół godziny i przyszła M. Pożegnałem się z tatą. Zapowiedziałem, że jutro będę na obiedzie i wyszliśmy z M. na korytarz. Usłyszałem strzęp rozmowy pielęgniarek: „Jak przestają mówić, to znaczy, że odchodzą”. To o moim tacie? Mój tato odchodzi? Jak odchodzi? Bez swoich holenderskich chodaków? Bez crocsów z Tesco?

I jeszcze ostatni wpis:

6 marca 2019 roku

Siedzę przy łóżku Taty w ośrodku w Owińskach. Leży tutaj od tygodnia. Dzisiaj jest słaby. Nie je, nie pije, z trudem łapie powietrze. Zielona rurka w nosie uzupełnia niedobory tlenu.

Obok dwaj panowie. Jacek, nie mówi nic. Eugeniusz na pytania odpowiada: „tak” lub „nie”. Mówi też „dzień dobry” i „do widzenia”. Też nie chodzą. Schludny, czysty pokój. Kremowe pastelowe ściany, od dołu do połowy ciut ciemniejsze, jaka lamperia. Biały sufit. Trzy wąskie uchylone okna. Łóżka wysokie na kółkach. Trzy nocne szafki i radio na parapecie, które gra cały dzień. Jedyne łącznik ze światem. W tej stacji nadają mało reklam i dużo pogodnych piosenek. Hity sprzed lat. Teraz Alicja Majewska śpiewa tekst Młynarskiego „Odkryjemy miłość nieznaną, przegonimy wiatr wesoły, co po fali gna”, a potem „Navigare necesse est, navigare necesse est”.

Wkładam swoją dłoń w dłoń tatka. Wczoraj jeszcze ją ścisnął, kurczowo, mocno. Dzisiaj nie. Gładzę od czasu do czasu jego czoło. Milczymy. On nie mówi już od miesiąca. Ja nie wiem, co powiedzieć. Nigdy nie wiedziałem. Odpowiadam na pytania, które by zadał, gdyby mówił. Znam je dobrze. Nigdy nie było ich więcej niż trzy. „Co u Ani?”. To odpowiadam. Zawsze mówiłem krótko: „Dobrze” albo „W porządku”. To jego słowotwórstwo. Dzisiaj odpowiadam na te same pytania, co zwykle. „U Ani w porządku”. „Ucałuję ją od Ciebie. Chłopców uściskam i teściom będę się kłaniał”. W radio „Bądź gotowy dziś do drogi”.

Od czasu do czasu wchodzi głuchoniemy Krzysiu. Popatrzy, uśmiechnie się. Kiedyś dzielił pokój z tatkiem. Krzysiu jest pedantem. Podejdzie do stolików Gienia i Jacka. Postoi, kołysząc się z nogi na nogę, potem poprawi kartonik z chusteczkami i łyżeczkę. Przez chwilę jeszcze patrzy, czy leżą równolegle. Potem przykuca i znika za łóżkiem Jacka. Coś majstruje pod szafką. Pochylam się i próbuję podejrzeć, ale nie widzę. Po chwili Krzysiu wstaje, odwraca się, uśmiecha smutno i wychodzi. Wstaję, żeby sprawdzić, co Krzysiu robił za łóżkiem. Widzę, że poprawił kapcie Jacka. W radio „Jeszcze w zielone gramy”.

Weszły pielęgniarki. Chcą odwrócić tatka na bok. Starają się być delikatne. Tatę i tak bolało. Otworzył bardzo szeroko oczy. Potem spłynęła mu po policzku łza. Teraz śpi. Spokojnie. Czasem mu się chrapnie. W radio znów

Alicja Majewska śpiewa: „Navigare necesse est”.

7 marca 2019 roku

Rano sprawdziłem. Młynarski wykorzystał część łacińskiej sentencji: „Navigare necesse est, vivere non est necesse”. Żeglowanie jest koniecznością, życie koniecznością nie jest. Mój tato był żeglarzem, olimpijczykiem. Kiedy po południu przyjechałem do ośrodka, od pięciu minut nie żył. Wystarczy już. Skąd mam brać słowa.

Zanim powiosłujemy w górę rzeki czasu, który raz płynie wartko, najczęściej wtedy, kiedy chcieliśmy zachować sobie tę chwilę, a znów leniwie, co ten wredny wynalazek robi zawsze wtedy, kiedy błagamy Boga czy los, by „to wszystko się skończyło”. Popędzę jeszcze do chwili, kiedy zobaczyłem nagrobek taty. Wybaczcie, nie mogę się oprzeć, bo to niesłuchanie symboliczna chwila, Kiedy przyszedłem na cmentarz i stanąłem przed świeżo zamontowanym nagrobkiem, to zobaczyłem, że kamieniarz się pomylił i jako datę śmierci wpisał 7 marca 1919 roku, jakby mój tato był Beniaminem Buttonem i żył odwrotnie. I nie uwierzysz czytelniku, miałem nieodpartą ochotę tak to zostawić i w ten przewrotny sposób uczcić niezwykle życie mojego taty.

1.2

A więc płyniemy. Cztery lata przed śmiercią taty siedziałem w niewielkim mieszkanku, szalupie ratunkowej, jego arce – niewielkiej kawalerce, do której się wprowadził po tym, jak musiał sprzedać dom. Siedziałem na tym samym co zwykle krześle i musiałem zdecydować, co z rzeczy, które tatek zabrał na swoją łupinę zabezpieczyć. Odszukam jeszcze zeszyty z 2015 roku. Podzielę się z tobą, mój czytelniku, tą emocją. Zeszyt znajdę bez problemu. Na okładce miał Minionka, żółtego stworka z jednym okiem. Będzie łatwo. Gorzej z emocjami.

Tymczasem wyobraź sobie, mój towarzyszu w podróży: Twój narrator siedzi i patrzy po raz ostatni na przestrzeń, którą zagospodarował jego tato dla siebie. Patrzy na przedmioty, które tatek uznał za ważne: obrazy, książki, zdjęcia i inne pamiątki. To będzie łatwe. Kartony stoją w przedpokoju. Wystarczy włożyć i zakleić. Proste. A co z resztą? Wyszadzianym miejscu na łóżku, wytartym brzegiem stołu, poduszką.

Ojciec dużo palił. Dużo to nie jest odpowiednie słowo dla czterech paczek papierosów dziennie. Tatek przepalał życie. Odpalał jednego papierosa od drugiego, a jego kawalerka była bardziej zadymiona niż

knajpy w czasach, kiedy jeszcze można było w nich palić. Dym papierosowy osiadał wszędzie, mieszkanie na trzecim piętrze bloku z lat siedemdziesiątych, wciśniętego między wildeckie kamienice, lepiło się od niego. Lepiły się poźółkłe framugi okien, z których był widok na duże wildeckie podwórko, coraz bardziej zasnuty żółto szarą mgłą gęstniejącą na lepiących się szybach. Lepiły się poźółkłe firanki, zdjęcia dzieci i wnuków postawione na lepiącym się biurku stojącym pod oknem. Lepił się i telewizor ustawiony obok biurka w nogach łoża tak, by „Świat według Kiepskich” można było oglądać w jedynie słusznej pozycji horyzontalnej. Lepiły się poźółkłe od nikotyny ramki, w których wisiały niewielkie drzeworyty z serii „Miasta polskie”, na szczęście dobrze opravione, za szkłem i podklejone. Kiedy tam siadałem, były dla mnie tłem i scenografią. Jeszcze jednym z dziwactw taty. Zawieszonym obok Czarnej Madonny namalowanej na deskach i znaku zodiaku ojca, strzelca w postaci centaury. Dopiero niedawno przyjrzałem im się bliżej i przeszukałem internet, by dowiedzieć się, co wisiało w malutkiej szalupie ratunkowej, która w końcu i tak się wywróciła i nie dopłynęła bezpiecznie do brzegu.

Wracając do grafik, to w poźółkłych ramkach wisiały drzeworyty grupy „Dziewięciu grafików” sygnowane typograficznie: Katowice, Bogny Krasnodębskiej-Gardowskiej; Toruń, Krystyny Wróblewskiej; Kalisz, Adama Młodzianowskiego; Łódź, Stanisława Töpfera; Olsztyn, Heleny Krażowskiej-Knotowej; Kraków, Stefanii Dretler-Flin; Poznań, Stanisława Töpfera; Warszawa, Krystyny Wróblewskiej; Wrocław, Mieczysława Wejmana; Szczecin, Heleny Krażowskiej-Knotowej; Bydgoszcz, Heleny Krażowskiej-Knotowej i Białystok, Leona Kosmulskiego. Wszystkie pochodziły z teki „Miasta polskie” wydanej w 1949 roku przez Książkę i Wiedzę. Na pierwszy rzut oka zbliżone stylem. Po dłuższej kontemplacji grały, poruszały się, każda swoim rytmem, oddając charakter przedstawionych miast. Kiedy były tworzone, te miasta były w ruinie, a jednak na tych grafikach widać było wstawanie do życia, energię. Wisiały niczym dwunastu apostołów nad sosnowym łożem, na którym ojciec siadał, gdy go odwiedzałem. Przed nim stał zabałaganiony, lepiący się od kurzu i niegdyś biały stolik kawowy, na którym leżały gazety z ostatnich kilku miesięcy, kupony totolotka, puste pudełka po papierosach i zapalkach. Ja siadałem po drugiej stronie stolika na krześle przyniesionym z kuchni i osłaniałem przez chwilę przed kłębami dymu niewielki ikeowski regalik z resztkami biblioteczki taty.

Lepiły się też wiszące u wezglowia łoża, również szczęśliwie dobrze opravione, cztery grafiki przedstawiające polowanie na wieloryby. Na starym poźółkłym papierze wizerunki ludzi na małych łódkach na tle żaglowców i uśmiechniętych zwierząt, morsa i białego niedźwiedzia. Rysownik chyba nigdy nie widział tych zwierząt, słyszał o nich opowieści i narysował tak, jak je sobie wyobraził. Tylko okręty wielorybników są oddane z detalami i zachowanymi proporcjami, w przechyle, pod pełnymi żaglami na wzburzonym morzu. Sprawdziłem je. Informacje znalazłem na stronach Rijksmuseum. W małym zadymionym mieszkanku mojego taty wisiały XVIII-wieczne holenderskie akwafor-

ty wykonane przez rytownika Adolfa van der Laana według projektu Sieuwerta van der Meulena przedstawiające polowanie na wieloryby. Takie same jak w zbiorach British Museum i Rijksmuseum.

Zaspokoję twoją ciekawość, czytelniku, bo na pewno zadajesz sobie pytanie, skąd w małym mieszkanku, szalupie ratunkowej ojca narratora, takie cacka? Dla rodziny narratora długo były jeszcze jednym z dziwactw ojca, nic niewartymi „skarbami” kupowanymi od kuzyna antykwariusza za resztki pieniędzy po dziadku podczas wycieczek do Zakopanego. Dopiero niedawno sprawdziłem wartość resztek obrazów z mieszkanka ojca, przyjrzałem się im i doceniłem gust taty.

Sosnowe łoże miało u wezłowania schówek na pościel i półkę na książki. Stał na niej lepiący się od nikotyny dwukasetowy radiomagnetofon Uher, przywieziony jeszcze w latach osiemdziesiątych z Niemiec, z którego ojciec odtwarzał w kółko swoje cztery ulubione kasety: Luis Armstrong, Elvis Presley, Bob Marley i Trebunie Tutki & Twinkle Brothers. Czasami, kiedy źle się działo, puszczał je na pełny regulator. I kiedy przychodziłem do taty i słyszałem Boba Marleya na wildeckim podwórku, to wiedziałem, co mnie czeka.

Meble tatek zrobił sam, w latach siedemdziesiątych, kiedy jako ojciec rodziny wypełniał posłannictwo biblijne swego drugiego imienia i wszystko, co w domu było z drewna, absolutnie wszystko, cierpliwie ciął, szlifował i malował, korzystając z uprzejmości i miejsca w stolarni pana Wicherka. Od schodów po sosnową boazerię, małżeńskie łóżko, biurko, regały na książki, podesty, podeściki, a nawet tajny schówek za regałami z książkami. Tajny schówek to obok macoszej szafy było moje ulubione miejsce, żeby zniknąć. Chowałem się tam, żeby czytać nieniekupiony przez młodszą rodzeństwo. O tym jeszcze napiszę, czytelniku, bo to było jednak dawno, w czasach gdy jeszcze byliśmy rodziną i wszyscy mieszkaliśmy na przedmieściach Poznania. Na osiedlu powstałym na polach podpoznańskiej wsi, składającym się z modernistycznych klocków, bliźniaków i szeregowców. To było przed rozwodem i późniejszą katastrofą, w wyniku której moja rodzina rozpadła się na kawałki i straciła cały majątek i siebie.

Teraz życie tatka mieści się w pięciu kartonach z książkami i jednym pudełkiem ze zdjęciami uzupełnionymi kilkoma pamiątkami. A on sam mieszka, choć to słowo raczej nie pasuje do tego, co robi, bo raczej przebywa, niż mieszka w ośrodku pomocy. W słoneczne dni wynoszę jego książki do swojego ogrodu i je wietrzę. Liczę na to, że kiedyś przestaną śmierdzieć. Kiedy rozpakowuję kartony i układam książki na regale zrobionym przez ojca w latach siedemdziesiątych, to jakbym z nim rozmawiał. Słucham wspomnień zaklętych w jego biblioteczkę. Przynajmniej tak czegoś się dowiaduję. Rozmowy nam się nie kleiły. Kiedy teraz odwiedzam tatę, to nasz dialog sprowadza się do moich pytań i zdawkowych odpowiedzi ojca. Trudno wyciągnąć od niego wspomnienia. Po trzech pytaniach czuję się, jakbym przesłuchiwał wyjątkowo twardego opozycjonistę. Nic nie powie. Nikogo nie wsypie i tylko twardo powtarza: „No, to już daj fajeczkę”. Z jego biblioteczki

i zdjęć mogę dowiedzieć się więcej.

I dowiaduję się wciąż czegoś nowego, bo resztki biblioteczki w każdą wiosnę wynoszę na regał do ogrodu. Zgodnie z rytmem przyrody po „zimnych ogrodnikach”, kiedy już dni są cieplejsze. Monitoruję pogodę i jak ma dłużej padać, to je chowam do kartonów i do garażu. Taka gimnastyka z pamięcią.

Dziwna jest biblioteczka mojego taty. Dziwne snuje opowieści. Czasem książki opowiadają mi, co inni ludzie myśleli o moim tacie. To te z dedykacjami. „Buszujący w zbożu”, wydanie Iskier z 1967 roku od starszego brata, który dla mojego ojca do końca życia był autorytetem i jako jedyny był w stanie go zawrócić, kiedy nieuchronnie pakował się w kłopoty. Albo, jak przystało na żeglarza, „Człowiek, o którego upomniało się morze”, biografię Amundsena Centkiewiczów, którą dostał w 1970 roku od współpracowników. Wtedy ojciec był aktywnym żeglarzem regatowym i aktywnym sportowcem.

Część książek jest przypadkowa. W czasach PRL książki kupowało się po prostu dlatego, że akurat były. Chodziło się do księgarni i kupowało się wszystko, co było do kupienia i nie było pięćdziesięciopięcioletnim wydaniem dzieł wszystkich Lenina. Pozostałości po takich spontanicznych zakupach znajdują się w pięciokartonowym zbiorze mojego taty. Na przykład cały Wańkowicz oprawiony w płótno i w błyszczących obwolutach, cały Jasienica i trzytomowa „Historia filozofii” Tatarakiewicza, wszystko pożółkłe i do wywietrzenia. Dzisiaj mam więcej czasu, segreguję książki i układam w tematyczne wieże. Takie zawody. Który sztapel z książkami będzie najwyższy, jaki dział znajdzie się na podium?

W biblioteczce żeglarza olimpijczyka bezapelacyjnie wygrały książki marynistyczne. Od słownika żeglarskiego w siedmiu językach, przez podróżnicze relacje słynnych żeglarzy, aż po „Moby Dicka”. Moją ulubioną jest relacja Bernarda Moitessiera z regat samotników dookoła świata. Żeglarz wypłynął z Plymouth 22 sierpnia 1968 roku, samotnie okrążył świat. W drodze powrotnej, kiedy był już na Atlantyku, zrezygnował z wyścigu i zaczął drugie kółko. Jego książka, która początkowo była zwykłą relacją z rejsu, stała się po blisko roku swojego rodzaju traktatem filozoficznym, w której żeglarz z perspektywy oceanu i długiej samotności patrzy na Ziemię, jakby był na orbicie i wieszczy ekologiczną zagładę.

Ułożyłem tematyczne wieże z książek i ze zdziwieniem stwierdziłem, że na drugim miejscu, nie, nie, wcale nie inne książki podróżnicze, te były na trzecim. Na drugim znalazły się biografie, pamiętniki, listy. Wśród nich biografia Dagny Przybyszewskiej. Jest też patriotyczne wzmoczenie w postaci reprintu „Herbarza szlachty polskiej”, w którym tato znalazł nasze niemieckie chłopskie nazwisko. Seria książek o wojnie i powstaniach. I mała niepozorna kupka książek w językach obcych. Po angielsku, po francusku i hebrajsku. Tato nie był poliglotą. Znał tylko angielski. Jednak kiedy po rozwodzie wynajmował dom, to

czasem zostawały po lokatorach książki, a on najwyraźniej nie potrafił ich wyrzucić. A lokatorów miał przedziwnych. I tak trzymam w rękę kieszonkowe wydanie „Le Petit Prince” po francuskim hurtowniku, który wynajmował dom od taty w 1990 roku i za ostatnie miesiące nie zapłacił, za to zostawił paletę proszku do pieczenia i żelatyny. Dorzucił do tego „Małego Księcia” w oryginale i zbiór aktów Florence Mouraux z poezjami Jacques’a Salomé’a „Les paroles d’amour”. Następna z kupki „obcojęzyczne” jest książka w języku hebrajskim po kolejnym najemcy, który na początku lat dziewięćdziesiątych założył jeden z pierwszych ekskluzywnych butików na najbardziej reprezentacyjnej ulicy w Poznaniu, Świętym Marcinie. Przekładałem tę książkę już setki razy. Dziś biorę ją do ręki i znów czuję się obco. Książka jest odwrotna. Tam, gdzie powinien być tytuł, jest małe zdjęcie autora. Książka do czytania od prawej do lewej. Obce jest wszystko, od liter po justowanie. Otwieram i jedyne, co rozumiem, to stopka redakcyjna w języku słowiańskim: „Život je jinde”, Milan Kundera.

Tu kusi mnie nawiązanie do początku książki Kundery, w której narrator docieka, jak bohater przyszedł na świat.

I ulegam tej pokusie, ale należałoby od początku, od opisu kraju nizinnego, w którym narrator przyszedł na świat, i w którym to kraju wszystko wydaje się takie, jak powinno być. Góry są na południu, morze na północy, a pomiędzy nimi pas nizin poprzecinany średniej wielkości rzekami, a średni ten kraj z jego granicami z łatwością wpisać by można było w koło. W dzieciństwie wydawało mi się, że tak właśnie powinien wyglądać każdy kraj, okrągły i uporządkowany. Idealny kraj do tego, żeby się w nim urodzić.

Te okolice Europy lodowiec przeorał kilka razy, zostawiając czasem malownicze pojezierza, a czasem nudną płaską równinę, na której uprawiano zboża. Średni, zupełnie zwyczajny kraj, który z urodzenia stał się ojczyzną narratora, nazywa się Polską, a ja, czyli wasz narrator, byłem w dzieciństwie bardzo dumny z tego, że urodziłem się regionie zwanym Wielkopolską. Dokładnie w Poznaniu, mieście które było jedną z siedzib pierwszych władców Polan, od których kraj ten ma swoją nazwę.

Tu narrator powinien przytoczyć krótką historię miasta. Od Piastów do upadku po potopie szwedzkim i potem pruskiej granicznej twierdzy, która zaczęła się rozrastać pod koniec XIX wieku w sposób pięknie zaplanowany i po niemiecku. I pewnie, gdyby zaczął pisać tę opowieść trzydzieści lat temu, zrobiłby to, ale teraz wydaje mu się, że popada już w nieznośne gawędziarstwo, bo może warto byłoby opowiedzieć historię, jak to Niemcy stali się Polakami i jak rodzina narratora z niemieckich chłopów zmieniła się w polskie mieszczaństwo i jak udało się zachować majątek i mieszczańskie życie w czasach, kiedy to było

ono zarezerwowane tylko dla nielicznych, którym dozwolone były zakupy w sklepach za żółtymi firankami. Tyle że to zupełnie inna historia na inną opowieść. Uporządkowaną. Tak po poznańsku: z początkiem, rozwinięciem i końcem.

Tymczasem wróćmy do dociekań wywołanych przez książkę Milana Kundery.

Kiedy spytałem ojca, gdzie dokładnie się urodziłem, to powiedział, że w szpitalu na Lutyckiej. To samo pytanie zadałem później matce. Powiedziała, że w szpitalu imienia Raszei. I co powiesz, mój czytelniku. Uwierzyć matce? Niech będzie Raszeja. W sumie najważniejsze, że zdrowy. Dla astrologów pewnie będzie jeszcze miała znaczenie godzina. Mama bez wahania powiedziała, że o siódmej. I że to była niedziela. I tu klops. Bo w kalendarzu data się nie zgodziła.

Tak więc Wasz narrator pojawił się na świecie w niespokojnym roku 1968. W Polsce jeszcze bulgotało po marcu i właśnie ugruntowywała się w świecie opinia o wyjątkowo antysemitycznym kraju nad Wisłą. Na przepięknym, wyidealizowanym zachodzie buntowała się młodzież, a fala zamieszek rozlała się z Francji na Niemcy i dalej po wszystkich krajach zza żelaznej kurtyny. Na południe od miejsca urodzenia narratora głowy podnosili Czesi. Co potem pomagali stłumić polscy żołnierze pod dowództwem świeżo mianowanego szefa MON, który w Polsce później wprowadzał stan wojenny. Tylko czy to wszystko miało wpływ na to, że narrator zaraz po przyjściu na świat zaczął rozpaczliwie wrzeszczeć? Chyba nie, z tego, co wiem, taki wrzask jest pożądaną na tym świecie reakcją noworodka. Jakby wszyscy zgadzali się, że wcale nie jest tu miło.

Same narodziny to przecież skutek, przyczyn przyjścia na świat należałoby poszukać dziewięć miesięcy wcześniej. Gdyby zapytać ojca narratora, jak jego syn pojawił się na świecie, pewnie mruknąłby coś, może by się uśmiechnął, a na pewno zamilkł i pomyślał, kiedy to mogło się zdarzyć. Pewnie przypomniałby sobie lato 1967 roku i swoją pierwszą miłość, ale zaciąłby się w sobie i ewentualnie dodał zdawkowe „eee tam” kończące temat. Narrator nie raz próbował naciągać go na opowieści z przeszłości, kiedy to jego ojciec chodził do liceum nr 1, słynnego poznańskiego Marcinka. Kiedy pytał się o dziewczyny, ojciec machał ręką i mówił, że interesował go tylko sport i żeglarstwo. I pewnie mówił prawdę. Do dwudziestego roku życia zbudował dwie łódki, został wicemistrzem Polski w klasie Finn i wyjechał na mistrzostwa do Francji i Finlandii, to czasu na dziewczyny miał mało.

Finn to niewielka żagłówka z jednym żaglem. Wymagająca od żeglarza dużej sprawności i siły. Od 1952 roku była klasą olimpijską. Później, kiedy mój tato był już tylko kibicem, Mateusz Kuznierewicz seryjnie zdobywał medale na olimpiadach i na mistrzostwach świata. Kiedy

tato pływał, zawsze trochę brakowało mu do najlepszych, ale na kwalifikacje na mistrzostwa wystarczyło. Więc jeździł i jak wszyscy sportowcy w tamtych czasach wyjazdy traktował nie tylko sportowo, ale i handlowo. We Francji sprzedał zrobionego przez siebie fina i kupił skuter, słynną osę, którą potem pociągami przywiózł do Polski. Potem z Włoch wrócił fiatem pięćsetką. Jeździł, poznawał innych żeglarzy i handlował. Tak było, aż poznał matkę narratora.

A jak ona by odpowiedziała? Różnie. Bardzo zależałoby, kto i kiedy by zapytał, stosownie do potrzeby chwili i aktualnej kreacji swojego wizerunku, pytający usłyszałby opowieść romantyczną albo wręcz mroczny thriller, choć myślą też pewnie pobiegłaby do gorącego lata 1967 roku, kiedy po sesji na drugim roku przyjeżdżała z koleżankami do przystani żeglarskiej AZS w podpoznańskim wówczas Kiekrzu i przypominała pewnie by sobie przystojnego chłopaka o smutnym spojrzeniu Jamesa Deana rzucanym zza długich rzęs. Chłopak był wysoki, szczupły, o szerokich ramionach i był studentem drugiego roku na Akademii Wychowania Fizycznego. Nie dość, że przykuwał uwagę powierzchownością, to jeszcze wrócił właśnie z mistrzostw świata w Hanko w Finlandii. I tę opowieść wybiera narrator. Opowieść, która zaczyna się od przystani żeglarskiej w wielkopolskiej mekce żeglarskiej, na jeziorze Kierskim, gdzie mieściły się wszystkie najważniejsze kluby żeglarskie. Na zachód od Poznania. Dokąd los popchnął rodziców narratora, by mogła się wydarzyć jedność spojrzeń, czasu i chęci.

Momencik, zanim opowiem, sięgnę po jeszcze jedną książkę, tym razem z niewysokiej wieżyczki z książek, sklasyfikowanej jako „sztuka”. Jest tu książka „Malarze mówią” i jest też „Przewodnik operowy” Józefa Kańskiego i to będzie tłem muzycznym dla opowieści. Wiem, mało jest dziś miłośników opery, sam się do nich nie zaliczam, ale powoli dorastam. Mogą być pięknym tłem i komentować opowieść. Wszak opera to synteza sztuk. Otwieram na chybił trafił i co tam wylosowałem? „Carmen” Bizeta. Mało matka narratora przypomina cygankę, ale nie kolor włosów, a miłość ma komentować, która jak ptak nieokiełznany spada na kochanków. A więc aria „Habanera”, znajdziesz ją, czytelniku, na pewno w internecie.

Wyobraźmy sobie: Koniec lata, przystań Akademickiego Związku Sportowego nad jeziorem Kierskim koło Poznania. Na pomoście blondynka o błękitnostalowych oczach siedzi w bikini i słucha, jak przystojny brunet opowiada o tym, jak płynął na mistrzostwa w Hanko w Finlandii. Chłopak otoczony tłumem kolegów i koleżanek. Ona jest tu nowa, trochę nieśmiała, trochę siedzi z boku i niby się nie interesuje, ale słucha i popatruje. Tymczasem przystojniak już zaczyna przeczuwać, że jego publiczność to nie tylko koledzy z klubu, ale też te trzy dziewczyny, które niby niezainteresowane moczą stopy w jeziorze. I chłopak opowiada coraz głośniej, i stara się, by opowieść docierała też do dziewczyn. A wyprawa była to nie lada. Bez sponsora, na własną rękę Jarek swojego fina zawiózł do Gdyni, a tam załatwił, bo tak, w moich stronach zawsze wszystko się załatwiało, tak więc załatwił zaokrętowanie ze swoim finem na drobnicowiec MS Syrenka płynący

do Petersburga, wtedy Leningradu, a potem przekonał kapitana, żeby spuścił fina razem z żeglarzem pięć mil od portu w Hanko w Finlandii i dwudziestoletni chłopak na malutkim finie wpłynął do portu, tak jakby przyплыł na nim z Polski. Dobrego miejsca na mistrzostwach świata w klasie Finn nie zajął, regaty ukończył gdzieś w czwartej dekadzie, ale wejście miał godne. Potem sprzedał fina i miał za co wrócić do Polski. Teraz siedzi na przystani otoczony kolegami i koleżankami z klubu i opowiada. A gdzieś z tyłu błyskają błękitnostalowe oczy, chowają się za długimi rzęsami. Blond włosy przerzucają się z ramion za szyję, na szczupłej ręce błyskają koła bransoletek, a ciała się nagrzewają od sierpniowego słońca. A potem musiały paść pierwsze niezdarne słowa i kolizja dwu młodych rozgrzanych ciał, bo choć od słów się zazwyczaj wszystko zaczyna, to na świat nie sprowadziłyby narratora. Kiedy narrator zapytał o tę chwilę ojca, to ten machnął ręką i najpierw powiedział:

– No, to daj fajeczkę – i zawiesił głos, jakby się namyślał, jakby szukał we wspomnieniach i nawet, narrator mógłby przysiąc, że uśmiech zamajaczył na twarzy ojca. I kiedy już z nadzieją narrator zapalił ojcu papierosa i podał mu, a ojciec z głośnym pufnięciem wypuścił kłęby siwego dymu, zamyślając się jeszcze bardziej... Cisza, długa cisza tu następuje. I narrator, i jego ojciec obserwują kłęby dymu. Wreszcie narrator zachęcająco zapytał:

– I co? Jak to było?

– Co?

– Poznałeś matkę i potem?

– Aaa, nie pamiętam – i znów, z głośnym pufnięciem wypuszcza kłęb siwego jak jego włosy dymu. Co w nim widzi? Udało mu się zachować wspomnienie miłości sprzed ponad pół wieku? Czy późniejsze tragiczne wydarzenia starły każdą dobrą chwilę spędzoną z matką narratora?

No właśnie, co na to matka narratora? Choć pewniejsza w sprawie poczęcia narratora, to niełatwo było namówić ją na zwierzenia. A kiedy wreszcie się udało opowieść powędrowała w jej rodzinne strony i nadwarciańskie łęgi pod Koninem, i długi wrześnieowy ciepły wieczór z przerwą gdzieś pod dębem w starorzeczu Warty. Ładne miejsce. Nie wiem, jak wam, ale mi się podoba i przy nim pozostajemy.

Wróćmy jeszcze do książek. Jest mała kupka książek związanych z poszukiwaniami religijnymi. Od zabytkowego „Roku Bożego w liturgii i tradycji Kościoła świętego” z 1932 roku, przez buddyjskie broszurki o medytacji z lat osiemdziesiątych, do wedyjskiej „Bhagwad Gita – Taką, jaką jest” przetłumaczonej z sanskrytu na polski.

Wreszcie najciekawsza kupka to ta, w której próbował zrozumieć swój los. „Poznanie chorego” i inne książki Antoniego Kępińskiego, „Umysł” Antoniego Smitha czy pozakreślana książka „Pamięć. Fakty i złudze-

nia” Iana Huntera.

Tu pasuje mi wklejenie opowiadania „Tato, ojciec, tatek”, które kiedyś wyzwoliło we mnie potrzebę opowiadania. Opisałem w nim, jak dowiedziałem się o chorobie taty. Nie zrobię tego. Jeśli ktoś będzie chciał, to znajdzie je sobie gdzieś w sieci pod tytułem „Nie uciekaj tato”. Pora oddać głos mojemu tacie, bo kiedy przeglądałem książki, z obwoluty wysunął się niewielki zeszyt z pożółkłymi kartkami. Kiedyś takie zeszyty nazywane były zeszytami do słówek. W miękkiej makulaturowej okładce 16-stronicowy zeszycik gęsto i chaotycznie zapisany ręką mojego taty, a na pierwszej stronie drukowanymi literami zapisano:

„AUTOMATYCZNE PISANIE, ZESZYT NR 5”

Było ich więcej? Co najmniej pięć? Przewróciłem wszystkie kartony z rzeczami tatka, kilka razy wytrzepując je z każdego grama kurzodymu, jaki zawierały, i nic, niestety nic. Został tylko ten jeden, widać tak bardzo dla mego ojca ważny, że postanowił go zachować. A może specjalnie tak go zatytułował.

2.2

W moim małym dziecięcym rozumku wydawało mi się, że Ewa zrobiła to dla mnie. Dla małego zagubionego chłopca, który w taksówce pytał ptaszków, czy zostanie jego mamą. Tak jest, że myślimy, że wszystko dzieje się dla nas i przez nas, jednak kiedy sięgnąłem do myśli moich bliskich, okazało się, że niekoniecznie.

Do tej opowieści, a jakże, znów sięgnę po tło muzyczne. „Przewodnik operowy” Józefa Kańskiego już jest otwarty. I czego posłuchamy? Padło na historię niezbyt szczęśliwej miłości w niezbyt szczęśliwych czasach. Camille Saint-Saëns – „Samson i Dalila”. Historia sprzed trzech tysięcy lat i opowieść z Gazy o wojnie Żydów z Filistynami. Próba druga jest bardziej obiecująca: „Turandot” Pucciniego. Może nie całe opery, ich wystarczyłoby na całą książkę, może tylko kilka arii: „Amour, viens aider ma faiblesse” z „Samsona i Dalili”, a z Pucciniego „Nessun dorma” i „In questa reggia”.

Gotowi? Zaczynamy? Znów namieszamy trochę w rzece czasu.

Jest rok 2013. Luty. Zima, która ciągle jest jesienią. Siedzę na krześle w poznańskim hospicjum na osiedlu Rusa. Za plecami mam okno, w które Ewa wpatruje się od dwóch tygodni. Dziś jest smętnie, widać tylko szarą szmatę chmur, z których cały dzień konsekwentnie siąpi. Od sąsiadki, w trzyosobowym pokoju leżą teraz we dwie, oddziela nas

zasłonka w brązowo-pomarańczowe geometryczne wzory. Czytam książkę. Na głos. Prawdę powiedziałem, że nie bardzo wiem, o czym miałbym do Ewy mówić. Więc lepiej czytać. Cudzymi myślami zapełnić ciszę. Lekki kryminalik Akunina, potem „Pieska przydrożnego”, który zawsze mi dodawał otuchy. Ewa prosi, żeby ją inaczej ułożyć. Podnoszę ją i staram się być delikatny, choć zawsze mam wrażenie, że jestem niezdarą i jakaś łza bólu zabłąka się w kącie oka Ewy. Patrzę wtedy przepraszająco, a ona uśmiecha się i szepce: „To nic”. Siadam, chwytam znów za Miłosza, ale Ewa przesuwając rękę, unosi wskazujący palec i już wiem, że będzie próbowała jeszcze coś powiedzieć. Nachyliam się i słyszę:

– Wiesz. Ja wtedy tak kochałam – mówi i milknie. To jak na nią bardzo długie zdanie. „Tak kochałam”, to zabrzmiało, jak wyjaśnienie i usprawiedliwienie. Kiwam głową i mówię: „Wiem, wiem”, jakbym wszystko rozumiał, choć wiem, że nie rozumiem i bardzo, bardzo żałuję, że niczego więcej nie usłyszę, bo Ewa jest już za słaba, by opowiedzieć mi więcej. Powinienem może mówić za nią, ale nie wiem co, więc otwieram „Pieska przydrożnego” na chybił trafił i czytam. Traf chciał, że to tekst o autorze „Kubusia Puchatka”. Gardło mi się ścisza, ale twarz zachowuję i czytam. „Kubusia Puchatka” czytała mi Ewa do snu. Znałem go na pamięć i kiedy próbowała ominąć jakiś fragment, przebudzałem się i ją poprawiałem, a ona cierpliwie czytała dalej, aż drgnienie dziecięcej rączki nie upewniło jej, że sen już przyszedł i można zostawić to dziecko do rana albo do momentu, kiedy znów obudzi się z krzykiem w nocy. A ja teraz czytam o Krzysiu. Ewa patrzy na mnie i widzę w jej oczach zdziwienie, a potem słyszę ciche: „Nie czytaj już, proszę”, więc odkładam książkę, chwytam ją za rękę, chciałbym przekonać ją, że może jeszcze trochę, że może jeszcze poczytam, ale brakuje mi argumentów i już tylko milczymy. Choć bardzo, bardzo chciałbym jeszcze coś od niej usłyszeć.

Trzy miesiące później okazało się, że się myliłem, okazało się, że jeszcze raz los mnie zaskoczył i Ewa miała do mnie znów przemówić. Pewnego majowego popołudnia wyciągnąłem ze skrzynki awizo. Pomyślałem, że to coś z urzędu, na pewno nie do mnie i odłożyłem na domową półkę odbiorczą. Dopiero po dwóch dniach A. zapytała, czy nie jestem ciekaw, kto do mnie wysłał paczkę z zagranicy. Przyjrzałem się uważnie drukowi i rzeczywiście zaznaczona była przesyłka zagraniczna. Pojechałem na pocztę. A tam czekała na mnie paczka z Australii. Paczka pełna listów Ewy.

Do czytania listów przygotowuję się starannie. Wynoszę na balkon stół, wygodny drewniany fotel, przygotowuję kawę, karafkę z wodą i ciasteczka. Dom, w którym mieszkam, ma balkon z widokiem na długi ogród. Od ulicy chroni mnie dom, a od sąsiadów ściana zieleni. Wielki sześćdziesięcioletni orzech jeszcze liści nie wypuścił, ale jest tak porośnięty bluszczem, że nawet zimą jest skuteczną zasłoną. Kwitną bzy. Białe i fioletowe. Siedzę w swoim zielonym azylu i wiem, że świadkami mojej niemej rozmowy z Ewą będą jedynie zapracowane o tej porze roku ptaki. Sikorki, które znów zamieszkały w domku dla

ptaków na orzechu i wścibskie sroki, które gniazdo mają na drugim orzechu w głębi ogrodu. Czytam list od Małgorzaty. To moja koleżanka z czasów wczesnolicealnych. Nie mieliśmy kontaktu od jej wyjazdu do Niemiec. Poznaliśmy się latem 1984, a w 1985 w czerwcu tuż przed egzaminami na studia Małgosię aresztowali i trzymali przez prawie pół roku w areszcie śledczym na Młyńskiej. Miała zdawać na medycynę, ale po wyjściu z więzienia nie wierzyła, że się dostanie. Smutni panowie, jak o nich pisała, przekonali ją, że nie ma szans dostać się na studia. A ona marzyła o medycynie. Chciała leczyć. Udało jej się wyjechać na początku 1987 roku, najpierw do Niemiec, potem do Australii. Teraz przysłała mi paczkę, list z kondolencjami i krótkim wyjaśnieniem. Pisze w nim, że bez listów od Ewy nie przetrwałaby więzienia i pierwszych lat emigracji. Teraz żyje jej się dobrze, ma prywatną praktykę w Sydney, jest lekarzem rodzinnym. Powiodło jej się. Nigdy nie zapomni tego, co zrobiła dla niej Ewa. Gest świadczący o pamięci pozwolił Małgorzacie przetrwać. Przekazuje mi kserokopie listów, bo listy w dużej mierze dotyczą mnie i rodzeństwa. Przeprasza w liście, że to tylko kserokopie, ale oryginały były dla niej zbyt ważne, by mogła się z nimi rozstać.

Otwieram kartonik z listami. Jest ich ponad pięćdziesiąt. Starannie posegregowane. Do każdej kserokopii dołączone jest ksero koperty z adresem i pieczęcią. Ewa pisała ładnie, równo, krótkimi zdaniem. Każdy list datowała. Nie mogę się oprzeć myśli, że to znakomity materiał źródłowy do pracy o życiu codziennym w Polsce lat osiemdziesiątych i początku lat dziewięćdziesiątych. Mało jest w nich polityki. Trochę radości i niepokoju w listach z początku lat dziewięćdziesiątych. Ostatni list jest z 1994.

Czytam. Zaczynam chronologicznie, jest rok 1985, stan wojenny. Ewa, mama, pisze listy do mojej koleżanki do więzienia. Gosię poznała na moich siedemnastych urodzinach w maju. Widziała ją raz. Krótko rozmawiały, ale aresztowanie tej młodej dziewczyny stojącej u progu życia wstrząsnęło Ewą. Zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Napisała do niej pierwszy list i mimo braku odpowiedzi pisała potem następne, instynktownie czuła to, co wiedzą dziś działacze Amnesty International. Wspierała obcą sobie dziewczynę w więzieniu. A więc czytam. Wy też przeczytajcie. Może nie wszystkie listy, ale może chociaż kilka, może chociaż jeden. Zostawię poniżej selektywny wybór. Gosię aresztowali pod koniec czerwca.

2.07.85

Fatalne jest to lato Gosieńko. Jakoś dziwnie pusto tu wszędzie. Brak nam słońca, ciepła i Ciebie Kochanie. Jest teraz na naszej wsi spokój, cisza. Wieczorem, gdy pousypiam moje maluchy i pomyślę o przemijającym dniu widzę Ciebie. Zawsze uśmiechnięta i pogodna Twoja twarz dodaje mi siły. Myślę, że kiedyś będzie należało zwolnić bieg. Choć na moment

zatrzymać się, przystanąć i pomyśleć.

Ach przepraszam, nie mogę cię, czytelniku, zostawić z taką nieświadomością miejsca, czas już znasz. Masz datę i wiesz, że stan wojenny już się skończył, ale nie paskudne czasy. A miejsce? To tworzące się po zachodniej stronie Poznania suburbia. Osiedle z identycznych klocków, które powstało na polach podpoznańskiej wsi. Niezbyt daleko wspomnianego już w naszej opowieści jeziora Kierskiego. Tatek z Ewą kupili tam po ślubie działkę i projekt klockowatego bliźniaka, który później obrósł przybudówkami i tarasami. Wróćmy do listu:

Wciąż gonitwa, kolejki, organizowanie najdrobniejszych rzeczy, niezbędnych przy tak licznej rodzinie. Począwszy od zwykłej gumy do gaci, a skończywszy na zeszytach szkolnych. W ubiegłym roku szkolnym wyobraź sobie, moja córka nie miała zeszytów do polskiego i ja nie mogłam jej nigdzie kupić. Ile tej kartkowej benzyny zużyłam, by dać dziecku to, co w szkole najważniejsze – zwykły zeszyt w linie.

Innemu dziecku pękły spodnie. Nie miałam granatowych nici do maszyny – właśnie się skończyły. Znowu gonitwa po mieście. Jedyne odpowiedzi w pasmanteriach – nie ma i nie będzie.

Wiesz, to są drobiazgi, ale nie napiszę Tobie co ze mną się działo, gdy traciłam te marne chwile wolnego czasu na takie bzdury. Zamiast zająć się po południu, po pracy dziećmi, ich problemami i lekcjami – latałam jak opętana po mieście po zeszyt, gumę, podręczniki... Przeraza mnie tylko myśl, że od września muszę się z trojgiem dzieci uczyć.

Nie wiem, jak pójdzie mi zerówka, kiedy w ubiegłym roku szukaliśmy podręczników dla Marcysi, Karolek naburmuszony z tylnego siedzenia w pędzidle, tak nazywam naszego fiacika, zapytał: „czy te podręczniki to są do dręczenia?”. Cudowne są moje dzieci. W tym roku klasa druga podstawowa poszła mi doskonale. Marcysia miała od góry do dołu piątki. Miałam tylko urwanie głowy z wychowawczynią, która ciągle suszyła mi głowę, że moja córeczka nie ma odpowiedniego mundurka. Nie chciałam, żeby córcia chodziła cały dzień w sztucznym mundurku, a nie mogłam dostać bawełnianej tkaniny w przepisowym kolorze blue i Marcysia chodziła w granatowym mundurku. Wyobraź sobie sprawa, otarła się o dyrekcję. W końcu uznano, że najważniejsze, żeby tarcza szkolna była przyszyta na odpowiedniej wysokości. Uff ile energii się traci na takie głupoty. No ale to mamy z głowy. Z drugą licealną z niektórych przedmiotów miałam kłopoty. Kubusia świadectwa nie zdążyłam dokładnie przeczytać. Zjadła je Aza. Najbardziej Azunia lubi dokumenty. A może nie lubi. Tak jak mundurkowych. Listonosza i milicjantów. Jak zobaczy na spacerze, to aż się wyrzywa. A dokumenty muszę skrzętnie wszystko chować. Pieniędzy nie zjada. Zwykle nosi mój portfelik, kiedy idę z pełną siatką ze SAM-u. Teraz na wsi inne porządki. Rano do 9 możesz kupić tylko mleko i pieczywo. Masło i inne artykuły sprzedają od 10 do 18. Muszę więc dziś jeszcze raz pędzić w kolejkę po maselko i cukier. Nie wiem, jak tym cukrem gospoda-

rzyć. Robię pełną parą zaprawy. Cukru z półki ubywa, a kartek wciąż tyle ile łebków w domu. Gosieńko Kochanie! Kończę. Następny list napiszę wyraźniej i większymi literkami, mam nadzieję, masz tam okulary i możesz ich używać.

Ojciec urozmaicił nasz osiedlowy klocek dobudowanym pokojem ze skośnym dachem i tarasem. Mam wrażenie, że budowa trwała non stop. Jak nie budowa, to remont albo chociaż malutkie przemeblowanie, choć reorganizacja. Jeśli tylko tatek miał czas aktywności, to coś zmieniał, przebudowywał i to zawsze z myślą o wygodzie swojej rodziny. Tak powstał specjalny pokój Ewy, do którego pewnego dnia ojciec triumfalnie wniósł maglownicę, co Ewa skomentowała, że takiej lokatorki ona samej nie zostawi, następnie uprzątnęła sterty prania z małego łóżka polowego i na kilka tygodni zamieszkała z maglownicą. Pamiętam, że tam właśnie Ewa coś pisała. Teraz wiem co:

13.10.85

Znów niedziela, a ja spracowana siedzę nad ranem w swoim królestwie. Ślubny kupił mi maglownicę. I teraz siedzę zamknięta w pralni. Przede mną sterty prania i maglownica. Chciałabym mieć więcej czasu, żeby odpowiedzieć na wszystkie Twoje pytania. Nie wiem, jak pisać o miłości z pralni pełnej pościeli do maglowania i niewyprasowanych koszul ślubnego. Już tęsknię za latem. Jesień też jest piękna, ale brakuje mi słonka i kwiatków. Wczoraj przywieźliśmy więc dużych koszy podgrzybków. Łowcy zostawili zdobycze, rozbiegli się do swoich zajęć, a ja do północy przebierałam grzyby. Co zrobić. Jarek senny, Kubuś musi się uczyć, znów ma już zaległości, a dzieci to przecież dzieci. Ale nie będę przecież narzekać. Już się suszą grzybki. Mam na nie metodę. Teraz wkładam na krótko do piekarnika, a potem tylko dosuszam na sznurach. Jak to pięknie pachnie.

Ooo, właśnie!!! Jest i słynna maglownica, którą ojciec kupił w dowód miłości i nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego żona nie jest szczęśliwa. Tylko żeby ten Kubuś się uczył! Muszę się przyznać czytelniku, że trzecia klasa liceum to nie był dla mnie czas nauki, raczej robiłem wszystko, żeby się nie uczyć, ale wygodnie było rozłożyć zeszyty na biurku, a na kolanach położyć jakąś książkę. Co ja mogłem wtedy czytać? Na pewno drugoobiegowy „Rok 1984”, a może „Lalkę”, bo ją pamiętam doskonale z liceum. Nawet za jej czytanie pod ławką dostałem uwagę na fizyce. A może te licealne wiersze pisałem, które potem na przedwojennej maszynie ORGA-PRIVAT z kolegami przepisywaliśmy i na ksero odbijaliśmy nasze tomiki poezji pełne Boga i przymiotników. Nie, na pewno się nie uczyłem, choć na pewno nauczyłem się, że zakup maglownicy może nie być uznany za dowód miłości.

Tu znalazłoby się jeszcze wiele fragmentów, które można by przytoczyć. Przeskoczę kilka lat, tym bardziej że jest ku temu okazja, bo w listach Ewy nastąpiła dwuletnia przerwa. Potem Gosia napisała z emi-

gracji już z Australii. Z listów Ewy z końca lat osiemdziesiątych wynika, że zanim dostała australijską wizę, przez rok była w Hamburgu i Ewa jak wcześniej słała Gosi opowieści z codziennego życia poznańskich suburbiów końca lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych. Miłosnej historii Jarka i Ewy, ale raczej jej końca niż początku. Bo dotąd wszystko, co napisałem, dzieje się od momentu, w którym zazwyczaj historie się kończą i następuje: „Żyli długo i szczęśliwie”. A żyli razem niezbyt długo i czasem może szczęśliwie, ale zazwyczaj tak jak wszyscy. Raz tak, raz siak. Aż wreszcie przyszła pora na rozwód, w pamiętnym roku 1988, roku mojej matury i mojej wielkiej miłości, która pozwoliła mi to wszystko przetrwać w roku 1989 i następnych latach. Zachowam na razie w tajemnicy relację Ewy z rozwodu, ucieczki z domu i przejdę od razu do opisu, jak to się wszystko zaczęło. Jeśli już wam się skończyły opery, to aria księcia Mantui z „Rigoletta” Verdiego, tak słynna, że tytuł wszedł już do języka potocznego: „La donna è mobile”. Kto da wiarę, że tak się otworzył poradnik Kańskiego? Dajmy mu jeszcze jedną szansę. Za często otwiera się na Puccinim. To raz jeszcze. I co mamy? Rossini i „Cyrulik sewilski”, niech będzie aria „Una voce poco fa”.

I czytamy:

3.04.1994

Gosiu kochana. Cieszę się, że wszystko układa się coraz lepiej. Cudownie, że się pobieracie. Wyobraź sobie, że Kubuś też. Nie mogę się pozbyć tego nawyku. Ciągle piszę i mówię o nim Kubuś. A to przecież Jakub — dorosły mężczyzna i już niedługo się ożeni. I to jest odpowiedź na to, co u nas słychać. Maluchy też już są prawie dorosłe. Bartuś chodzi do technikum. Znowu mam pomoc od Jakuba — chodzi za mnie na wywiadówki. Ja już nie mogę. Wycieńczyły mnie wywiadówki Kubusia. A Marcysia, licealistka to osiemnastoletnia panna i ma chłopaka, ale powiedziała, że mi go nie przedstawi, a ja nie napieram. Pamiętam swoje miłości w domu. Żaden nie był dość dobry dla mojej matki i braci. A Jarek!? To dopiero była chryja. Co moja mama wyprawiała! Piszę do Ciebie taki wspominkowy list. Jakoś tak te śluby na mnie działają. Od rozwodu z Jarogniewem minęły już cztery lata, ale ciągle jeszcze tkwi to we mnie mocno. Matka mnie odwodziła od tego związku, a ja taka byłam zakochana. Nigdy przedtem i nigdy potem. To małżeństwo było ponad moje siły, ale o tym się przekonałam dużo później. Tak się mówi, że miłość góry przenosi. I tak mi się wydawało. No ale dość narzekań kiedyś w liście pytałaś, jak to wszystko się zaczęło. Nie był wtedy dobry czas, żeby ci odpowiedzieć. Teraz jest już inaczej. Na ślub synusia nie pójdę. Kubuś, znowu tak napisałam. Jakub powiedział, że rozumie. Wpadną do mnie przed ceremonią na chwilę. Jak to było z Jarkiem? Ach Gosiu, jaka ja byłam młoda. Na pierwszym roku studiów, jak wiesz, studiowałam ogrodnictwo. Mama, znowu ta mama, nie pozwoliła mi pójść na weterynarię. Mówiła, że to męski zawód i do tego ona chce mieć mnie na oku. Wtedy na „Wysrołu” tak tę naszą szkółkę nazywaliśmy, jeszcze weterynarii nie było, musiałabym studiować we Wrocławiu, albo w War-

szawie. Nie chciała za nic się zgodzić. No, ale wróć do Jarka. Byłam na pierwszym roku i zapisałam się na wf na pływalnię i tam pierwszy raz go zobaczyłam. Jaki on był przystojny, miał piękne ręce, szerokie ramiona i tak pięknie pływał. Nikt nie miał takiej gracji w wodzie jak on. Weszłam na duży basen „chwiałka”, tam mieliśmy zajęcia, wtedy to była nowiutka pływalnia i zobaczyłam go, jak płynął. Był niesamowity. Pusty basen i ten mężczyzna, on nie płynął delfinem, on był jak delfin. Zakochałam się od razu w tym ruchu, a potem wyszedł z basenu. Mokry ociekający wodą i podszedł do naszej grupki studentek I roku i powiedział, że będzie miał z nami zajęcia. W ogóle na nas nie patrzył, miał długie rzęsy i czarne włosy z tym jednym siwym kosmykiem nad lewą skronią. Gosiu! Wszystkie się wtedy zakochałyśmy. Był jak James Dean i miał jakiś smutek w oczach, a potem jeszcze dowiedziałam się, że ma Kubusia. To był rok 1973, właśnie dostał opiekę nad dzieckiem. Przychodził z chłopcem czasem na pływalnię. On był nieśmiały, jeszcze pokaleczony rozwodem. Zdawał się nie widzieć tego tłumu wielbicielek. Pierwszą randkę mieliśmy w trójkę z Kubusiem w kinie. A potem moja matka oszalała. Jak dowiedziała się, że umawiam się z rozwodnikiem – zabroniła mi wychodzić z domu. Odbierała mnie z uczelni po zajęciach. A potem wysłała na pół roku do kuzynostwa do Francji. Wyobrażasz to sobie? Nie wiem, co myślała! Nas to tylko wzmocniło. Codziennie pisałam listy.

Znów listy! Ach! Ile bym dał, by je przeczytać. Dobrze, że mam choć te:

Jarek rzadziej, ale nawet przyjechał do mnie. Tego mama nie przewidziała, że zajmie drugie miejsce na mistrzostwach polski w klasie Finn i pojedzie na mistrzostwa do Brestu. Po drodze na przekór wszystkiemu przyjechał do mnie. Zamienił swojego fina na osę i wracając, przyjechał do mnie. Nie miał pieniędzy, głodował. Gosiu, to było szalone, ale co ja wtedy wiedziałam. Dla mnie kłamka zapadła. To dla mnie była miłość, która miała wszystko przewyciężyć. A kiedy wróciłam, to wyjechałam jeszcze do Krakowa. I wtedy też do mnie przyjechał. I miał pierwszy epizod choroby przy mnie. To było straszne. Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam go zatrzymać, chodziliśmy wieczorem po zaśnieżonych plantach, wrony krakały, a on mi Dziady cytował. Nie wiedziałam, gdzie szukać pomocy. Dopiero jak po rynnę wspiął się do Muzeum Narodowego, to go zatrzymali. Siedział na krześle i Wyspiańskiego oglądał. Poszłam do niego do szpitala i lekarz mi powiedział, że wszystko może się ułożyć, że jak będzie miał poczucie bezpieczeństwa, to będzie dobrze. A ja to właśnie chciałam usłyszeć. Chciałam wierzyć, chciałam diagnozy, że to ja i moja miłość uratuje Jarka. A potem to już wiesz Gosiu. Potem to już było małżeństwo. Potem była Marcysia i Karolek.

Jakub Krüger:

Syn sprząta mieszkanie ojca. Książki po ojcu śmierzdzą papierosami i narrator wietrzy je w ogrodzie. Podczas tego rytuału za każdym razem inaczej układa książki i trafia na znaleziska, które uruchamiają jego wyobraźnię. I tak zabłąkane w biblioteczce taty „Życie jest gdzie indziej” Milana Kundery po hebrajsku uruchamia wyobrażenia na temat przyjscia narratora na świat. W obwolucie „Schizofrenii” Kępińskiego schowany był zeszyt do słówek zatytułowany „Pisanie automatyczne, zeszyt nr 5”, w którym narrator znajduje zapis epizodu psychotycznego ojca. Między książkami marynistycznymi narrator odkrywa zeszyt z ręcznie przepisaniem opowiadaniem. Z tych elementów autor zszywa historię pierwszego małżeństwa ojca, jego choroby i tła, jakim jest Poznań końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych. Historię drugiego małżeństwa ojca narrator przybliża nam przy pomocy listów jego drugiej matki. To przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Początek pontyfikatu Wojtyły, odrodzenie religijności w Polsce i stan wojenny.

Podczas rozprawy rozwodowej sąd przyznał opiekę nad dzieckiem choremu psychicznie ojcu. Po pięćdziesięciu latach narrator stara się dociec, dlaczego tak się stało. Choć brakuje już świadków, to jednak przedmioty, książki, listy i sekretne dzienniki rzucają światło na wydarzenia sprzed lat. Ostatnim ogniwem układanki jest sekretny dziennik babci narratora, który trafia do niego już podczas spisywania tej opowieści. Dziennik pisany był od lat pięćdziesiątych do roku 1976...

„Strzępy, skrawki, łatki” to roboczy tytuł powieści faktu – eksperymentu literackiego, który ciągle trwa. To opowieść o związku dziecka z chorym rodzicem. O trudnej i jednocześnie wyjątkowej relacji. Od urodzenia do śmierci i dłużej. Tłem dla opowieści jest Poznań w drugiej połowie dwudziestego wieku. Gotowych jest kilka fragmentów. Autor, nie, narrator miesza różne typy narracji i gatunków literackich. Książka będzie poskładana z fikcyjnych (albo nie) listów i pamiętników. Uzupełniona zostanie też kilkoma opowiadaniem wplecionymi w narrację. W książce, która inspirowana jest biblioteką ojca, nie zabraknie nawiązań do pisarzy: Kundery, Miłosza, Conrada, Coetzee’ego, McCarthy’ego czy Kipphardta. Całość porządkuje i formuje fikcyjny dziennik syna – narratora.

Czy to naprawdę się wydarzyło? Czy relacja nieżyjących już świadków może uleczyć rany?

A może prawda niczego nie leczy, a najważniejszym jest przeżycie i opowiedzenie swojego życia? O tym zdecyduje czytelnik książki „Strzępy, skrawki, łatki”.



Marta Maj-Sobkowiak

Słone bakalie

tam, gdzie przyszła muzyka

Austriacka orkiestra przybyła do wsi bez rozgłosu, bocznymi drogami, jakby przypadkiem. Nikt nie spamiętał, co tam robiła. Zresztą pytań wtedy za wiele nie zadawano, bo mało kto chciał znać odpowiedzi. Ważne, że jak długo bawiła w słonej bocheńskiej ziemi, tak długo na pogrzebach było rzewniej, a na weselach radośniej. Odległy Wiedeń kołysał się zaklęty w czarze walca, ale gdyby ktoś zapytał okolicznych mieszkańców, to powiedzieliby, że oni kołysali się pięknie w tym krótkim czasie na skraju wiosny 1907 roku. Ich przyzwyczajone do znożnej pracy, toporne ciała przepełniła nagle czułość. Trudno ją zbudzić w sercach, które na co dzień trzeba zagłuszać, by niosły rzeczywistość jak tamta ciężką. A im się udało.

Pięciu ich było. Ledwo im się wąż sypnął, a już mateczka Austria się o nich upomniała, przyodziewając w wojskowe mundury i chyba tylko na otarcie łez wciskając w ręce obok bagnetów i instrumenty. We wsi mówili potem, że jeden z nich, co grał na skrzypcach, ten właśnie miał w sobie coś, co przywodziło na myśl ciepło lata. Może spłynęło na niego z ciemnego drewna instrumentu, który tak szczerze przyciskał do ciała, kiedy grał. A może jak grał, to cały smutek z niego wypływał w tej muzyce i zostawało tylko to, co ciepłe i bliskie.

W izbie przystrojonej kwiatami z bibuły siedziały dwie grupki ściśnięte koło siebie w nabożnym szmerze i zasluchaniu. Koronki i kolorowe gorsety tłoczyły się po prawej stronie, dookoła zapłakanej panny młodej, nierozumiejącej, jak można ją tak było sprzedać bez pytania, bez zgody. Rzęsiste łzy wydobywały intensywność koloru ze wstążek w jej włosach. Siedziała i chlipała cichutko, a ludzie wirowali w szaleńczym tańcu.

W drugiej części sali zasiadł rubaszny śmiech i coraz bardziej podniesione głosy, co niosły grajkom rozkazy.

– Skoczniej, weselej, nie żałujta instrumentów!

Stary i szpetny jak noc pan młody tylko podkręcał węża i rozlewał po stole weselną gorzałkę, otoczony przez gromadę kogucików stroszących pióra.

Maria stała w rogu. Tam, gdzie nikt nie mógł jej potrącić ani zmusić do tej okrutnej zabawy. Nie widziała się tak we łzach na ślubnym kobiercu. Nie widziała się wcale wśród tych ludzi. Tylko gdzie indziej miałyby się widzieć?

I jak o tym widzeniu i niewidzeniu rozmyślała, to oczy jej, goniąc rozbiegane myśli, wpadły na inne oczy, co węglem spoglądały z nad skrzyż-piec w jej stronę. Czy ten grajek mógłby ją porwać ze sobą? Z dała od czterech kątów, gdzie żaden jej? Z dała od ciężaru ziemi?

Ona marzyła o odległym. Nie, nie wiedziała, jak wygląda. Bardziej je czuła. Na razie było tylko to, co bliskie. Na razie coraz wyraźniej docierała do niej muzyka. Jakby ktoś grał tylko dla niej. W jej stronę wysyłając dźwięki.

Przez gęste powietrze pachnące kapustą i kminkiem skrzypek pociągnięciami smyczka wycinał do niej przejście. Szczelinę zaledwie, co opierała się nacierającym w oberku ludziom. Przez szczelinę szeptał słowa, które tylko ona słyszała. On patrzył na nią, a ona na niego, chociaż bardzo chciała odwrócić zawstydzony wzrok.

Gdy na chwilę przestali grać i weselnicy rzucili się do jadła, a w izbie rozległy się niemożliwe mlaski i okrzyki rozochoconych gorzałką ludzi, on wyslizgnął się na dwór i tylko lekko skinął jej głową, jakby rozprostowując szyję po dłuższej chwili grania.

Poszła za nim. Jak nigdy by nie poszła za nikim. Słońce chwilę temu zaszło i niebo nie miało już barwy popiołu, jak ciągle ostatnio, a kolor rzecznej toni. Stał tak i patrzył na nie. Podeszła i stanęła jak zbłąkana dusza. Z tyłu. Drżąc, czy nikt ich nie zauważy.

– Znasz ten kolor? – zapytał.

– Niebowy – odrzekła.

– Tylko niebowy?

– A i trochę modrzutki.

– Tylko modrzutki?

– Nie tylko. Pawiowy się zdaje – wydusiła pomna nazw barwnych nitek, które pokazywał jej matce miejscowy farbiarz. Jak wielki pająk, plótl między palcami pstrą pajęczynę, a Maria jak mucha łapała się w nią, przywierając palcami do miękkich splotów. Oczarował ją ten pawiowy wtedy. Buraczkowy i śliwkowy były w jej głowie. Trawikowy i wiśniowy była sobie w stanie postawić przed oczyma. Ale pawiowy? To było coś innego. Niby niezapominajka, ale nie ona. Niby odświętny strój Zośki, ale nie on. Nie układał się w jej głowie na znanych powierzchniach i dlatego wrył się w jej pamięć.

– I to nie tylko pawiowy.

– To jaki?

– A każdy z nich.

– Toż mówię! – kpił z niej czy przekomarzał się jeno?

– A jak je wymieszasz z zielenią tej lipy, co pod domem tamtem stoi, to zobaczysz Adriatyk. Morze, co ma kolor turkus.

– Morze? Turkusu?

– Ano. Morze to jezioro, co się nie kończy. A turkus... To od nazw kamieni, co się u Osmanów rodzą, kiedy ich ziemia nałyka się kolorów tejże wody.

Adriatyk, Osmanów, przeplatała nowe dźwięki w uszach.

– Ty je widziałeś?

– Widziałem.

– Daleko to?

– Daleko.

– Do pomyslenia daleko czy nie do pomyslenia?

– A misza ci się ta lipowa zieloność z niebowym w głowie?

– Misza.

– To do pomyslenia.

Od tego wesela coraz więcej im się zdawało wspólnych do pomyslenia rzeczy. Coraz częściej go widywała. Czasem w białej koszuli i spodniach złapanych w czarne oficerki miał w sobie coś z bociana. I jak bocian zwiastował nowe i prastare zarazem. Stojąc na słonej ziemi, rozpościerał przed nią świat i razem lecieli nad zielonymi jeszcze polami w odległe zakątki cesarstwa, tego szalonego zamysłu, który rozlał się po Europie. Zamysłu, co sięgał mórz, których nazw nie znał nikt dookoła. Po co je znać? Po co zaprzętać sobie głowę nieznanym turkusem odległej toni? Nikt, nawet i pleban nie odważył się na pomysł, że mógłby dotknąć mokrej materii, po której sunęły kiedyś bizantyjskie dromony. Ale wtedy tych słów jeszcze nie znała. Nikt tu ich nie słyszał. We wsi żyło się tym, co w ziemi. Umorusanymi nią ziemniakami i brukwią. Solą, co jak pierwszy śnieg przyprószała podziemne korytarze pobliskich kopalni, żup krakowskich, dumy królów.

Zaduch solnych jam spracowane ręce przenosiły pod strzechy. Tam też duszno było od ciężaru pracy. Nie dla nich było lepsze życie. Oni jak konie kieratne krążyli w kółko po ciemności.

A on przeciwnie. Rzucany rozkazami, choć tak młody, był w odległych stronach. Widział domy tak inne od tych, co obsiadły ich naokoło.

Ludzi, co mówili językami szarpiącymi zgłoski lub płynącymi melodyjnie do uszu. I jego historie tak płynęły, wzniecając w niej pożary i przynosząc wizje jak u świętych pańskich. Przemierzali w nich razem cesarstwo, jak wędrowne ptaki co wiedzą, gdzie lecą, choćby po raz pierwszy leciały. A wieś, co wczoraj wszystkim, dziś stała się jeno okruczem.

I tak, obok tych wizji, które przysłoniły jej cały świat, na paluszkach przemknęła się wiosna i wychodząc, zaczęła wpuszczać sieni i szparami w oknach lato. Stara Marcinowa, co zwykle w kościach niosła zimę, obwieszczała je teraz wszem wobec na przemian z majowymi modlitwami i czerwcowym Kyrie, elejson.

tam, gdzie falowała woda

Na niebieskiej ta-fli

wi-ru-ją bła-wat-ki.

Płynie Ra-ba, pły-nie

po sło-nej do-li-nie.

Maria stoi w wodzie. Nic jej nie ominie.

Jan sto-i przy dro-dze, gdzie nie sto-i co dzień...

Głupia Wanda zbliżyła wargi do jej ucha i dośpiewuje to, co się jeszcze nie stało.

– Cichaj, głupia!

– A bo stoi tam zwykle? – nie płoszy się ani na krok Wanda.

– A co to, stać nie wolno? Co mnie to obchodzi, że mi to na ucho wyśpiewujesz?

Maria patrzyła na Janka inaczej niż poprzedniego lata. Od kiedy we wsi pojawiła się orkiestra i skrzypek, już jej Jankowe patrenie nie wprawiało w radość. Już nie widziała ich razem nad strumieniem i w tańcu. Jakby poszedł gdzie daleko, mimo że stał teraz w zasięgu wzroku.

*Perli się i zło-ci
wśród liś-ci pa-pro-ci.
Będzie szczę-ście mia-ła,
co gwia-zdom u-fa-ła,*

Maria stoi w wodzie. Szu-ka fal przy no-dze. Wanda nie dawała pokoju z dziecinnymi przyspiewkami, a tymczasem Maria zerknęła w stronę chaty Marcinowej, za którą zatrzymała się wojskowa orkiestra. Czy przyjdą, zanim kupałowy ogień wzniesie się w powietrze? Czy dołączą do nich?

Ogień za brzozowym wzgórzem jeszcze nie rozbuchał się na dobre. Wrzucane w niego przez dzieciaki szyszki strzelały ognikami. Co suchsza wierzbowy witka zwijała się w pył, sycząc ku niebu. Ale nad rzeką nie było słycać syku. Nad rzeką życie pulsowało i pluskało. Pomruki i piski mieszały się z chlupotem wody. Kwiaty gubiły płatki. Panny rozsądek.

*Na niebieskiej ta-fli
wi-ru-ją bła-wat-ki.
Płynię Ra-ba, pły-nie
po sło-nej do-li-nie.*

Maria stoi w wodzie. Gdzie nie-szczę-ście pły-nie.

Wanda wróżyła jej złowieszczo w tych swoich przyspiewkach. „A co jak przyciągnie tu jakie zło?” – pomyślała Maria i choć wieczór był ciepły, coś zimnego omiotło ją niby podmuch z gór.

Sędziwe baby mawiają, że jeśli świeczka na wianku zgaśnie lub co gorsza, w imię Ojca, Syna i Ducha, jeśli wianek zawiruje na gładkiej wody tafli, to niechybnie przyjdą nieszczęścia. A że nieszczęść w każdych czasach wiele, a w tamtych to może nawet więcej było, to czemu by nie. Niech od razu rzeka przebudzi się jak po zimowym śnie, myślała Maria. Niech wzbierze w korycie, zakasze nurt aż za głowę... i puści, by z przemożną siłą pochłonię te chwilowe radości i niewinne gusła. Może nie będzie trzeba wybierać między słowami a milczeniem.

*Perli się i zło-ci
wśród liś-ci pa-pro-ci.
Będzie szczę-ście mia-ła,
co gwia-zdom u-fa-ła.*

Maria stoi w wodzie. Ser-ce cho-wa w chło-dzie.

Teraz to już Wanda zasługuje, by ją do tej wody wrzucić razem z jej wiankiem. Ale Maria nie zdążyła, bo Janek wyłonił się z blednącego dnia jak jaka zjawą. Stał przed Marią na odległość pierwszych mokrych kamieni i szukał jej prostymi słowami.

– Z czego to uwiałaś?

– Z chabrow.

– Kragły.

Tyle miał słów w ustach. I dalej stał i gapił się jak cielę. I milczał.

Kiedyś nawet myślała, że to dużo. Bo jeśli w ciszę między słowa wsadzić polne kwiaty, co czasem zrywał i jej dawał, od niechcenia niby, to nie mało przecież.

Ale teraz wiedziała, że gdzieś tam jest wielki świat z milionem słów, których ona, owszem, nie zna, ale przy nim nie pozna nigdy.

Tylko tamten świat niepewny, odległy. A może wcale go nie ma.

Może to, co jest, te polne kwiaty, te trzy słowa tu i ówdzie wciśnięte... Może to więcej niż te miliony, co opisują rzeczy, których nie pozna nawet, jak obaczy. Układała myśli w głowie, uklepywała jak niewygodną poduszkę.

*Na niebieskiej ta-fli
wi-ru-ją bła-wat-ki.
Płynie Ra-ba, pły-nie,
po sło-nej do-li-nie.*

Gdzieś z gałęzi brzozy, pewnie wystraszony ogniem na wzgórzu, zerwał się wiatr.

Zaszeleściły fale. Rozlały się po rzece okręgi jak od puszczenia kaczek. Jan nie miał tylu słów, by powiedzieć, że to gusła, że razem mogą zоста-

wić bajdurzenia nurtowi Raby, jeśli tylko ona odwróci wzrok od splecionych kwiatów tańczących na rzece.

Ale Maria już zobaczyła wróżbę, a wróżba mówiła milionem słów i wiorowała w czerwcowej Rابية umajonej kwieciami.

tam, gdzie wieś tylko gada, a świat dookoła coraz bardziej się dzieje

Maria wymykała się po nocach lipcowych, by na cztery oczy patrzeć w gwiazdy. Mniej więcej w tym czasie w odległym Heidelbergu August Knopff, uczonek i astronom, też wpatrywał się w niebo i katalogował ciała niebieskie. Ale tego wiedzieć nie mogła. Ani ona, ani cesarski grajek. Gdyby wiedzieli, mogliby mu pomóc, bo czasem tak intensywnie się w nie wpatrywali, że Maria nosiła ich obrazy w głowie całymi dniami. Jakby kto jej kazał, to palcem na piasku, kropkami i kreskami całe konstelacje wylewałaby na suchą ziemię. Ale nikt nie kazał.

Patrzyła w gwiazdy, bo jak wzrok ześlizgiwał się jej z nieba na grajka, to zapominała języka w gębie i głupia się czuła w obliczu bezmiaru słów, co się z niego sączyły niby to do tych gwiazd.

– Hen tam świat się burzy – mówił. – Nam niewiele przekazują w rozkazach. Ale i tak swoje wiemy. Niosą się wieści po kątach. Ledwo na wschodzie się zatrzęsło, a już fala idzie przez kontynent. Od Białogrodu niepokoję ponoć, a i tu ludzie niespokojne snują rozmyślania, choć z pozoru spokój i cisza, to jeno przed burzą.

– Po weselach gracie, a tam to gorzałka wypłukuje z ludzi słowa bez myśli żadnej.

– A i humory. A ich się nawet cesarz lęka.

– A jakie one?

– Toć sama widzisz, że markotne.

– U nas zwykle markotno.

Odwróciła twarz w gwiazdy, żeby nie dojrzał w nich przestachu, że ta markotność, co się snuje po wsi i po cesarstwie, pewnie wypędzi go w nieznane.

– U nas humory dobre jeno od wesela. To jak i przy weselu się smutki zbierają w ludziach, to ja nie chcę na to, co idzie, myśli trwonić. Licho jakie. Licho na tych ziemiach nie śpi nigdy.

– Ale są i cuda niewidy, co na tych ziemiach sypiają – odrzekł, obracając się ku niej. Miała coś mówić o tym lichu jeszcze, lecz zamilkła, bo grajek coraz śmieiej wodził po niej nie tylko wzrokiem. Jak po swoich skrzypcach przechadzał się palcami w zagięciach i pociągał za struny

w czekaniu na melodie. I tak to się w te chwile cały świat chował za drzewa, co ich okalały i przycupnięty czekał, aż im się o nim przypomnia.

Wschodziło bladym świtem słońce i kury głodne darły się wniebogłosy.

Maciejowa szła przez wieś z głupią Wandą i prawila jej jakie kazanie chyba, bo Wandzie twarz wykrzywił grymas i oczy co chwila zadzierała ku chmurom.

Maria zadarła głowę ku przydrożnej wierzbie szukając w jej zielonych łożach płaszcz, co oblecze ją niewidzialnością. Zastygła, słuchając piania kur i skowronków.

Ale Wanda wszędzie oczami wodziła, byle nie spocząć na Maciejowej. Ledwo obaczyła Marię, dała nura w poranną mgiełkę, co się uchwyciła rowu, tnąc ją spódnicą i wołając tylko przepaszalne słowa do starowiny.

– Żeś mnie wybawiła – wydyszała wesoło.

– A cóżeś o tej porze z Maciejową robiła?

Wanda już miała mówić. Już powietrze rozdęło jej lico. Już w dzióbek złożyła usta, jagody jej pokraśniały i już na języku międliły się słowa, ale nagle błysk przeszedł jej oko i Wanda przełknęła to wszystko, co miała wypowiedzieć. Wypuściła powietrze i zapytała jeno.

– A ty? Co tu robisz?

Nie taka głupia ta Wanda.

Idą więc Maria z Wandą przez wieś. Z daleka rzekłbyś, milczeniem zdjęte. Ale jakby kto podszedł bliżej, to zobaczy delikatne falowanie warg, nieśmiało wznoszonych i opuszczanych jak skrzydła w długim, wyczerpującym locie. Nie trwonią sił na zbędny trzepot. Wydechają z powietrzem co ważne, w zamyśleniu, co przystoi starym kwokom, nie podlotkom. Słońce rozlewa się jaskrawym pasem nad horyzontem. Po szarej ziemi szorują bose stopy. Koło płotów białe postacie z lnu, jak czaple zgarbione nad codziennością, sypią ziarno nioskom. Gubi się suchy szmer ziaren witających się z ziemią w porannych kwikach i pianiu. A Maria i Wanda jak królowy, z oczami ponad jaskrawym pasem słońca, w swoich zgrzebnych spódnicach, a jakby w jedwabiach krocą. Wystawiają ludzie oczy po zagrodach, marszczą czoła na ten widok. W strózkach mleka leją szepty i spomiędzy próchna płotów ważą ciężar uchwyconego widoku. Na słonej ziemi wszystkim po równo, czyli wszystkim wcale. Tu chlebowe korale, a nie marsylijskie stroją szyje od święta. Na królowy nie ma miejsca. Królowy do Krakowa, a Kraków za rzekami, za lasami, hen.

Po wsi, jak pacierze po kościołach, niosły się słowa piękne, głupie, a nade wszystko lamenty. Przystawały więc czasem Wanda z Marią przy sąsiedzkim gadaniu i jak nie milkło ono na ich widok, to słuchały, czym żyje świat.

Żył on wieściami od śmiałków, którzy u połowy wsi się zastawili, byle kupić bilet na lepsze życie. A potem tylko listy ślali zza oceanu, z naskrobanymi nie przez nich nawet kilkoma słowami tęsknoty i sprawozdaniem z tego, co się zrobiło i co się w obcej ziemi zrobić zamierza. Migał ten świat w zamorskich nazwach z obca brzmiących. W buenosach i szikagosach.

Żył też świat sporami panów. Tych, co się ze 'skich' na 'von' z dnia na dzień mianowali, z temi, co o 'ski' gotowi byli krew przelewać, i całą masą tych pomiędzy, o których historia będzie milczeć, bo też i co gadać.

Żył świat nowinami z pobliskiej Bochni, tak odległe dostatniej, że ta bliskość aż dziwiła. Żył rozbudową fary świętej Małgorzaty w Trzcianie i zepsutą drogą za mostem na Rabie.

Żył wreszcie wydarzeniami spod strzech. A tam, jak świat światem, jak paciorki w różańcu, w wiecznym krążeniu mówiono, kto z kim po słowie, komu się zmarło, komu się dziecko urodziło, a komu ociełiła lub zdechła krowa. W kolejności od krowy poczynając zwykle. Ot, życie.

Marii zawsze w duszy ciekawość grała. Zawsze nadstawiała uszu na dziwy z dalekich stron, ale od jakiegoś czasu i na inne rzeczy się jej zmysły wyostrzyły. Każdy pomruk niepokoju, każde wykrzywienie ust, każde zmarszczenie czoła chwyciła w okamgnieniu. W każdym zmaconym zdaniu czekała burzy, co wygna skrzyпка w siną dal. Ale burza kłębiła się jeszcze nieśmiało. W oddali nad bałkańskim niebem i węgierskimi górami małe kłaczki chmur jak kudłate baranki powoli sunęły, by się spotkać w czymś większym od siebie. Siły, co pchały je ku sobie, by zgnieść w ciężkie grafitem tumany, nie okrzepły jeszcze na tyle, by runęło z nieba jakie nieszczęście. Jeszcze zbierały się w sobie, tłukąc się w oddali o zbocza gór i brzegi mórz. Do uszu ludzi w Galicji docierał więc jeno szum, kojąc złudnie serca, w tym i Marysiowe.

tam, gdzie lato chyli się ku końcowi

Lato mijało tego roku jak błysk, jak iskra, co się w popielniku zaplącze na ten chwili ułamek, że nie wiedzieć, czy tam była na pewno.

Maria siedziała na progu chaty, wystawiając twarz do słońca. Obracała w palcach czarne jak smoła pestki i uśmiechała się do siebie. Obok leżał krąg słonecznika. Prezent z tych pierwszych, podrzucanych, a nie dawanych.

Jak nigdy była sama, bo wszyscy poszli żegnać starego Szymona. Ona już była. Jako pierwsza gładziła spraną koszulinę Szymonowej, jak ją tylko na progu zapłakaną ujrzała. Pierwsza wieści zaniósła pod pobliskie strzechy. Potem mogła się wymknąć płaczącej gromadce dzieci

i żałobnikom, co urządzili sobie pielgrzymkę przez Szymonową chatę. Poszła cała jej rodzina, a ona się jakoś wymówiła rodzicom i ostała się w tej pustej chacie sama. Jak nigdy, bo tu zawsze pełno. Ale nie myślała o Szymonie na tym progu, w tym słońcu. O Szymonowej też nie myślała, choć gardło się ścisnęło, jak gładziła jej chude ramiona. Myślała o tym jednym, co odważył się jej zanieść ten słonecznik. Co umykał potem skrajem lasu, żeby go tu nikt nie przyuważył. Szkoda jej tylko było, że sama ten słonecznik musi skubać, a nie w parze. Szła krąg po kręgu, od zielonych listków. Daleko jeszcze było do środka, a wszystkie ziarna pełne i dorodne. Piękniejsze niżli te krakowskie korale. Czy i to wszystko, to całe lato, to jeno iskra? Natrętna myśl przysłoniła słońce niczym chmura pchana jesiennymi wichrami.

Tej nocy znów wymknęła się na palcach. Jedna deska, druga deska, potem czwarta, bo trzecia niby stado wron darła się przy najlżejszym kroku. Potem szósta i już. Już obejmowała się z drzwiami, już wciągała do nozdrzy rześkie, nocne powietrze.

Światła po chatach były pogaszone, tylko niebo skrzyło się jak śnieg. Pobliskie pola i lasek mruczały swoje piosenki. Buczały po oborach zwierzęta, niosło się chrapanie, coś skrobało i kwiliło pod krzewem dzikiej róży.

Szła zasłuchana i zapatrzona. Łzy świętego Wawrzyńca odczepiały się od nieba, ale próżno ich było szukać na czubkach drzew i dachów. Przepadały gdzieś jak błędne ogniki, na manowcach tego, co widziało oko.

Może gdyby wiedziała, że Wawrzyńcowe one o tyle o ile, że dużo starsze moce się za nimi czają, może by nie szła. Ale Priap dobrze się w prawiekach schował za tym, co święte i pokorne, i łowił w miłosne sidła tych, którym miłość osłe uszy doprawiła i temi uszy przysłoniła myślenie.

Niby od niechcienia, ale coraz częściej w swoich snuciach grajek wypuszczał się poza galicyjskie ziemie. Coraz niechybniej rozłąka zagłębiała w rozmowy pod gwiazdami.

– Niechby mnie wilcy porwali, kiedy ty pójdziesz – mawiała Maria, a on się śmiał i roztaczał ciepło tym śmiechem.

Na te krótkie momenty jego odejście było jeno żartem. Odległą możliwością. Niby pewną, a niewyobrażalną. „Może ostanie się tutaj” – myślała Maria. Albo i nie, niechże idzie, ale niechaj wróci, jak się wysłuży cesarzowi, żeby już więcej iść nie musiał.

– Nie sam ja sobie mapę, po której idę, rysuję. Wiedzących to ręce popierane na dębowych stołach po wiedeńskich pałacach. One prowadzą takich jak ja przez granice, których gołym okiem nie zwidzisz, a jakoby tam właśnie się rysują. W ludziach, językach, w tem, w co oni wierzą i komu służą.

– Nie idź.

– A moje to chcenie czy niechcenie?

Tak to Marię szykował na swoje pójście. Pakował ich wspólne bycie jak manatki na drogę. W ruch wprawiając to, co się z nim po izbie rozsia-
dło, by peźło ku sobie pomału, by w momencie rozłąki nie rozwlekać
smutku, a tylko chwycić go jak mały tobolek i zniknąć.

Nie chciała słuchać.

– Niebo płacze, jak tak gadasz.

Maria wystrzeliła palec ku Wawrzyńcowym łzom.

Wzdychał tylko ciężko i gryzł trawę, co się zawieruszyła pod ręką.
I jako że obietnice nic nie kosztują, obiecywał, że nawet jak pójdzie, to
trochę zostanie, bo kiedyś za jej serca odgłosem wróci.

– Skrzypcami je zagłuszysz.

– Dam ci je.

– Skrzypce? Na co mi one bez skrzypka, co wie jak grać?

– Póki nie wrócę, na żadnych nie zagram. Dam ci je, jak pójdę.

– Na przechowanie?

– Na przechowanie.

Droczy się, myślała. Nie zostawi ich nigdy. To jakby duszę diabłu od-
dać. Jego mieszka w skrzypcach i z ich muzyką płynie.

– To ja ci dam na przechowanie serce.

Żuł trawę i śmiał się na jej słowa. Ale nie z lekkością. Z jakim ciężarem,
tęsknotą może, a może smutkiem.

– Oddam, jak wrócę.

– To lepiej wróć. Bo serca za skrzypce nie przehandluję.

Czy i ona jak Szymonowa będzie płakać z tęsknoty? Szymonowej ła-
twiej w tej ostateczności smutku, myślała. Bo za jej smutkiem już tylko
nowe. A tu? Gdzie tu miejsce na nowe, jak wiecznie będzie wypatrywać
powrotu grajka? Jak szybko zapomni pamiętać o tych jego oczach jak
węgle, o tych światach odległych? Może nigdy.

– Zagram ci coś. Ostań się tu.

Poderwał się na równe nogi i pobiegł jak sarna w las. Wrócił po dłuż-
szej chwili ze skrzypcami i jeszcze zdyszany po biegu, mocno łykając
powietrze, zaczął grać.

Zaczął skocznie, jakby podskoki, które niósł w nogach, szarpnęły struny. Ale skoczność szybko uciekła, a dźwięki coraz dłużej czepiały się smyczka. Z boleścią urywały się w nocnym powietrzu, a Maria rozmyślała, czy głos skrzypka się tak kiedyś urwie w jej głowie.

tam, gdzie sól nie chroni

Skończyły się słoneczniki, skończyły się śliwki, a niebawy kolor przykurzył się i ściemniał nad głowami. Skończyło się i muzykowanie, bo grajkowie grajkami, ale wprzód to jednak żołnierze i żołnierskich rozkazów było im słuchać, a nie serca. Nie ich ono. I rzuciły orkiestrę austriacką w świat te rozkazy, nie bacząc komu oni bardziej potrzebni.

Wszystkiego zaczęło ubywać, tylko nie Marii. Jakby z tych ziaren słonecznikowych, co je na progu jadła, w jej brzuchu pełny słonecznik się kraglił. Ale tego już skrzypek nie zobaczył. On już w błotach tamtych ziem brnął ku nieznanemu. Nie żadna burza go wyгнаła, nie żadne niepokoje. Ot, kaprys jaki. Nieistotność, co zmienia wszystko.

Maria przez wiele dni jeszcze na szary świat patrzyła oczami niby to w makowe płatki przybranymi. Żartowała głupia Wanda, że twarz burakami natarła dla koloru. A w Marii schował się cały jesienny deszcz i gdyby uciekając z jej oczu, wpadał prosto do Raby, to jej woda zalała-by wszystkie okoliczne łąki i umilkła dopiero, gdy Wisła, zachłystując się niechybnie, połknie ją w całości.

W litanii zapachów wsi wisiały tej jesieni w powietrzu i takie, które wcześniej nie łapały się nosa, a teraz grały na nim, przyprowadzając o mdłości.

Szaromleczone niebo ścieliło się nad polami i lasem, jakby wypływało z ziemi strużkami po brzozej korze i skapywało z delikatnych gałązek w górę, ku gęstym chmurom. Kłębiło się nad Marią i w Marii.

Którejś nocy listopadowej, kiedy szare wiatry dęły od gór, niosąc smutek i szaleństwo, wyszła Maria przed dom, by sypać solą na zło, które się w tych podmuchach niosło i by zaklinać los.

W zaciśniętej mocno ręce niosła słone ziarna. Ścisnęła je tak, że kształty ostrych okruczeń odbiły się na jej dłoni. Mówiła coś do świętych Rity, Judy i Antoniego, nie będąc pewną, czy słyszą. Wszak wiatr zagłuszał jej słowa, a oni całego świata musieli słuchać. Ale mówiła, bo ruch warg, choć tyci, był ciągle ruchem.

Kiedy ostatnie słowa opuściły jej usta, zamknęła je i rozwarła rękę, by podmuchy zlizwały z rozpostartej dłoni złoto tej ziemi.

Ale nic te nocne schadzki ze świętymi i sypanie solą nie dały. Miały wobec niej inne plany moce, co na ślepo światem rządzą. W Krako-

wie czwarty wieszcz zmierzał niechętnym krokiem na Skalkę, a Maria ku innemu końcowi, równie niechętnie. Ale jak to w życiu bywa, poza ostatecznymi, każdy jeden koniec to także początek. A gdy początek niespodziewany, a pewny przyszedł, siedziała Maria z mądrą Wandą nad kolebką i tkwały otulenie z kołysanek, co i dziecko uspia, i serce skleją.

– Ma jego oczy.

– I dobrze. Jak wróci, to łatwo ją wypatrzy – mówiła Maria.

Wanda uciekała wzrokiem od tych słów i wracała do nucenia.

Jakby się kto wsłuchał w tę mrużankę, to usłyszałby w niej słowa, które wtedy jeszcze niewypowiedziane, za lat naście zaczyną krążyć po domach wraz z tą melodią. Usłyszałby taki człek historie królowny i grajka, iskierki, co kłamała i zgasła, Baby-Jagi i chatki z masła. Ale wtedy wszystko było tylko pomrukiem.

Mmmm- m- mmm- m

mmmmm-mmm-mmmm-mm

mmmm-m-m-m-mmm-mmmm

– Obiecał, że wróci – szeptała Maria.

– Czy wróci, nie wiem, ale trochę został – odszeptywała Wanda, patrząc na małą Manię.

– Zostawił mi skrzypce. Musi wrócić.

– Ano. Skoro skrzypce zostawił – wlepiła Wanda oczy w podłogowe deski, rozprostowywała zagięcia lnianego fartuszka.

– Ale jak długo mam czekać?

Ostatni rok się Marii okręcił jak bączek i znów była jesień. Niedobre spojrzenia, co się po urodzinach małej jak rzep przyczepiły do spódnicy, gryzły Marię po kostkach przy każdym kroku, z każdego przejścia przez wieś robiąc drogę krzyżową. Matka i ojciec zamknęli się przed Marią w złości i coraz przykrzej było w domu. Nieurodzaj tego roku przywiódł głód, co powoli oplatał ciała mieszkańców wsi i w głowie Marii zaległo się pytanie, jak to będzie, gdy się na przednówku wyczerpią ostatnie pokłady współczucia w ludziach, jak się braki głośno odezwą burczeniem w brzuchach.

Nie, nie można było zwlekać. Bezruch niósł śmierć, a na pewno cierpienie.

– A może na służbę?

Wandowe pytanie zawisło na chwilę w powietrzu.

– Do Bochni?

– Toć lepiej do Krakowa.

– Ale jak z Manią do Krakowa?

– Ano bez Mani.

Wanda patrzyła na Marię z troską w oczach, ale słowami cięła jej serce.

A tamta, pomna słów grajka, o wielkich panach, co palcami po mapie kreśla ludziom losy, poczęła rozmyślać, kto też jej życiem rzuca po odległych stronach bez pytania i bez rozkazu.

– Zostanie tutaj. Głodu nie zazna – ciągnęła Wanda. – Pieniądze będziesz słać, to i lepiej się jej będzie żyło.

– Zapomni mnie.

– Nie zapomni.

– Nikt jej śpiewać nie będzie.

– Jak to jego dziecko, to muzykę ma w sobie. Sama sobie będzie śpiewać.

Sama też miała chrupać pierwsze świąteczne jabłka. Sama miała odkrywać chlupot Raby i szumy brzoźowego lasku. Czy jej skrzypce grały w duszy, czy głód w kiszkiach, sama miała te dźwięki odkrywać, z dala od matczyńskich spojrzeń.

Póki co leżała jednak w kołysce, bez myśli burzących jej tyci świat. Maria patrzyła wtedy na jej spokój, zamysławiając się nad swoim niepokojem. Jak skrzypek po strunach, tak ona w nieczułym uścisku przesuwiała palcami po własnych żebrach, napotykała między nimi coraz większe uskoki. Jak górską ziemię co zgrabiła się przed wiekami wystrzeliwszy kośćmi nad horyzont, tak ona garbiła się uwypuklając to, co tętniło w jej środku i gubiąc całą resztę. Tę miękkość, która nas spowija i którą przyrastamy do świata, a w chwilach smutku wsiąka w nas jak woda w spragnioną sierpniowym upałem ziemię.

tam, gdzie rośnie jemiola, a ślady kroków rozchodzą się na śniegu

Słońce wschodziło i zachodziło. Czasem łatwiej mu było w jedną stronę, czasem w drugą. I kiedy coraz później rankiem zaczęło się podrywać od horyzontu blade w zimowe złoto, a szybciej chować w wieczornych mrokach, to Kraków jakby dostał nóżek i podpełzał coraz bliżej i bliżej.

Maria zaczęła go dostrzegać w świątecznych wytworach coraz częściej docierających do wsi. W papierach połyskliwych a zdobnych, co je do szopki i na gwiazdy kolędników sposobiono. W srebrnych kulach, które proboszcz przywiózł przed Bożym Narodzeniem, by podłóżnik stroić w świętym kącie plebanii. Pół wsi się przez ten kąć przetoczyło pod byle pretekstem, byle się pięknem tych ozdób zachwycić.

Świat w zimie zwykł się kurczyć. Ale nie tym razem. Tym razem otwierał się, wpuszczając nie tylko srebrne kule, ale i dotkliwszy niż zwykle chłód. Chłód, co rozpędzał się na pobliskich polach jak Scypion Borghese, italski książę, który swym automobilem przemierzył kontynenty, ścigany pychą czy jakim innym niepokojem.

Mroźne powietrze wnikało w ruchy ludzi, czyniąc je żołnierskimi. Maria w każdym idącym sztywno mężczyźnie widziała więc żołnierza i dumiała, gdzie też ten jej. Chciała się tak zamknąć w tej zimie na chwilkę, w jej bezruchu. Żeby tak zdjąć z siebie sztywność, rozgrzać zziębnięte ręce przy piecu, zastygnąć w czekaniu na wiosnę, nie patrząc na podpełzający Kraków. Ale nijak jej było zastygać.

Któregoś ranka, okutana we wszystko co osobno nie wystarczy, a i razem nie da wiele, poszła zbierać chrust. Zbierała czarne gałązki spod lasu i w sobie też zbierała, bo wyścielał ją od środka suchą warstwą. Przy większym kroku chrupał, pękając czasem i raniąc. Czasem krusząc się wraz z kośćmi. Nijak się ta chrustowa zgryzota nie chciała wyleczyć. Szła więc tak przez las i szła, aż jej uwagę przykuł zapach śniegu. Zamknęła na moment oczy i chłonęła go. Pachniał pustką, ale była to pustka nijak podobna do tej, którą nosiła pod skórą. Była to pustka dobra, ta co łączy wszystko, co dookoła niej obrosło, świat cały.

Z pobliskiej gałęzi osypał się śnieg niczym manna, sucho, bezgłośnie prawie. Równie suchy dał się słyszeć odgłos jakiegoś ptaka, winowajcy poruszenia zapewne. Rozbrzmiał niby klekotki wielkoczwartkowe i umilkł jak i one w zadumie. Maria poderwała głowę i wypatrywała ptaszyny, ale na próżno. Między rozbielonym błękitem nieba a białoczarnym lasem pyszniła się za to zielona jemiola. Drwiąc sobie z ziemskich porządków, z zimy, ze zbierania chrustu, ze zmarzniętych rąk, z uspienia, co padło na przyrodę. Zawieszona między skostniałą ziemią a wiecznością. Jakby pochłaniała życie, co uciekało z pobliskich drzew.

Nagle coś chrupnęło głucho, trzasnęło niby złamana gałąź i przed Marią jak spod ziemi wyrósł Jan. W baranym kozuchu i czapie wystrzelił przed nią jak przebiśnieg na wiosnę, co wczoraj jeszcze jednym był ze śniegiem, by nazajutrz, nie wiedzieć skąd, wyrzeć ponad skostniałą ziemię.

– Janek...

– Pochwalony.

– Pochwalony.

Patrzył na czubki brązowych butów, co udając korzenie, czyniły go ziemskim na wskroś. Wbity był w tę ziemię i bliski jej. Swoim zwyczajem milczał długo.

– Co tu robisz?

– Żegnam się – odpowiedział, nie podnosząc wzroku, nie podchodząc ani na krok. Jak drzewo.

– Dokąd jedziesz?

– Do Francji. Kuzyn mój w Ejks na gospodarstwie od roku... – Dobrze mu tam – dodał po chwili ciszy.

Nawet teraz tak mało miał słów dla niej. Ale może bez słów byłoby jej lepiej? Żeby tylko potrafiła go kochać tak jak grajka. Ale nie potrafiła. Niby to fraszka. Bo kto się żeni z kochania? Ale ona nie chciała. Geszefty niech zostaną w sklepach i po karczmach. Tylko skąd ten żal za tym, czego być nie mogło? Stali więc sobie w żalu oboje, pod jemiolą.

– Janku. Ja cię przepraszam, jeśli ci smutki przyniosłam...

– Ja cię przepraszam, że...

– Nie masz za co.

– Że nie umiem z ciebie czytać. Że tylko umiem na cię patrzeć.

Odwrócił się, jakby już i patrzeć nie umiał dłużej i poszedł wolno po swoich śladach brodząc w śnieżnej pierzynie, grzęznąąc od czasu do czasu w jakiej zaspie.

– Znajdź szczęście! – krzyknęła.

Stał na chwilę. Nic już nie powiedział, nie odwrócił się nawet, ale chyba głową kiwnął. Poszedł.

Przez nagie gałęzie drzew zaczął padać śnieg. Kradł odgłosy kroków i tak cicho się zrobiło w lesie. Maria mocniej zaciągnęła na głowę kraciastą chustę i podążyła w stronę wsi, bacząc, żeby nie iść po jego śladach. Nie wykorzystać go nijak, choćby i w tym. „Czy niekochanie to grzech?” – myślała, idąc obok tych jego kroków. Może w spokoju Jankowej ciszy odnalazłaby szczęście. Może razem by pojechali. A może by został. Gdzie było Ejks? Czy to miejsce szczęśliwe? Co go tam spotka?

W zamyśleniu Maria doszła na skraj lasu. Odwróciła się na chwilę i patrzyła, jak dwie wydeptane obok siebie dróżki powoli przysypywał śnieg. W żadnym miejscu się nie skrzyżowały, ale za moment miały zlać się w białą połąć, jakby nikt nie szedł lasem. Słońce przytulało się powoli do szarych pasów chmur malowanych tuż przy ziemi i Maria zapatrzyła się na pole, co wychodziło na północ. Mogłaby przyrzec, że

na horyzoncie, pośród tych chmur zamajaczyły mury Krakowa. Jej też przyjdzie ostawić tę ziemię, te drzewa, pola, przycupnięte przy drodze chałupy. Zapach wody unoszący się z nad pękającej krą Raby w marcu. Ten zapach trwał jej w głowie nawet teraz, w tym czasie pomiędzy, kiedy sen zlepia oczy naturze i Bóg jeden wie, o czym śnią pochowane w jamach lisy, skulone w dziuplach sowy. Może ona też musi jak ta Raba na wiosnę wyzwolić się spod lodu i ruszyć w nieznane. Coś pękło. Może lód pod jej stopą, może ten, co okalał serce. Widać Kraków był jej Ejks. Po świętach będzie trzeba iść.

Marta Maj-Sobkowiak:

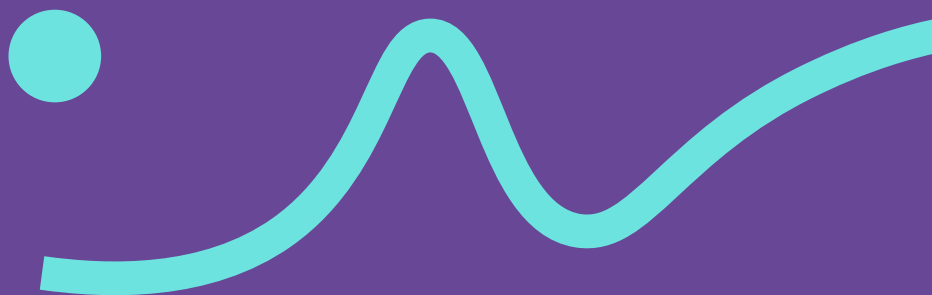
Ogień za brzozowym wzgórzem jeszcze nie rozbuchał się na dobre. Wrzucane w niego przez dzieciaki szyszki strzelały ognikami. Co suchsza wierzbowa witka zwijała się w pył, sycząc ku niebu. Ale nad rzeką nie było słychać syku. Nad rzeką życie pulsowało i pluskało. Pomruki i piski mieszały się z chlupotem wody. Kwiaty gubiły płatki. Panny rozsądek.

Maria gubi rozsądek dla grajka z austriackiej orkiestry, która bocznymi drogami wjechała do jej wsi w 1907 roku i zatrzymała się tam na krótką chwilę. Chwila ta wystarcza jednak, by przesunąć horyzonty głównej bohaterki poza granice okolicznych chałup, pól i lasów.

Ze zgubionego rozsądku rodzi się dziecko, ale też odradza się sama Maria. Nie od razu jednak. Obserwujemy jej stopniową przemianę z osoby ciekawej świata, ale bojącej się zostawić za sobą to co znane, w osobę podążającą za tą ciekawością.

Świat Marii przyspiesza, kiedy wyjeżdża do pobliskiego Krakowa za pracą. To jednak nie tylko historia o zmianie swojego miejsca w społeczeństwie, czy na mapie. To też historia o mocy opowieści, bez których żadna zmiana nie byłaby możliwa. Obserwujemy przez chwilę życie Marii, a potem także losy jej córki i zięcia w Krakowie, następnie ich przeprowadzkę do Lwowa i stopniowe polepszanie warunków życia. Nie trwa to jednak długo. Wojenna zawierucha rzuca ich do ponemieckiego Wrocławia, a my możemy patrzeć, jak próbują odbudować swoje dawne życie, wtórując odbudowującemu się miastu. Słyszymy historie, które prowadzą ich przez ten wymagający czas i pozwalają odnaleźć sens tam, gdzie najtrudniej go dostrzec.

Historię Marii opowiada nam narrator, który wplata w nią mity, baśnie i ludowe melodie, które czasem słychać od razu, a czasem dopiero wtedy, gdy ktoś uważnie wsłucha się w tekst.



Patrycja Mierzejewska

Indygo

(Fragment)

I

Ostatnie światła we wstecznym lusterku zgasły dawno temu.

Zmrok obrysowuje piórkiem przestrzeń. Linie są czyste, ostre, precyzyjnie wykrawają w monochromatycznej perspektywie fantazyjne formy. Korony drzew lasu po lewej biegną niczym zapis nerwowej krzywej EKG. To pewnie mój, bo serce wali mi coraz szybciej. Odwrotnie proporcjonalnie do tempa, w którym przemierzam drogę krajową o numerze zbyt skomplikowanym do zapamiętania.

Lewa noga jest beczynna, prawa tępo wciska gaz w podłogę, zapomniała przesiadać się na hamulec. Ale spokojnie. Prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę nie wyrzuci mnie z żadnego zakrętu, nie wpakuje w przydrożne krzaki. Bardzo opornie spieszę się tam, gdzie się nigdy nie wybierałam.

Opel coraz bardziej niedomaga, rzezi i kaszle. Może krzyczy ratunku, może woła współczucia. Migającymi kontrolkami nadaje tajemny kod, którego nawet nie próbuję odszyfrować. Zostało kilka kilometrów, psim śwędem powinno się udać. Planu be zapomniałam wcisnąć do bagażnika.

Radio nie pomaga, nadaje zgrzyty i trzaski. Eter co jakiś czas wypłukwa z głośników urywki słów spikerów przypadkowo złapanych stacji. Może, gdyby uważniej posłuchać, ułożyłyby się w jakąś sensowną całość. Może dostałabym odpowiedź na pytania, których jeszcze nie zdążyłam zadać.

Lewa noga nagle się budzi, skacze na hamulec. Najpierw depczę, później dostrzegam. Cień po prawej truchta poboczem. Drętwieje, kiedy wpada w zasięg reflektorów. Obraca łeb w moją stronę. Połyskuje białym pasem futra na grzbiecie. Przez chwilę patrzy, jakby pytał: czego ty tutaj? Po czym znika w przydrożnych chaszczach.

Opel traci impet, piłowanie gazu nie pomaga. Auto szarpie, kierownica wyrывa się z dłoni. Silnik dławi się jeszcze przez chwilę, ale nie da rady ponownie zaskoczyć. Połową auta zjeżdżam na pobocze. Drugą zostawiam na jezdni, na wszelki wypadek dwoma kołami trzymam się asfaltu.

Wysiadam w ciemność, wdeptuję po kostki w ciągnący od przydrożnego rowu chłód. Obchodzę auto z prawej, obchodzę z lewej. Odpalam papierosa, po pierwszym zaciągnięciu spluwam gęstą śliną, w której rozpuszcza się imię „Waldek”.

II

– Że co? To co pani chce naprawić?

Ewidentnie mechanicy samochodowi w procesie ewolucji dopiero opanowują umiejętność komunikacji. Chyba powinnam przeliterować, sylaby mogą okazać się za trudne. Nic nie chcę naprawiać, ewentualnie dolać i dokręcić. Zrobić czary-mary, żeby grat zechciał normalnie ruszać. Może da się to pokazać na migi.

– To łapówka. Widział pan żeby inwestować w łapówki? Proszę zrobić tak, żeby normalnie odpalał.

Słowo inwestycja jest wyraźnie za trudne, bo mój rozmówca wywołuje Waldka grzęznącego w kanale. Może ten jest bardziej ten tego, może ma ręce, które leczą mechaniczne konie. Waldek obchodzi auto najpierw z prawej strony, później z lewej. Wlepia we mnie wzrok, chyba chce zapytać, skąd się tu w ogóle wzięłam. Wciąga smarki ze świstem i wyciera brudne dłonie w jeszcze brudniejszą szmatę. Wisi na nim drelich w kolorze bardzo brudnego granatu. W świetle padającym przez luksfery i wirujących drobinkach syfu wygląda jakby pozował flamandzkim mistrzom. Mruga do mnie czernią po czwórce.

– Zostawi go pani na dłużej, to to wgniecenie też się wyklepie. – Wskazuje bliżej nieokreślony punkt na karoserii.

Ej, panie majster, a czy i mnie się wyklepie? Da się naprawić? Dolać oleju? Żeby wszystko trybiło jak kiedyś? Taki pan mądry, wypoleruje pan rysy, na nowo polakieruje? Nie patrz tak, panie Waldek, dobrze pan wiesz, o co mi chodzi.

– Pani otworzy maskę.

Waldek mociuje się z powyginanym kawałkiem blachy, którego nawet nie ma czym podeprzeć. Na pomoc śpieszy kolega pacan i teraz obaj wpatrują się w żelazne wnętrzości. Może mają rentgena w oczach i zaraz bezbłędnie zidentyfikują wszelkie usterki.

Waldek, po chwili namysłu, bierze się do roboty, choć nie jestem pewna, czy to był namysł. Szarpie sparciate kable, oleistymi paluchami obmacuje śruby. Mruczy pod nosem, że coś tam jest z elektryką. Wpełza pod auto, którego nawet nie chce mu się brać na podnośnik. Mam teraz spróbować odpalić silnik, z nim takim pod spodem. Widać lubi chłopak ryzyko. Kolega macha ręką, wskazuje na mnie palcem. Mam podejść, tak?

– Widzi pani to pomarańczowe?

– No, widzę.

– To kopułka.

Chłopie, sam masz pod kopułką. Nie przyszedłem tu na doszkalanie. Co w związku z tym? Mam zacząć klaskać?

– Do wymiany wszystko, prawie nic nie styka.

– Nie da się jechać?

– Da. Tylko nie wolno się zatrzymywać. – Waldek wybawia kolegę od konieczności namysłu.

III

Tomasz od trzech godzin i dwóch butelek wina usiłuje przekonać mnie do swojego karkołomnego pomysłu. Dawno nie widziałam go tak zapalonego, jeszcze chwila i zacznie się kopcić. Zerkam na sufit, czujniki dymu mrugają uspokajająco.

Pomiędzy kolejnymi zbyt pośpiesznie branymi wdechami wypluwa z siebie całą fontannę argumentów. Jeśli nie teraz, to kiedy, przecież nic nie tracisz, w tej sytuacji możesz tylko zyskać. Głupi by nie skorzystał. Udaję więc głupią, na potrzebę chwili mogę amputować sobie IQ.

W geście obronnym zakładam nogę na nogę, najpierw lewą na prawą, później prawą na lewą. Tomasz, słyszysz? Nie po to tu przyszedłem. Zwalnia trochę, pochyla się nad stołem. Skraca dystans, dolewa mi wina. Dolewa po wręby, menisk wypukły tworzy się i na kieliszku, i na głowie Tomasza.

Bierze przesadnie długi wdech i znowu zaczyna. Twoje zdrowie, wypijmy za dobre decyzje, za nowe początki. Wspina się na wyżyny kreatywności, chociaż ma lęk na każdą okazję, ten przed wysokością także. Ale dzisiaj jest w formie, wyczarowuje z oparów etanolu coraz to nowe argumenty. Nie dociera do niego. Nie po to tu przyszedłem.

Dogania mnie sennaś, dopada zniecierpliwienie. Tomasz się zapełnił, nieprzerwanie odtwarza ten sam kawałek. Przestałam go słuchać, przyglądam się tylko jego wargom, których ostatnimi czasy nikt nie chciał całować.

Może to z tego niedocałowania są tak aktywne i nie mogą się przestać poruszać. Zaczynają przybierać coraz dziwniejsze kształty, szczególnie kiedy stara się być przekonujący i przeciąga samogłoski. Mam wrażenie, że po każdym łyku wina pęcznieją, powoli wypełniając cały obrys twarzy.

Winić powinien tylko siebie. Hipochondryk akrobata, co przeskakuje zwinnie z jednego schorzenia w drugie. Kobięcych imion, zamiast do zapisywania kolejnych numerów w telefonie, używa do nazywania swoich przypadłości. Jakby budziły w nim jakąś czułość, jakby chciał do nich tęsknić.

„Dwa tygodnie temu wróciła do mnie Marta, tylko na kilka dni co prawda, ale nie wyszedłem z domu. Ostatni weekend spędziłem w łóżku z Kasią, wycisnęła ze mnie siódme poty”. Nieuleczalny cienias, szukający miłości w indeksach chorób. Wszystkie te Basie i Julki mają wspólny mianownik: żadna nie zostaje na stałe, żadna nie pocałuje go nigdy w usta.

Wstaję od stołu, nawet mi się nie chce mu przerywać. Może nie zauważy, że mnie nie ma i dalej będzie wypluwał słowa w próżnię. Kiedy łapię za klamkę, słyszę, że opada z sił. Bardziej już jęczy, niż mówi.

– Kurwa, jedź. Zrób to w końcu. Dam ci auto.

– Tomasz, nie po to tu przyszedłem.

IV

Idę środkiem ulicy, asfalt toczy się pod mną czarnym pasem. Latarnie świecą wyrywkowo, rzucają gdzieś tam plamy światła na zaśmiecone chodniki. Miało być chociaż cicho. Miało, a nie jest. Miasto milczy o tej porze, za to Tomasz nie przestaje nawijać. Posłał w ślad za mną swoje wywody, zwietrzyły trop i ruszyły w pogoń.

Opędzam się, potrząsam głową. Macham rękoma. Zatykam uszy, zupełnie bezskutecznie. Może schowam się w bramie po prawej, może przycupnę za następnym zaułkiem. Zmyślę pogoń, co się za żadne skarby nie chce odczepić i coraz głośniejsz brzęczy.

Może zadzwonię do kogoś. Wpuszczę w uszy inny strumień, który wypłucze Tomaszowe mądrości. Sięgam po telefon, śpi w trybie samolotowym. I nagle przypomina mi się, dlaczego to jeszcze gorszy pomysł. Dlaczego aparat ciąży mi w dłoni, dlaczego waży dużo więcej niż wczoraj. Korci mnie, żeby nad najbliższą studzienką rozprostować palce. Żadnych więcej połączeń, żadnych eksplozji przez słuchawkę.

Szum, nieprzerwany szum. Wciąż narasta. Jestem zmęczona, przestaję się na chwilę opierać. Z morza pisków i trzasków dociera do mnie w końcu to, co miało zakaz wstępu.

Tym razem Tomasz naprawdę może mieć rację. Kiedy go nie widzę, mogę w końcu wysłuchać. Kiedy mnie nie drażni nerwicowymi gestami, nie irytuje pretensjonalnym tonem. Jego pomysł nagle obleka się w sens, nagle staje się jedynym możliwym rozwiązaniem.

Przystaję, żeby na głos przyznać mu rację. Dobra Tomasz, kurwa, dobra. Dotarło do mnie, tym razem masz słuszość. Dawaj jeszcze raz. Powtórz. To jak to było?

Zostaw wszystko jak jest, porzuć po prostu. Inaczej nie dasz rady. Żadnych popierdółek na raty, żadnego jedną nogą. Napierdaj na główkę, prosto przed siebie. Tam gdzie cię nie znajdują, tam gdzie się do ciebie nie dodzwonią.

Niech próbują, abonent czasowo niedostępny. Abonent czasowo niedostępny.

Może pomyślą, że umarłaś, tylko nikt nie dał nekrologu. Uwierzą, mało kto cię lubi.

A później zmartwychwstaniesz. W chwale i blasku. W Glorii i Wiktorii.

Zamknij się Tomasz, zamknij z tymi swoimi laskami.

Plan puchnie gwałtownie, rozrasta się, zapełnia szczegółami. Do świtu spakuję potrzebne manele. Wiele mi nie potrzeba, na końcu świata liczy się niezbędność, którą podarowany gruchot bez trudu pomieści. Wkładam rękę do kieszeni kurtki. Kluczyki pobrzękują uspokajająco.

Zostawić. Porzucić. Zaszyć się. Uciec.

Powtórz. Jeszcze raz, głośniej.

Zostawić. Porzucić. Zaszyć się. Uciec.

Nagle zaczynam się spieszyć, nagle podjęta decyzja wymaga niezwłocznej realizacji. Przyśpieszam, krok pogania krok, drepczą sobie po pietach. Byle szybciej, byle już robić, byle rozpętać pęd, który pośle mnie tam, gdzie się jeszcze przed chwilą nawet nie wybierałam.

Zatrzymuję się przed budynkiem, z którego parę godzin temu wybiegłam z myślą, że nigdy do niego nie wrócę. Zadzieram do góry głowę. Otwarte okno wywała mi język z zasłony przewieszanej przez parapet. W odpowiedzi podnoszę środkowy palec. Nie lubimy się. Wszystko przez nie. Przez to, że się nigdy nie domyka.

V

Gaszę, zapalam. Zapalam, gaszę. Kaszlę.

Jeden papieros, drugi. Trzeci. Końcówki petów coraz jaśniej żarzą się w gęstniejącej ciemności. Nie mam pomysłu co teraz, na zapas nie wzięłam zapasu. Nie uśmiecha mi się marsz przez las, cały ten wieczór zaczyna być coraz brzydszym grymasem.

Żadnych pojazdów z prawej, żadnych z lewej. Nikt mnie nie mija, nadaremnie mrugają awaryjne. Może to zła droga, może trzeba było nie tędy. Nie ma komu wybiec przed maskę, nie ma za kim kłaść, że się nie zatrzymał.

Może ta cała Kęszycza w ogóle nie istnieje. Tomasz chciał się zabawić, odegrać. Okazja trafiła się wysmienita. Kiedy dotrę do końca asfaltu, w środku lasu znajdę butelkę z kartką napisanym jego mańkucim pi-smem: a kuku!

Jeb się Tomasz, trzeba było cię nie słuchać. Kurwa, co mnie tym razem podkusiło? Opel przyjmuje cios z buta, adresowany do jego pierwotnego właściciela. Waldek miałby co klepać.

Zapalam, gaszę. Zapalam znowu.

A może tak trzeba też z autem, przecież nie mam nic do stracenia. Wsiadam z fajką w zębach, dym wciska mi się do oczu. Stacyjka stawia zaciekły opór, ale w końcu ustępuje. Gruchot wyje przez chwilę na jałowych chęcicach. Po kolei wciskam wszystkie pedały w podłogę, może trafi się jakaś magiczna kombinacja. Jeszcze raz. I jeszcze, od nowa.

Kolega Waldka poszczałby się ze śmiechu. Kolega Waldka, ten od kopułki.

Otwieram maskę, po ciemku nic nie jest pomarańczowe. Ale to chyba było to, tutaj. Macam na osłep kable, poklepuję łączenia. Głośno i wyraźnie wypowiadam magiczną formułkę. Dawaj, kurwa! Dawaj!

Może teraz, ostatnia próba. Zanim poddam się ostatecznie i położę w przydrożnym rowie. Silnik stara się jak może, łapie w końcu spazmatyczny oddech. Ledwo zipie, ale nie zamierzam tego przepuścić. Trzaskam drzwiami, noga w podłogę. Czterema kołami wtaczam się znowu na asfalt.

Za pierwszym zakrętem sterczy obłożona z farby zielona tablica.

Kęszycza Leśna. Coś tu nie gra. To już? Tak od razu?

Ej, Opel, może ty tak specjalnie? Może masz mi coś do powiedzenia?

VI

Las wypluwa mnie gwałtownie w zabudowania. W samą porę, bo dzień definitywnie przewraca się na lewą stronę. Silnik znowu zaczyna, a raczej kończy. Już prawie nie pracuje, kona na ostatniej gromnicy. Przynajmniej droga łaskawie toczy się z górki. Kontrolki zwariowały w przedśmiertnej agonii, migają lepiej, niż światła na wiejskiej potupajce. Ostatni skręt kierownicą, ostro w lewo. Zdychającą siłą rozpędu parkuję w pępku wioskowego wszechświata.

Dłonie lepią mi się do kierownicy, którą nagle mam ochotę pogłaskać. Radio przestało nadawać cokolwiek, po kolei milkną wszystkie stuki i trzaski. Coś się jeszcze trzęsie pod maską, ale coraz słabiej i słabiej. W końcu Opel wydaje ostatni pomruk. Trzeba mu przyznać – dotrzymał obietnicy złożonej ustami Waldka.

Przez szyby oblepione truchłami owadów staram się dojrzeć cokolwiek. Jakoś nie palę się do wysiadania, szczególnie teraz, kiedy zrobiło się zupełnie cicho. Na razie uchylę drzwi, wystawię głowę na zwiady. Uspokoję tętno, wyrównam oddech. Chwilowo już nigdzie mi się nie spieszy.

Bładopomarańczowe latarnie bawią się światłocieniem na rozległym placu otoczonym dwukondygnacyjną zabudową. Wszystko jest jakies niepokojąco symetryczne. Rozmieszczone według drobiazgowo uporządkowanego planu. Widać na pierwszy rzut oka. Zgadniają się wszystkie odległości, zgrywają przekątne.

Bliźniacze budynki brodzą po dachy w zieleni, która w połączeniu ze światłem zdaje się lśnić fluorescencyjnie. Igły w koronach drzew to zapalają się, to gasną. Mamia mnie iluzją ciągłego ruchu, chociaż wieczór jest spokojny, a we wsi brak jakiegokolwiek ruchu powietrza. Surrealistyczną scenerię uzupełnia porzucona w rogu po prawej, zżerana przez rdzę kuchnia polowa, w której z całą pewnością od dawna nikt nie ugotował grochówki.

Dziwne to miejsce. Tomasz ostrzegął, ale go nie słuchałam. Oduczyłam się wierzyć komuś, kto zawsze przesadza. Tym razem zrobił na odwrót, tym razem sporo przemilczał.

VII

Zabieram rzeczy. Część zostaje na tylnym siedzeniu, straciły chwilowo status niezbędnosci. Reszta jutro, reszta na później. Teraz do przodu, teraz dom numer trzydzieści siedem, ukryty gdzieś w tym drzewo-ceglanym labiryncie.

Wskazówki Tomasza bawią się ze mną w ciuciubabkę. Szepczą rozchodzącym się zbyt szybko echem. Za placem, w głąb! Tędy! Tędy! Może w prawo. Albo w lewo! Tędy! Tędy!

Lewo zsuwa się z górki, opada w ciemność. Patrę pod nogi, asfalt wyrzusza się co chwilę, naciskany od spodu korzeniami drzew. Światło gaśnie w perspektywie, latarnie stoją coraz dalej od siebie. Domy chowają się w zaroślach. Kiedy podchodzę, żeby sprawdzić numer na budynku, przykucają o pół piętra.

W pojedynczych oknach pali się światło. Późno już, a oni jeszcze nie śpią. Może patrzą przez szybę, uchylają firanki. Obca! Obca! Przez wieś idzie obca! Czego tutaj? Czego? Oddech przyśpiesza, nogi zwalniają.

Lepiej by było na odwrót. Trzeba do przodu, trzeba przed siebie. Jeszcze kawałek, tędy!

Zakręt drogi wyrzuca mnie prawie za obręb wioski. Resztki pomarańczowej poświaty odbijają się od nieprzeniknionej ściany lasu. Zarośla zagęszczają szeregi. Tomasz, Tomasz! Mogłeś mówić wyraźniej. Mogłam słuchać uważniej.

Kręcę się w kółko. Patrzę w prawo, zerkam w lewo. Ostatni dom zauważam po chwili. Dobrze się schował, zgasił wszystkie światła. Zdradza go tylko kontur dachu, widoczny w prześwicie pomiędzy drzewami.

Resztką płyt chodnikowych prowadzi mnie do wejścia. Kamienny portal okala masywne drzwi. Jedno ze skrzydeł jest uchylone, wciągam nosem zapach piwnicznej wilgoci. Z kratki przed progiem sterczą badyle. Sio mi stąd! Obcym wstęp wzbroniony. Ustawiam się bokiem, przeciskam przez szparę. Niczego nie chcę dotykać. Niczym nie chcę zaskrzypieć.

VIII

Światło nocnej lampy przeciska się przez abażur w kolorze moczu, rzuca długie cienie na spęczniałą w przypadkowych miejscach boazerię. Otacza mnie zdezelowane umeblowanie, peerelowska klasyka gatunku. Komoda, regał, te sprawy. Wyleniała wersalka pamięta lepsze czasy, kiedyś to przecież było.

Wędruję wzrokiem po ścianie, rząd czaszek w diademach z poroża wpatruje się we mnie pustymi oczodołami. Niektóre całkiem duże, inne zupełnie małe. Czuję się coraz bardziej nieswojo, spuszczone ze smyczy dreszcze rozbiegły się po plecach.

Zwalam torby na podłogę, siebie na tapczan. Ściąganie butów zostawiam na potem, na wypadek gdyby nagle okazało się, że trzeba uciekać. Trochę przesadzam, może nawet specjalnie. Ale mam pretekst, żeby zwyzywać Tomasza pod nosem. Poprawia mi to humor, łagodzi napięcie. Jeszcze parę obelg, parę złamasów i w końcu wyluzuję.

Noc jest jeszcze młoda, wieczór dopiero raczkuje. Pora znaleźć rozrywkę stosowną do sytuacji. Opcja jest jedna, co tu się oszukiwać. Mały drineczek akurat dziś nie zaszkodzi.

Z powodu braku gospodarza sama proponuję sobie poczęstunek. To co, polewamy? Słyszałam wyraźnie, mam czuć się jak u siebie.

Kredens na wysoki połysk wygląda zniewalająco. Podrywa mnie na rząd kryształowych kieliszków i kilka pękatych karafek. Podchodzę nieśpiesznym krokiem, podchodzę bardzo blisko. No cześć, często tu bywasz? Nie, to mój pierwszy raz, ale pewnie zostanę na trochę dłużej. Może się bliżej poznamy?

Lewą ręką zaczynam gładzić politurę, prawą nalewam do szkła ciemny trunk. Już po zapachu poznaję, że to nie przelewki. Stawiam na sześćdziesiąt procent. Odwracam się i wnoszę toast za te wszystkie jelonki, które uparcie nie spuszczaają ze mnie wzroku. Pod światło widać wyraźnie: nalewka ma kolor uniformu Waldka.

To co, jeszcze jeden? Nie, nie, bez przesady. Na razie wystarczy. Daj spokój kredens, nie patrz tak. Jeszcze tu wrócę.

Przechadzam się po mieszkaniu, zaczynam węszyć po kątach. Zapach zatęchłych rupieci maskuje jakąś inną woń. Taką, którą znam, ale nie umiem nigdzie przyporządkować. Coś słodkiego i jakby ciepłego. Coś, co śmierdzi podstępem.

Nalewka weszła jak złoto, wieczór robi się wyśmienity. Jelonki się rozkręciły i ślą uśmiechy. Zrzucam buty, kopniakiem posyłam je pod fotel. Niech nie przeszkadzają, gdybym nagle zechciała zatańczyć.

Otwieram torbę, rozrzucam wokół graty. Nagle pilnie potrzebuję poduszki. Schowała się na samym dnie, reszta zawartości ląduje na podłodze. Walić to, jutro się pozbiera. Kładę się na chwilę, ale znowu wstaję. Może coś pomiędzy, może wystarczy usiąść.

Wiklinowy gazetownik stoi obok wersalki, rozłazi się cały od spodu. Za dużo mu napchali, sploty nie wytrzymały napięcia. Sięgam po pierwsze z brzegu czytadło. Na okładce dawno nieaktualnego tygodnika widniej moje nazwisko. Nie muszę zerkać do środka, na pamięć znam tamten artykuł. Same wzniosłe ochy i achy. Sukces, zwycięstwo.

Sięgam po drugą gazetę, trzecią, entą. Wszędzie to samo, wszędzie moje zdjęcia.

Pola Majcher. Wspaniała Pola!

Rzucam tym wszystkim w ślad za butami. Papier świszczy w locie, opada z plaśnięciem. Część gazet eksploduje, po chwili podłoga usłana jest papierowymi bebechami. Dałabym sobie po łapach za tą ciekawość, ale już po ptakach.

Ej, kredens. Dawaj no tu, dawaj jeszcze jednego. Albo nie, po co się rozdrabniać. Odkorkowuję karafkę, przytykam do ust. Zastygam z zadartą głową, dopóki płyn nie przestaje spływać mi do gardła.

Zwalam się na wygrzebaną z torby poduszkę. Sprężyny sprężynują i wbijają mi się w zębra, ale alkohol robi swoje. Osuwającym się wzrokiem patrzę w prawo, później w lewo. Naprzeciwko znajomych jeleni wisi kiepska reprodukcja Ostatniej Wieczery w zdecydowanie za grubym ramie. Wszystko powoli odjeżdża, zanika. Zapadam w półsen. Na ostatek przemyka mi jeszcze przez myśl, że tamta trzynastka przed spaniem też nie umyła zębów.

IX

Otwieram oko, najpierw prawe, później lewe. Prawe zdążyło się zamknąć, więc na siłę otwieram po chwili oba. Poranek wali mnie na odlew, przez pysk, przez plecy, przez garba, co go wieczorem jeszcze nie miałam, a teraz już mi wyrósł od tych wczorajszych wrażeń. I jest, o taki duży. Może się wchłonie, myślę. Musi się wchłonąć, najpóźniej do południa. Inaczej we wsi się nie pokażę, nie ma opcji.

Liczy się pierwsze wrażenie – zapamiętają mnie taką garbatą, już raz na zawsze. Śmichy, chichy i wytykanie palcami. Spróbuję rozmasować dziada o rurę kanalizacyjną, albo chociaż szufelką od kominka trochę się uklepie. A może prysznic, na przemian ciepły i zimny – ponoć przyspiesza metabolizm.

Zwlekam się z wersalki, zaczynam obmacywać po plecach. Zakres ramion jakiś mizernutki, czuć, jak bardzo ze sportem nie było mi po drodze. Ledwo sięgam do łopatek, ale z ulgą stwierdzam, że garba brak, to tylko rany gniecione od sprzęzyn.

Przez uchyloną okiennicę szarżuje światło poranka, mrużę oczy i podchodzę do okna. Mocuję się z zasłonami, mocuję z klamką, drewniana rama skrzypi i nie chce ustąpić. O mało nie łamię sobie nosa, kiedy w końcu puszczają zapadki. Wystawiam kwadratową głowę na zewnątrz. Cud, że się mieści w futrynie. Świeże powietrze jest świeższe niż przypuszczałam. Podwórko zalane jest słomkowym blaskiem, musi być jeszcze bardzo wcześnie. Coś mnie obudziło przed czasem, teraz już nie zasnę.

W głębi dziedzińca widać pozostałości placu zabaw. Przekrzywiona karuzela obok pozbawionej jednego boku i piachu piaskownicy. Wszystko zastygłe dekady temu. Tylko przerdzewiała huśtawka kiwa się lekko, jakby ktoś dopiero co z niej zeskoczył.

Kręci mi się w głowie, kręci potężnie. Odwracam się, opieram o parapet. Burdel w pomieszczeniu przechodzi wszelkie pojęcie. Grubo wczoraj przesadziłam.

X

A więc kierunek plac, kierunek opel.

Muszę się pozbierać, nie ma, że boli główka, nie ma, że paw na wylocie. Graty w samochodzie nie mogą dłużej czekać. Ja nie mogę dłużej czekać. Żołądek dobitnie przypomina o wczorajszym poście, pali mnie wściekle w odwecie za libację. Jeść! Pić! Dawaj natychmiast!

W mieszkaniu nie ma niczego, co nadaje się do spożycia. Nalewek nie liczę, nawet nie zerkam w ich kierunku. Co ci mam dać, brzuszku? W kuchennych szafkach tylko brud, tylko zaschnięte pająki. Kilka

dawno zapomnianych słoików wypełnia bura maź. Biorę je pod światło, na przesłuchanie. Zawartość nie przypomina niczego, co dałoby się zidentyfikować. Porzucam myśl o odkręcaniu zakrętki. Woda w kranie smakuje korozją, niesie w sobie jakiś rozpad.

A więc kierunek plac, kierunek opel.

Krokiem przerywanym, miarowo chybotliwym, za to z podziwu godną nieustępliwością, wyruszam po resztę bagaży, wyruszam po prowiant.

W świetle dnia wioska jest jakaś inna. Kolor obudził się i wyziera z zakamarków, wyskakuje z zarośli. Barwy są tak intensywne, że muszę mrużyć oczy. Budynki, które jeszcze wczoraj próbowały się chować, teraz napierają na mnie z obydwu stron drogi.

Zadzieram głowę do góry, niebo nad Kęszycą Leśną jest zbyt niebieskie, żeby mogło być prawdziwe. Słońce dopiero bierze rozbieg, a ja już, od razu, natychmiast zaczynam się pocić. Śmierdzą sześćdziesięcioma procentami i stęchlizną, która miała całą noc na to, żeby mnie skrupulatnie oblepić.

Ale teraz do przodu.

Teraz kierunek plac.

XI

Opel stoi na miejscu, grzecznie poczekał. Szyby są całe, manele na miejscu. Siadam w otwartym bagażniku, liczę na to, że kłapa nie zwali mi się na głowę. Przytykam butelkę nagrzanej mineralnej do ust, ciepły strumień jednocześnie i drażni, i koi poharatane pijaństwem gardło.

Przydałoby się coś zimnego, jakiś klin najlepiej. Złoty środek, co stawia na nogi w najcięższych przypadkach. Tomasz coś pierdolił o sklepie, ale wtedy już go w ogóle nie słuchałam. Wyteżam pamięć, ale w obecnym stanie powoduje to tylko ucisk w skroniach. Nawet nie ma kogo zapytać, chyba ciągle jest za bardzo rano.

Rozglądam się po placu, wedle wszelkiej logiki sklep powinien być właśnie tutaj. Szyldu brak, nie ma nigdzie, ani z prawej, ani z lewej. Ale ganek jednego z budynków zdradził się właśnie skrzynkami.

Podchodzę. Od razu widać, że to wyjątkowo podła nora. Ale nie mam wyjścia, kieruję się do wejścia. Wspinam się po pięciu schodkach, kruszony beton skrzypi pod butami. Puste pudełka tarasują mi drogę, butelki po piwie wiją się wężykiem. Cud, że nie syczą. Wymijam nad podziw sprawnie przeszkody i naciskam klamkę. Dźwięk dzwonka przebija ciszę, wali mi w bębenki.

W środku panuje półmrok, kiwające się pod sufitem piętnaście watów widocznie wystarcza. A be-ha-pe? Jakie be-ha-pe? Tu jest wiocha, prowincja, tu się nikt pierdołami nie zajmuje. Na zadupiu zakupy robi się po omacku, człowiek szybko zapamiętuje liczbę kroków od progu do regału z procentami.

Jakoś tu w ogóle pustawo, może jeszcze nie wiedzą, że komuna rozpadła się z przytupem, z donośnym na pół świata hukiem. Z marzeniami o szerokim asortymencie mogą się pożegnać. Ale może jednak coś gdzieś się znajdzie, może chociaż asortyment wąski, taki tylko tyci, tyci. Zaklinam rzeczywistość pod nosem. Oby lodówka z napojami działała. Oby działała.

Nie działa. Nic nie rzeźi, ani nie świeci. Drzwi chłodziarki są otwarte na oścież. Do wyboru mam ciepłą colę i ciepłe piwo. Kiedy tak rozpaczam nad swoim mało schłodzonym losem, coś mnie tyka, prawie w plecy szturcha.

Obracam się przez ramię, można by uznać, że niemal zwinnie, ale efekt nie jest efektowny, bo zawrót głowy rzuca mną o jakiś odkształcony stojak. Dajemy radę oboje, w mgnieniu oka stajemy do pionu. Zezuję szybko z podziwem – utrzymał się grat jeden na nogach, chociaż każda jest innej długości.

Stoi przede mną kobieta mojego wzrostu. Dziwna jest jakaś, nie wiadomo nawet, czy bardziej młoda, czy stara. Buzia całkiem gładka, zmarszczek dopiero pojedyncze egzemplarze, jeszcze w stadium larwalnym. Taksuje mnie bladoniebieskim wzrokiem, ale bez żadnego zainteresowania. Moje dzień dobry trafia w próżnię.

Przystanąła tylko na chwilę, znika zaraz w głębi sklepu. Zaglądam za nią, odprowadzam wzrokiem. Wchodzi za ladę, zawaloną pudłami. A więc to jej królestwo, to ona tutaj rządzi. Może więc sobie pozwolić na ignorowanie powitań. Kusi mnie bardzo, żeby poigrać z ogniem. Poprosić o pomoc z byle jakiego powodu.

Na razie tylko ją obserwuję ukradkiem, zerkam odważniej, kiedy opuszcza głowę i coś notuje. Sylwetka dziesięć na dziesięć, z rodzaju tych najszczuplejszych. Drobnie nadgarstki zdradzają smukłe geny wijące się w jeszcze smuklejszych helisach.

Na głowie ma czapkę z daszkiem, na ramionach sprany podkoszulek z uciętymi rękawami. Kiedy zamiera w bezruchu, wygląda jak manekin. Mam ochotę podejść i podnieść do góry jej ramię.

Kręcę się coraz bliżej lady, co chwilę łapię jakiś produkt, po czym odkładam go na półkę. Może ją jakoś sprowokuję. Może rzuci we mnie w końcu zirytowanym „może w czymś pomóc?”. Jest niewzruszona, ignoruje mnie całą sobą. Nawet nie spojrzy w moim kierunku, chociaż robię największe zamieszanie na jakie mnie stać. Rezygnuję w końcu, podchodzę do kasy.

Za ladą nie jest sama, o proszę. Na zydlu siedzi chłopak, na oko sześćdziesięcioletni. Syn, widać na pierwszy rzut oka. Tak bardzo do niej podobny, że chyba trafiło się jej niepokalane poczęcie. Odwraca się do niego, z gestu wnioskuje, że każe mu zostać na miejscu. Gnojek, w przeciwieństwie do matki, wgapia się we mnie, kiedy wykładam zakupy na ladę. Nieswojo mi pod tym wzrokiem, niewygodnie w drażniącym milczeniu.

Może to jakaś pułapka, a oni są przynętą. Zaraz drzwi się zatrzasną i utknę tu z nimi na zawsze. Dzieciak potwierdza moje przypuszczenia. Jego bladoniebieskie wiertła drążą mi dziury w czaszce. Podkręca coraz bardziej obroty, odpala udar. Sprawdza, ile wytrzymam.

Kasowanie trwa całą wieczność. W końcu manekin kończy, zatrzymuje się znów cały w bezruchu. Prawie szeptem podaje końcową cenę. Ile? Czy może pani powtórzyć? Siłę się na uśmiech, ale muszę wyglądać raczej krzywo niż miło, bo moja rozmówczyni w końcu na mnie zerka. Przechyla głowę, jakby chciała stać się lustrzanym odbiciem.

Powtarza, ale niewiele głośniej. Może trafiłam do jakiejś gry, może tu trzeba wszystko szeptem, może trzeba ukradkiem. Podaję odliczoną kwotę i odważam się zadać pytanie.

–Przepraszam, w jakich godzinach jest czynne? Dopiero wczoraj przyjechałam.

– Czynne przeważnie rano, a do której to różnie. – Ruchem dłoni wskazuje na dzieciaka.

Chciałabym o coś jeszcze zapytać, skoro już przemówiła. Ale nie mam chwilowo o co, niczego sensownego nie wymyślę na poczekaniu. Żegnaj się więc, przez chwilę jest nawet uprzejma, kiedy mówi, że też dziękuje. Może to dlatego, że zaraz się mnie pozbędzie. Odwracam się jeszcze przy drzwiach, nie mogę się powstrzymać. Pochyla się nad chłopakiem, chyba go głaszcze. Przez półmrok wydaje się, jakby robiła to w zwolnionym tempie. Jakby miała opóźnienie o kilka klatek.

Nagle najchętniej bym zawróciła, przykucnęła gdzieś za regałem. Cały dzień podglądała ten dziwny duet z ukrycia. Nagle wydają mi się szalenie pociągający, kiedy tak bezgłośnie egzystują w zagraconym sklepie.

XII

Wracam, skąd przyszłam. Jest jeszcze goręcej, niż przed chwilą. To-
boły ciężą mi na ramionach, przystaję co chwilę, zamieniam strony. Torba z lewej na prawe ramię, siata z prawej na lewe. Niewiele pomaga, ale mogę odetchnąć. Przez chwilę nic nie wrzyna mi się w ciało. W międzyczasie łyk z gwinta, żal, że nie dla ochłody. Ale i tak pomaga, klin klinem.

Może się cofnę po zapas, chociaż już prawie jestem pod domem. Tamten sklepowy duet i tak się nie chce ode mnie odkleić. Z tym piwem to świetny pretekst. Proszę, oto butelka na wymianę. Tak, tak, po drodze wypiałam.

Przepracowane rozterki przerywa mi diabelny hałas. Nadciąga z przodu, coś się czai za zakrętem. Zwalniam krok, ale nie mam gdzie uciec. Na jezdni materializuje się wehikuł, który raczej nie powinien się materializować. Dla pewności mrugam parę razy, oczom nie wierzę. Zbliża się do mnie trójkołowy rower, przerobiony na kształt miniwózka widłowego. Ja pierdolę, ktoś naprawdę coś takiego wymyślił.

Jakiś człekozwierz siedzi na siodełku i macha do mnie ręką. Uśmiecha się szeroko, coraz bardziej zbliża. Brakuje mu kilku zębów, pozostałe są nieadekwatnie białe. Policzki porasta szczecina wykraczająca znacznie poza kontur typowego, męskiego zarostu. Broda sięga do oczodołów, jedynie czoło ma jakieś takie świejące i gładkie. Uszy upstrzone nierównymi kępkami kłaczek, które zlewają się w jedno z kędzierzawą czupryną.

Z chrzęstem łańcucha zatrzymuje się zdecydowanie zbyt blisko i wlepia we mnie podejrzenie zielone oczy okolone głębokimi cieniami. Ma na sobie kilka warstw odzieży, ale nie zalatuje ani wódką, ani wielotygodniowym brudem.

– Bry, może pomóc?

Najwyraźniej wyglądam na tyle nieszczęśliwie, że wzbudzam litość nawet w takich obwiesiach.

– Dzień dobry, dziękuję. Dam radę, już nie mam daleko.

– Może jednak? Podrzucę bagaże.

Tępy jest, czy jaki? Odwzajemniam się nachalnością i wgapiam bez żenady, to w niego, to w pordzewiały wehikuł. Mechanizm podnośnika zamontowanego z przodu roweru działa na korbkę, która wygląda na wymontowaną z domowego magla. Ustrojstwo bez wątpienia powinno znaleźć się w muzeum dla chałupniczych wynalazków. Wszelkiej maści aparaty, które nie mają prawa działać, ale cudownie ożyły napędzane fuszerstwem konstruktora.

– Pola, prawda?

– Prawda. – Jestem zbyt zaskoczona, żeby dla zasady zaprzeczyć.

– No to teraz będzie się działo.

Mrugam znowu, chyba mi weszło w nawyk. Do tego otwieram usta i stoję taka rozdziawiona. Styki w mózgu dwoją się i troją. Ale nijak nie mogą zaskoczyć.

– Jestem Szymon. Mów, gdybyś potrzebowała pomocy.

Co on kurwa z tą pomocą, z caritasu się urwał czy co? Próbuję coś z siebie wydusić, ale do głosu nie daje mi dojść ani Szymon, ani moje osłupienie.

– Mieszkam za wioską. Łatwo mnie znaleźć. Idziesz jak nad jezioro i przy granicy lasu skręcasz ścieżką w lewo. Dziesięć minut prosto, później przez polanę.

Zanim zdążę się oburzyć, że wali mi na ty, włochaty staje na pedałach i z upiornym piskiem rusza przed siebie. Odwracam się, patrzę jak odjeżdża w stronę placu.

Ujechał ze sto metrów i zatrzymuje się znowu. Jezu, może chce zawrócić. Ale nie, zsiada z roweru, z kimś się wita. Z kimś tak małym, że nie mogę dojrzeć. Nagle w górę leci dzieciak, Szymon podrzuca go i łapie. Rechoczą obaj, mały dokłada piski. To ten ze sklepu, bez kitu. Matka go tak puszcza luzem?

Człekozwierz sadza go na podnośniku, sam wskakuje na pedały i zaczynają kręcić bączki. Trzaski są nie do zniesienia, ale nie mogę przestać się gapić. Coś jest w tych dwóch, jakaś dzika energia, która nakręcana szaleńczą jazdą w kółko zaraz eksploduje i rozsadzi pół wioski. Nogi za pas, nie ma co czekać. Ruszam do przodu, zanim dosięgną mnie odłamki.

XIII

Miałam wrócić jutro, ale jestem dzisiaj.

Dwa kroki w przód, jeden w tył. Przystanek. Głęboki wdech. Ostatnie parę metrów i nie będzie odwrotu. Chyba, że już zamknęli. O, i po problemie. Nogi zostają w miejscu, reszta mnie wygląda zza winkła. Sprawdzam ukradkiem, czy jeszcze jest czynne.

Burdel się rozprzestrzenił. Wszystko wygląda gorzej, niż trzy godziny temu. Jenga z kartonów osiąga właśnie moment krytyczny. Śmieci walają się przed wejściem, kręcą piruety, unoszone podmuchami popołudniowego wiatru. Na środku ganku leży mysz. Gdyby nie sztywność czterech łapek pomyślałabym, że ucina sobie popołudniową drzemkę.

Drzwi do sklepu są uchylone. To dobrze wróży. To źle wróży.

Zbieram się w sobie, jeszcze moment, jeszcze chwila.

Głupio mi tak znowu. Kiepsko z pomysłami, jak tu zagadać i nie wyjść na kretynkę. Pewnie najprościej będzie prosto, z grubej rury. Ale jak to by było?

Przepraszam bardzo, tak trzeba zacząć. Mam pytanie. Może się pani

oczywiście nie zgodzić.

Kurwa, jakby nie wiedziała, że nie może. Dobra. Do rzeczy.

Przepraszam, mam pytanie. Czy mogłabym gdzieś u pani powiesić plakat? Ulotkę. Ogłoszenie znaczy. O, takie, nieduże. Znajdzie się gdzieś miejsce?

A co to jest? No wie pani, mam sprawę. Do mieszkańców wioski. Tak, w zasadzie wszystkich. Nie, nie naraz. No więc chodzi o to, że jestem tu nowa. Może nie, że nowa, bo tylko w sumie na trochę. No ale jakby ludzie mnie nie znają.

A ja robię projekt. Taki jeden, fotograficzny. Opowiem kiedyś więcej, jeśli pani zechce.

Ale wracając do plakatu. Ogłoszenia znaczy. Napisałam tam parę słów, że chętnych zapraszam. Można dołączyć do akcji. Będzie mi bardzo miło. To nic trudnego. Pół godziny najwyżej, zrobię każdemu kilka zdjęć. Tak, tak, odbitkę też będzie można dostać. Tylko zgodę trzeba podpisać. Na publikację wizerunku. Bo będzie wystawa z tego. Znaczy mam nadzieję, że się uda. Ja wszystko, jak coś, na spokojnie wytłumaczę.

O, a może pani by wzięła udział? Razem z synem rzecz jasna.

Manekin nagle staje w drzwiach i patrzy akurat w moją stronę. Teraz już nie ma odwrotu. Teraz trzeba podejść. I powiedzieć to wszystko, tylko dużo zgrabniej.

XIV

Siedzimy na schodach sklepu. Zamiotła nogą, tyle wystarczy.

Tym razem znalazło się zimne piwo. Kopnął mnie zaszczyt, dostałam z lodówki na zapleczu. Ta sklepowa jeszcze trochę nie podziała. Serwis zjawi się w przyszłym tygodniu. Tak to już jest na prowincji, na wszystko trzeba czekać. Wyjaśniła jakby przepraszająco.

– Śpieszysz się? Nie? To chodź, ja też się napiję.

Następna wali na ty. Ale nie wybrzydzą. Chyba się nudzi, skoro zapragnęła mojego towarzystwa. Na razie nie jest zbyt rozmowna, może dopiero browar rozpędzi jej język. Czekam cierpliwie, unikam nachalności. Zerkam na nią niby przypadkiem. Kątem oka, oby niezauważanie.

Przedstawia się w końcu. Kaja, całkiem ładnie. Co kilka łyków podnosi butelkę, stuka szyjką o moją i bierze bardzo krótki łyk. Trunku ubywa wolniej, niż bym sobie tego życzyła. Gapi się przed siebie, wodzi wzrokiem za synem. Coś jest z nim nie tak, coś nieuchwytnego. Zajmuje się sam sobą, chodzi po orbicie rozpiętej pomiędzy gankiem a pobliskimi

krzakami. Co chwilę znajduje sobie jakieś zajęcie, po czym wraca do okrążeń.

Może chociaż zapytam, jak ma na imię. Przecież to nie zbrodnia.

– Teo. Teodor właściwie – odpowiada jakby z wysiłkiem.

Pewnie usłyszał, że o nim mówimy, bo porzucił grzebanie patykiem w igliwiu i utkwiał we mnie wodniste spojrzenie. Wydaje mi się jeszcze dziwniejszy, kiedy tak siedzi w kucki pod krzakiem jałowca i niczego od nas nie chce, nie uprawia żadnego trucia dupy. Żadnego chodź się pobawić, chce mi się siku i tym podobnego zestawu gówniarskich bredni.

Wracając do plakatu. Kaja zmienia temat, może chce unikać dalszych pytań.

Na pomysł wpadła, właśnie teraz. Mogę powiesić, nie ma sprawy. Ale to nic nie da, jedna połowa klientów nie przeczyta, druga oleje temat. Muszę ich najpierw poznać, oswoić ze sobą. Tu jest inny świat, tu się inaczej nie uda.

Może pomogę jej w sklepie? Tylko parę dni, widzę przecież jak tu wygląda. Miała dużo na głowie, dużo za dużo ostatnio. Wskazuje palcem na dzieciaka. Gorszy okres, te sprawy. Nie chce o tym teraz mówić. Całe szczęście, bo ja nie chcę pytać.

Skorzystamy obie na tym układzie, symbioza się to nazywa. Pogadam sobie z ludźmi, najpierw zupełnie zwyczajnie. Dobrze mi radzi. Małymi krokami, nie wszystko od razu. Zapłaci też przecież, wiadoma sprawa. Nie jakieś miliony, bo jej nie stać. Ale się dogadamy. Jak wolę – w towarze, w walucie?

Słucham jej propozycji, coś we mnie rośnie. Kiwam głową na tak. Mówię, że świetnie, że spoko. Milczę, że wolałabym w naturze.

Udaję przed sobą. Nie po to tu przyszłam.

XV

Przekładam pudła z kąta w kąt, tak jak mi kazała. Robię w kółko to samo, ale powstrzymuję się od pytań. Może ma jakiś koncept, którym się nie dzieli. Mam wrażenie, że to sztuka dla sztuki. Zwykła zgrywa, byle mnie czymś zająć. Nie wzruszają jej zaczepki przy kolejnych jałowych kursach, ignoruje moje wabiące spojrzenia. Ej, Kaja, weź nie bądź taka. Bezskutecznie staram się zwrócić na siebie jej uwagę.

Kiedy w końcu odpuszczam, zachodzi mnie od tyłu. Wymyśla inną robotę. Za każdym razem się nie spodziewam i podskakuję w przestachu. Uśmiecha się wtedy, głównie oczami. Chyba ma satysfakcję z tych moich wzdrygnięć.

- Piątek dziś, wiesz? Pierwszy w miesiącu. Dziś jest przedstawienie.
- Jakie znowu przedstawienie? Tu się coś wystawia oprócz śmietników?
- Wystawia, a jakże. Spektakl, jakiego świat nie widział.

Puszczaj mi oko, jakbym wiedziała, co ma na myśli.

Mam iść, o tam. Na kraj lasu. Nie ten skraj. Ten drugi, niż mój. Przez plac i w prawo. Przecież byłam ciekawa wioski. Chciałam poznać mieszkańców? Oto świetna okazja, bardzo proszę. Zejdzie się większość, nigdy nie odpuszczają monodramu.

- W roli głównej Helena od Pająków.

– Kto?

Helena. Stara Helena. Pajęczarka we własnej osobie. Zresztą sama zobaczę. Ale to teraz najmniej istotne, później mi wyjaśni. Helena wróży, z tańca. I tego, co niewypowiedziane. Mam nie pytać o nic więcej, nie psuć niespodzianki.

Mogę zabrać małego. Będzie mi raźniej. Ona w tym czasie posprząta, nadrobi to, co zaległe, odkładane na najwyższe półki. Dam sobie radę, powie mu, że ma być grzeczny. Jest bardzo usłuchany, sama zobaczę.

Chłopak wyłazi zza lady, jakby potwierdzał słowa matki. W ręce miętyli lizaka, jeszcze go nie odpakował. Ustawia się przed wejściem, jakby czekał na dalsze instrukcje. Decyzja zapadła. Nawet gdybym wiedziała co, to i tak nie mam nic do gadania.

Wychodzimy na ganek. Teo przykuca nagle, coś go zatrzymuje. Martwa mysz łapie dzieciaka w pułapkę. Wyciąga rączkę, jakby chciał ją pogłaskać. Może bardzo chce mieć zwierzątko, choćby takie sztywne. Szkło trzaska w głosie Kai, kiedy przywołuje syna do porządku krótką komendą. Wara. Mały wstaje natychmiast, wyrwa do przodu. Jakby uciekał przed odłamkami.

Kaja patrzy na mnie. Trochę przepraszająco, a trochę z wyzwaniem. Wybacz, ale z nim czasem tak trzeba. Krótko, dosadnie. Wolę to, niż miałby się jakimś cholerstwem zarazić. Ale nie martw się, z tobą będzie grzeczny, pójdzie po sznurku. Jeśli kogoś nie zna dobrze, nigdy się nie wychyla.

XVI

Nie odzywamy się przez całą drogę, wieś nam wtóruje w milczeniu. Gnojek sam z siebie idzie w dobrą stronę. Co chwilę podbiega do przodu, przystaje, unosi głowę i rozgląda się to w prawo, to w lewo. Wygląda jakby węszył, szukał tropów w powietrzu. Za każdym razem czeka, aż

go dogonię, nie oddala się więcej niż kilkanaście kroków. Karny jest taki, faktycznie usłuchany.

Droga się zaludnia, z zakamarków wioski wylazi coraz więcej osób. Nikt się nie odzywa, nikt nikogo nie pozdrawia, nie macha na przywitanie. Musimy być już blisko, bo dzieciak idzie tuż koło mnie, jakby szukał oparcia. Wszystko wokół wstrzymało oddech. Cała wieś udaje, że nie widzi, jak idę z cudzym dzieckiem za rękę.

To chyba tu. Mały zwalnia, przystaje. Kuli ramiona, robi się jeszcze mniejszy. Przed jednym z domów sterczy już kilkanaście osób, przyszli wcześniej, zajęli najlepsze miejsca. Ale nikt ze zgromadzonych nie przekracza furtki, chociaż ta otwiera się na oścież. Może trzeba czekać na zaproszenie. Albo sprzedaż biletów tudzież wywoływanie z listy.

Ej, Mały, co teraz?

Stoi tylko, nawet na mnie nie zerka. Reszta za to zerka. Niby dyskretnie, niby ukradkiem, ale coraz nachalniej. Kiełkują pojedyncze słowa, wykluwają się gesty. Tak, tam z boku. Ta z dzieckiem. Ta nowa. Kiedy słowa wypadają im z ust, szybko je przydeptują. Zagrzebują butami w piachu.

Szmer ustaje, jedna z kobiet wskazuje palcem na okno. Tam, na parterze, po lewej stronie od wejścia. Przez brudne szyby widać, jak coś kotłuje się w środku, szarpie zasłonę. Może to już, może się zaczyna. Kurtyna! Dzieciak zaczyna przebierać nogami, coraz mocniej ściska moją rękę. Żeby tylko się nie posikał. Mały, chcesz może za krzaczek? Kręci głową, że nie. Nie o to mu chodzi.

Kotara zaczyna falować coraz mocniej, jakieś tornado rozpętało się w środku. Nikt z gapiów nawet nie drgnie. Napięcie wzrasta, jakby jakiś niewidzialny generator pompował skondensowaną energię pomiędzy zgromadzonych. Ciarki przebiegają mi po krzyżu, chociaż wiem, że to jakaś bujda na resorach. Wsiowa rozrywka dla cierpiących z powodu braku innych atrakcji.

Nagle okno zastyga, ale sień ożywa. Czern w niej gęstnieje, jakby zmieniła stan skupienia. Jakaś staruszka, pewnie rzeczona Helena, piruetem wypada na podwórze. Kręci się jak szalona, mało zgrzybiałych kości nie połamie. Unosi nad głowę nagie przedramiona. Karminowe bąble pulsują jej na skórze. To rosną, to maleją. Co chwilę wybucha ni to jękiem, ni to śmiechem. Wiruje tak szybko, że nie sposób dostrzec wyrazu jej twarzy. Drobnym ciałem cyklicznie wstrząsają dreszcze. Roznoszą się na krzewy okalające placyk, przeskakują na zgromadzonych. Po chwili drży cała wioska.

Nagle stara przestaje wirować, nagle zastyga w wężącej pozie. Pomarszczoną szyję wyciągnęła z łachów: gdyby nie chustka na głowie, miałabym przed sobą zmumifikowanego sępa. Podchodzi chwiejnym krokiem do płotu, ciągnie za sobą jedną nogę. Stóp nie widać spod

spódnicy, ale złamany takt każe przypuszczać, że utyka.

Gapie robią krok w tył. Lęk przetacza się przez zgromadzonych. Helena przystaje przy każdym, białkami oczu świeci po twarzach. Obramowanym żałobą paznokciem zaczyna wytykać po kolei.

Ty, ty i ty. Dzisiaj nie. Bardziej syczy niż mówi. Kiedy zaczyna zbliżać się do nas, dzieciak puszcza moją rękę i przykuca. Może go nie zauważy, taki jest mały i schowany pod płótem. Udziela mi się zbiorowa psychoza, mam ochotę do niego dołączyć.

Bzdura, kompletna bzdura.

Bzdura, powtarzam w myślach. Bzdura – chciałabym wykrzyknąć, ale coś zakleja mi usta. Helena zatrzymuje się przede mną, zaczyna węszyć, krzywi się, jakby wyczuwała obcy zapach. Rozchyła bezzębne wargi, kąciki ust rozchodzą się na pół twarzy. Chyba się uśmiecha.

– Ty, nowa! Słuchaj! Słuchaj mnie teraz. Światło. Światło się o ciebie upomni.

Patrycja Mierzejewska:

Pola Majcher – uznana fotografka – przeżywa zawodowy kryzys. Szukając możliwości przełamania impasu, ulega namowom przyjaciela i wyjeżdża do ukrytej wśród lasów wsi. Chce zregenerować siły i zrealizować pomysł, który od lat jest jej obsesją. Trafia do osady zamieszkałej przez plejadę odmieńców, idealnie nadających się do wzięcia udziału w planowanym projekcie.

Pola stopniowo przyzwyczaja się do życia na odludziu, z czasem poznaje bliżej dziwnych mieszkańców wioski – Helenę Pajęczarkę, Szymona Pustelnika, bliźniaczki Wandę i Maszę oraz Pinę – byłą baletnicę. Utwierdza ją to w przekonaniu, że znalazła się we właściwym miejscu i motywuje do pracy. Jednak najsilniejsza więź połączy ją z właścicielką miejscowego sklepu – Kają, wychowującą samotnie milczącego od urodzenia syna, Teodora. Burzliwa relacja pomiędzy kobietami zapoczątkuje nieprzewidziany bieg wydarzeń.

Kaja, pomimo rozpoczęcia romansu z Polą, nie chce zgodzić się na zrobienie sobie zdjęć. Odmowa sprawia, że Pola fiksje się na jej osobie i za wszelką cenę stara się ją przekonać do zmiany zdania. Niechętnie nastawiona do dzieci, próbuje zbliżyć się do Kai poprzez Teodora. Stopniowo wychodzi na jaw, że Kaja nie radzi sobie z macierzyństwem i bywa przemocowa w stosunku do chłopca. Pola dostrzega to, ale nie reaguje w trosce o własny interes. W końcu Kaja ulega namowom i zgadza się pozować Poli, ale w zamian żąda kilkudniowej opieki nad dzieckiem podczas jej nieobecności w wiosce.

Kiedy usatysfakcjonowana Pola obrabia w ciemni zdjęcia, do pomieszczenia wbiega Teodor. Wpadające światło powoduje naświetlenie negatywów. Udaje się uratować zaledwie kilka kadrów, ale zamiast portretów Kai, Pola odkrywa własne zdjęcia. Dociera do niej prawda – to ona jest matką Teodora. Zdezorientowana i załamana całą sytuacją zostawia chłopca pod opieką Szymona, a sama idzie nad jezioro i wchodzi w toń. Na plażę wbiega Teodor, rzuca się do wody i zaczyna płynąć w kierunku matki.

Z epilogu dowiadujemy się, że Pola realizuje finalnie cały projekt, a wystawa okazuje się ogromnym sukcesem. Kiedy wernisaż dobiega końca, do galerii wchodzi Kaja i przytula do siebie Teodora.

Irena Powell

Gdybyśmy mieli urodzić się powtórnie

Kiedy byliśmy z siostrą małe, to znaczy kiedy mojej siostrze nie urosły jeszcze piersi nadające się do obcięcia, a wcześniej do aktu, olej na płótnie, dwieście pięć na sto pięćdziesiąt trzy centymetry, *Stojąca naga kobieta*, i moje włosy trzeba było stale przycinać do wysokości płatków uszu, ojciec kupił mi kauczukową piłeczkę. Na straganach odpustowych, gdzie w dzień zaduszny krążyły dwie ćmy zwiedzione kiczem.

Moja starsza siostra została w domu z kaszlem, katarem i tym zdjęciem z falami, więc mogła sobie żeglować do woli. Kicz mamiał oczy tanią radością, łatwą do zdobycia, na wyciągnięcie ręki. Nie trzeba się było specjalnie starać. Tylko że ojciec nie był ani wylewny, ani rozrzutny, więc i w siebie brał skąpo. Nie chciał kupować. Pozwalał mi jednak oglądać wszystko dokładnie. Delektować się ekspansywnym kolorem (zupełnie nie jak u Hammershøia). Smakować. Kosztować. Próbować zaspokoić głód nie do zaspokojenia. Szare ćmy tak już miały.

Ojciec zaskakująco cierpliwie czekał, aż upierścieniłam każdy palec, przepychając z trudem przez kostki metalowe obrączki z udającym szlachetność plastikiem. Upierścieniona odświętnym, odpustowym oszustwem zwracałam się w stronę ojca, zasłaniając ozdobnie rozczapierzonymi palcami twarz. Mimo braku matki była to twarz roześmiana. Mijało z czasem. Ścierało się, jak pozłota z odpustowych pierścionków.

A jednak piłeczkę mi kupił. Odmówił samoopróżniających i samonapełniających się butelek ze sztucznym mlekiem dla lalek. Butelek mniejszych i większych z barwioną cieczą udającą soki wieloowocowe. Odmówił elektrycznych piasek wydających mechaniczne szczeknięcia i merdających nieudolnie zeszytyniałymi ogonkami. Napędzane bateriami udawały Misia i jego późniejsze wcielenia.

Ojciec był zasadniczy. Nie zmieniał zdania pod wpływem impulsu, nagłego przebłysku. Nie wpuszczał światła do środka. Nie zezwalał na wątę cukrową oraz odpustowe łakocie wątpliwej jakości i smaku. Starzał się być dobrym ojcem. Dbał o uzębienie córek. Regularnie zapisywał mnie i siostrę na wizyty u osiedlowego dentysty. Miał on gabinet tuż obok pani Basi, fryzjerki o rozpasanych kaskadach ciemności. Ale kauczukową piłeczkę ojciec mi kupił. Taką małą piłeczkę dla małego pieska. Łatwą do przegryzienia.

Mała piłeczka mieściła się w małej dłoni. Mała dłoń trzymana wierzchem do góry, mocno zaciśnięta, aż knykcie robiły się białe jak wysrane kosteczki z szyi ugotowanego w rosole kurczaka, skrywała kolorowe mazie. Nikt się nie postarał, żeby kolor piłeczki był określony. Być może wkładało się kulkę do chaotycznie działającej maszyny barwiącej i rozsmarowywała na powierzchni, co popadło.

Zastanawiałam się nad tym często, odwracając dłoń spodem do góry. Moje przykrótkie jeszcze wtedy palce nie zakrywały szczelnie uwięzionego przedmiotu, który poskakałby sobie beztrosko, niekontrolowanie, na chybił trafił. Wyrwkowo po kątach i nieprzytulnych jamkach czteropokojowego mieszkania na parterze. Być może sprężyste płąsy kauczukowej piłeczki uczyniłyby opustoszałe jamki przyjaźniejszymi. Ale ojciec nie pozwalał mi się bawić piłeczką w domu.

Zaczynałam od oswajania kolorów. Lubiłam ciemnozielone pasmo, które ni stąd, ni zowąd przechodziło w róż. Dość wyblakły. Nie spodobałby się Różowej Czesi gustującej w krzykliwych, ostentacyjnych manifestacjach próbujących tuszować strach. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Śledziłam trasę blaknącego różu, zapadał się w szarawą biel, żeby niespodziewanie zaskoczyć oczy pomarańczami. Babcia Gienia także przynosiła je na święta. Wydawało mi się, że robiły tak wszystkie babcie świata.

Rozkładała owoce uważnie w płaskim koszu, w centrum świątecznego stołu, a ja wpychałam w szparę moją kauczukową piłeczkę, pomarańczową mazią na wierzchu. Przekręcała się nieposłusznie, przechodziła w czerwień, granat zmieszany z czernią i babcia Gienia błyskawicznie orientowała się w sytuacji. Mrugała do mnie okiem, wyciągała piłeczkę ze stosu pomarańczy i kazała bawić się po kątach, choć ojciec zabraniał mi skakać z piłeczką w domu. Miałam nie przeszkadzać dorosłym w starannej aranżacji kolorów na wigilijnym stole.

Być może dlatego nie lubiłam rytualnych świąt rodzinnych. Wszystko stawało się precyzyjnie sztuczne. Napędzane bateriami jak odpustowy piesek czekający mechanicznie i nieudolnie merdający sztywnym ogonkiem. Babcia Gienia decydowała, które bombki mają zawisnąć i nigdy nie zmieniała składu wielkanocnej sałatki jarzynowej. Żadnych piłeczek kauczukowych w pomarańczach. Żadnych wspominków o mamie. A już samo wspominkowe słowo sprawiało mi przyjemność.

– Babciu, kiedy tata pójdzie do ubikacji, możemy zrobić sobie wspominki o mamie?

Ojciec właśnie wyszedł do kuchni po więcej sosu grzybowego, a babcia przykładła palec do ust i odpływała myślami daleko. Nie mogłam jej stamtąd zawrócić ani jej tam dogonić. Oddalała się ze swoimi zasznurowanymi ustami.

Moja starsza siostra zabierała mnie po kolacji wigilijnej albo po uroczystym obiedzie wielkanocnym do swojego pokoju i pływałyśmy z mamą po morzach. Fale miały kolor ciemnoniebieski, szary, błękitny, zielony. Po twarzach smyrały nas ciemne i długie włosy mamy ucięte koniecznością fotograficznego formatu. Do babci Gieni szliśmy potem na herbatę i ciasta, żeby ją wyrwać z głębokiego oddalenia.

Zastanawiałam się, czy ja i moja siostra śniłyśmy się czasem matce? Czy myślała o nas intensywnie, z bólem, z żalem, czy z matczyną rozkoszą wyobrażała sobie, jak rośniemy, jak pęczniejemy nasze ciała, osobowości, by zakwitnąć, a nie pęknąć? Zastanawiałam się, czy moja matka była pęknięta? Musiało w niej coś drążyć, coś wybuchło, rozsadziło ją od środka. Coś, co przyszło z zewnątrz? Z wewnątrz? A z pękniętych ludzi musiały ulatywać nawet sny. Tak mi się przynajmniej wydawało. Na to pytanie Hammershøi nie dawał mi wciąż odpowiedzi.

Zobaczyłam go po raz pierwszy i od razu na żywo w National Gallery w Londynie, gdzie mieszkałam w dzielnicy chasydów, skąd dojeżdżałam długą, okrężną drogą na zajęcia językowe. Oszczędzałam. Autobusy były najtańszym środkiem komunikacji, poza rowerem, którego nie miałam ani w domu, ani na wyspach. Ojciec się nie zgadzał, więc wyobraziłam sobie, że moja matka uciekła na rowerze. Z Misiem na bagażniku.

Zawsze po wyjściu z wynajmowanego mieszkania, właściwie pokoju, bo taniej (moi współlokatorzy mieli w zwyczaju kroić zielone ogórki na wspólnej, drewnianej desce kuchennej, ogórki koszerne, niekoszerne, koszerne, niekoszerne kurczaka na tej samej desce, a lepiej, żeby była osobna, szklana), zawsze po wyjściu natykałam się na pejsowatych chasydów idących dziarsko, gromadnie studiować Torę.

Fascynowały mnie jej zwoje wplątujące się w struktury mózgu, jak wyobrażałam sobie, że wplątywała się w szprychy roweru sukienka mojej odjeżdżającej matki. Została mi pod powiekami, cała pastelowa od tej sukienki z drobnymi kwiatkami. Wyblakłymi, niebieskimi jak na odświętnych głębokich talerzach babci Gieni. Matka gubiła za sobą roślinne drobinki, ulatniał się zapach florystycznego drobiazgu, frywolna beztroska, skrzywienie roweru cichło, a chasydzi parli sprężystym krokiem w swoją chasydzką czerń pełną niezrozumiałego dla mnie blasku.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Hammershøia w pokoju numer osiem National Gallery w Londynie (miałam szczęście, że na żywo, wstęp na główną ekspozycję był bezpłatny), nieświadomie rozpoczęłam naukę zamrażania momentów. Odtąd skupienie na drobnych czynnościach przynosiło mi ulgę. Nawet zasłanianie okien, zwyczaj wymuszony przez ojca, stawał się ostatecznie aktem spokojnym. Przychodziłam codziennie. Vilhelm stał się esencją.

Jak wszystko inne w mojej pamięci, i tamta pierwsza wizyta w National Gallery w Londynie odłożyła się w sposób nieuporządkowany, cha-

otyczny, wyrywkowy. Na chybił trafił dotarłam do pokoju numer osiem. Niespiesznie wędrowałam po salach. Meandrowałam. Smakowałam po trochu wszystkiego. Zupełnie jak na tych straganach odpustowych, dawno temu z ojcem. Tylko nikt mnie nie odciągał mocnym uchwytem. Mogłam decydować sama. Ojciec, gdzieś daleko, nie wychodził z domu. Moja starsza siostra jeszcze żyła.

Tamtego dnia oczywiście padało, jak to na wyspach. Czułam wilgoć we włosach spiętych w nisko osadzony kok. Kosmyki wyslizgiwały się. Ubrana byłam na czarno. Dżinsy, bluza z kapturem. Przez ramię zwisała ciemnoszara torba pełna luźnych kartek z nowymi słówkami w przykładach zdań.

Miałam w zwyczaju rozrzucać kartki dokoła siebie, siadałam pośrodku i igrałam z przypadkiem. Kiedy nauczyłam się treści notatek na pamięć, wklejałam je do zeszytu oprawionego miękkim w dotyku materiałem, z czarnobiałymi motywami roślinnymi. Powracał porządek. W głowie coś się zasklepiało.

Dotarłam wreszcie do pokoju numer osiem. W mojej czarnej bluzie z kapturem niezarzuconym na wciąż wilgotne włosy. Kosmyki wyslizgiwały się. Chaotycznie, wyrykowo, na chybił trafił zapamiętałam pannę La La z Cyrku Fernando zawieszoną na linie ściskanej w zębach, Elenę Carafę patrzącą bezczelnie wprost, baletnice, mężczyzn czytających rozłożyste gazety i ceremonię czesania długich rudych włosów. Wszystko w pokoju numer osiem.

Ale zatrzymała mnie tam Ida. Stała obrócona tyłem, z kokiem upiętym nisko, odsłoniętą białą szyją, na którą padało światło. Zapamiętałam bezbłędnie, co do szczegółu. Wryłam sobie na siłę w pamięci, żeby nie dać unicestwić przypadkowi. Pośpiechowi zmieszanemu ze strachem. *Wnętrze*, 1899, olej na płótnie, sześćdziesiąt cztery centymetry, pięć milimetrów na pięćdziesiąt osiem centymetrów, jeden milimetr.

Kosmyki włosów Idy wyslizgiwały się na boki, lekko kręciły. Wzdłuż lewej strony czarnej długiej sukni opadał białoszary skrawek fartucha. Nie wiem, co robiła. Miało nie być jej na obrazie. Pierwotny zamiar Hammershøia czynił okrągły stół dominantą przestrzeni, w dyskretnym towarzystwie białych drzwi, srebrnej rury pieca i złocących się lekko klamek. Ostatecznie Vilhelm zdecydował się dodać postać i gdybym miała urodzić się powtórnie, byłabym Idą Hammershøi.

*

Jest rok 1899. Jak zawsze dużo się dzieje. Rodzą się Jorge Luis Borges, Alfred Hitchcock, Ernest Hemingway, Vladimir Nabokov, Fred Astaire oraz Duke Ellington. Niestety rodzą się także Al Capone i Ławrientij Beria. Skazany niesłusznie za szpiegostwo na rzecz Niemiec Alfred

Dreyfus, w związku z rozpleniającym się w Europie chwastem antysemityzmu, który, jak to wszystkie chwasty rasizmów, nacjonalizmów i tym podobnych, powraca niezmordowanie w regularności, zostaje ułaskawiony przez prezydenta Francji.

Jest pierwsza w historii śmiertelna ofiara wypadku samochodowego – na jednej z nowojorskich ulic ginie niespełna siedemdziesięcioletni agent nieruchomości Henry Bliss, którego błogie nazwisko zostaje zdruzgotane wynalazkiem zapowiadającym śmierć planecie. Ale na ulice Moskwy, Ołomuńca, Grudziądza i stolicy Jamajki wyjeżdżają tramwaje elektryczne z nadzieją, że ludzkość kiedyś się zreflektuje i wynajdzie samochody napędzane prądem.

Amerykański astronom William Henry Pickering odkrywa jeden z księżyców Saturna – Febe, a Guglielmo Marconiemu udaje się dokonać pierwszego bezprzewodowego przekazu telegraficznego między Wielką Brytanią a kontynentem, wobec którego wyspa Królowej Wiktorii trzyma dystans.

Vilhelm Hammershøi maluje obraz *Wnętrze*, подарowany National Gallery of British Art przez przyjaciół Leonarda Borwicka, ulubionego pianisty kilkakrotnie przywoływanej tu Królowej Wiktorii. Leonard Borwick to idealista, wegetarianin, człowiek wszechstronnych umiejętności i zainteresowań, kolekcjoner posiadający co najmniej dwa obrazy duńskiego malarza. Dużo zależy od tego, co się kolekcjonuje.

Irena Powell:

Bolesne wspomnienia upycha się po kątach. Odkładają się w czeluściach. Niby na chybił trafił, a jednak wyłania się z nich obraz czteroklatkowego dziewięciopiętrowego bloku z wielkiej płyty. W wielu miastach można spotkać takie wieżowce. Zamieszkiwane przez ludzkie pamięci. Niewierne samym sobie.

Kobieta Z Siódmego Piętra wychowała się w niepełnej rodzinie. Bez matki, która zniknęła w nieujawnionych przez ojca okolicznościach. Ojciec nie został obdarzony darem snucia opowieści. Posiadała go starsza siostra i stała się pierwszą przewodniczką po świecie przetwarzania rzeczywistości. Od czasu jej śmierci, spowodowanej złośliwym nowotworem piersi, Kobieta Z Siódmego Piętra widzi ją w lustrze.

Ma silne, wysportowane ciało, ale obawia się dotyku. Mimo to czuje nieodparty pociąg do sąsiada o orzechowym spojrzeniu, Dresiarza-Kulturysty. Pracuje w organizacji pozarządowej chroniącej kobiety przed przemocą. Chce żyć innym życiem niż to, które ma, więc w snutej przez siebie opowieści długo ukrywa prawdziwą tożsamość. Fascynuje ją malarstwo Vilhelma Hammershøia.

Duński artysta specjalizował się w pustych wnętrzach i wyludnionych krajobrazach. Nie zajmowała go narracja ani symbol, lecz atmosfera i introspekcja. Nastrój jego obrazów, których reprodukcje obsesyjnie kolekcjonuje Iza-Ida z czwartego piętra, wydaje się na pierwszy rzut oka klaustrofobiczny. Pomaga jednak nazwać niepokoje i stwarza szansę na wyciszenie rozedrganej pamięci.

Pewnego popołudnia na działkach widzianych z zachodnich okien wybucha pożar. Płonie altana. Kobieta Z Siódmego Piętra zbiega na dół i ratuje psa. Ginie Działkowicz. Stary alkoholik, Mecenas, wszczynając nieudolne śledztwo. Po lesie za działkami fruwią kolorowe papugi. Ktoś zdążył wypuścić je z klatek.

Wydaje się, że to Hammershøi zabiera się ponownie za malowanie. Ruchy pędzla rezonują na dziewięciu piętrach, na schodach i w windzie, w przecinających się losach bohaterów: szamanki Ludki, Różowej Czesi, Drzewomana, Człowieka-Zupy, Jastrzębia Wojtka, Pani Tereni czy Obłęsnego Typa.

Ale tym razem to Kobietę Z Siódmego Piętra ogarnia żywioł tworzenia. Na wzór Hammershøia zagłębia się we wnętrzu. Tworzy poszczególne elementy blokowego krajobrazu. Dodaje i odejmuje przedmioty, postaci. Włącza się w proces nieustającej odnowy. Powtórnych narodzin. Fikcja staje się silniejsza od prawdy.

Gdybyśmy mieli urodzić się powtórnie to afabularna, dwugłosowa narracja o samozwańczym tańcu metamorfozy, gdzie zaciera się granica i przestaje dominować realne. Nad tym, co wyssane z palca. Ze szpiku wyobraźni.

Aleksandra Szmolke

Cena wolności

(opowiadanka wybrane)

Kanapa i dach

Koty mają siedem żyć, więc mogą spełnić siedem życzeń, mówi osoba na kanapie. Mówi to do osoby mniejszej, prawdopodobnie swojego potomka, choć pewności nie ma. Patrzą w pudełko ze szkłem, w którym widać czarnego kota. Duża osoba mówi do małej, że to był jej ulubiony serial w dzieciństwie. Uważnie obserwuje reakcje domniemanego potomka. Mała osoba szczyrzy zęby. Duża też odsłania kły. Przytulają się do siebie i oglądają dalej kota w pudełku w szkłe. Nie patrzą za siebie. Nie zwracają uwagi na czarnego kota za kanapą, poza szkłem.

Czarny kot za kanapą, poza szkłem, ma imię, ale akurat teraz nikt go nie woła. Teraz śni bezbarwne sny o osobach, które się z nim niedawno bawiły. Macha mechanicznie łapkami na wspomnienia o przeźroczystym czerwonym kłębku włóczki. Budzi się. Patrzy na osoby na kanapie. Śpią. Patrzy w pudełko ze szkłem. Na nim czarny kot. Mały, nienaturalny, miauczy jakoś zbyt człowieczo. Czarny kot za kanapą nie lubi czarnego kota w pudełku. Odchodzi. Prześlizguje się przez szparę między drzwiami a ścianą, wchodzi do innego pokoju.

Inny pokój ma ścianę całą ze szkła. Za ścianą szkła widać trawę i drzewa i czarnego kota. Kot za ścianą szkła wygląda jak kot poza szkłem, w pokoju. Czarny kot za ścianą szkła interesuje się czarnym kotem w pokoju. Kota w pokoju też ciekawi kot za ścianą szkła. Przyglądają się sobie wzajemnie.

(Aaa, kotki dwa

czarniusieńkie obydwu,

Nic nie będą robiły,

tylko na się patrzyły).

Czarny kot po zewnętrznej stronie domu jest dachowcem. On nie ma imienia. Kiedyś jakaś mała osoba nazwała go „Puszkciem”, ale duża osoba, którą mała trzymała za łapę, zamruczała pod nosem, że to imię nieodpowiednie dla włóczki. Niedoszły Puszek się nie obraził. Jemu też nie spodobała się ta szeleszcząca nazwa. Czarnemu kotu dachowcowi nie zależało szczególnie na imieniu. Chciał jedynie trochę jedzenia i ciepła. Nauczył się, że osoby czasem dadzą mu szynki lub mleka, jeśli do nich podejdzie. Nie wszystkie. Niektóre wściekle miauczały i były agresywne.

Czarny kot po wewnętrznej stronie domu, kanapowiec, zafascynowany patrzy na kota dachowca. Zauważa na nim pojedyncze blizny w okolicach łopatek i nadgryzienie prawego ucha. Kot kanapowiec nie odróżnia stron lewej od prawej. Wie, że kawałka ucha nie widzi. Zastanawia się, gdzie się zgubiło i czy można by pobawić się nim jak przezroczystą czerwoną włóczką.

Do pokoju wchodzi mała osoba. Czarne koty – kanapowiec i dachowiec – patrzą na nią wyczekująco. Otwórz ścianę ze szkła, myślą. Kot dachowiec chce zjeść karmę z miski kanapowca, kot kanapowiec chce wyjść za szkło poszukać ucha dachowca. Mała osoba zdaje się rozumieć myśli kotów. Podchodzi do ściany, szuka klamki.

(Aaa, kotki dwa

Tak zachłanne obydwu,

Nic nie będą robiły,

tylko siebie grabiły).

Do pokoju wchodzi druga osoba, domniemany ojciec. Duży patrzy na małego, koty patrzą na dużego. Duży się jeży. Unosi kark do góry, pisikliwie miauczy. Mały się płoszy. Ściana szkła nie zostaje otworzona. W końcu wszystkie zwierzęta – dwa koty i dwie osoby – rozchodzą się w różne strony.

Wieczorem czarny kot dachowiec próbuje upolować leniwego gołębia. Ptak ucieka, a kot jest głodny. Myśli o kocie kanapowcu i jego misce pełnej jedzenia. Postanawia, że w następnym wcieleniu będzie kanapowcem.

W tym samym czasie kot kanapowiec usiłuje uciec z mieszkania. Nie pamięta, czy kiedykolwiek stał na trawie albo gonił motyla. Osoby go nudzą. Od kilku godzin nie bawią się z nim przezroczystą czerwoną włóczką ani nie wołają go. Wciąż oglądają kota w pudełku w szkłe. Kot kanapowiec życzy sobie w następnym wcieleniu być wolnym od osób.

Trzecie życie dachowca kończy się pod kołami tira na autostradzie, a drugie życie kanapowca przerywa igła w dłoni weterynarza. Odradzają się kolejno: dachowiec w wielkiej willi z mnóstwem drapaków i kocimiętki, kanapowiec – w pudełku po butach, które pewna osoba z litości zostawiła przed swoim domem dla ciężarnej kotki. Kot kanapowiec, który stał się dachowcem, nie pamięta osób oglądających kota w pudełku ani przezroczystej czerwonej włóczki. Kot dachowiec, który teraz jest kanapowcem, zapomniał już zapachu trawy i smaku gołębi.

W tym wcieleniu dwa czarne koty spotkają się raz jeszcze. Dawny kanapowiec, teraz dachowiec, zapagnie ciepła człowieczych obiadów, a dawny dachowiec, współczesny kanapowiec – niezależności od osób. Ich życzenia się zawsze spełniają, a koty nigdy nie są szczęśliwe.

Jej pies

Patrzę na ręce, które zwykły do mnie należeć. Na palce, które były moje. Głaszczę serdecznie. Stał się jej własnością, tak jak całe moje ciało. Obrączka, mająca być symbolem naszych uczuć, okazała się narzędziem zniewolenia.

„Nie możesz zrobić tego tatuażu, jest niemęski”.

„Włosy należy ci obciąć, teraz nie wygląda to dobrze”.

„Nie ta koszula, inny krawat”.

Stopniowo kurczyłem się w sobie. Po roku małżeństwa byłem tak mały, że pierścień mogłem zakładać na nadgarstek.

„Kochanie, może rzucisz te papierosy? Niszczą ci wątrobę”.

„Nie jedz tylu makaroników. Widzisz, że ci brzuch od nich rośnie”.

„Nie przytulaj swoich znajomych na przywitanie. Moje ramiona ci nie wystarczają? Mogę być twoim pluszakiem, jeśli tylko sobie zażyczysz”.

Po dwóch latach straciłem pasję. Po trzech – znajomych. Po czterech byłem tak malutki, że obrączkę nosiłem na szyi niczym obrożę. „Byłeś psem na baby, a teraz jesteś moim psem, na wyłączność” – powiedziała mi kiedyś. Na początku nie rozumiałem. Jestem i zawsze byłem mężczyzną. Nie wierzę w reinkarnację, więc to oświadczenie zdało mi się pozbawione sensu. Później odkryliśmy wspólnie, że to był polonizm, który wkradł się w jej francuskiej mowie. W Polsce się mówi „pies na baby” zamiast *homme à femmes*¹. Dziwny naród. Nigdy nie rozumiałem fenomenu tego frazeologizmu z języka mojej żony, ale z czasem (w miarę kurczenia) zaczynałem odczuwać jej metaforę psa w moim ciele. Po czterech latach małżeństwa przestałem mieć do siebie prawa. Zostałem jej posłusznym kundlem. To ona wybierała mi ubrania, wyznaczała z kim i dlaczego nie mogę się przyjaźnić, o czym marzyć.

Staranie się o potomstwo też było jej pomysłem. Nie pamiętam, jaki miałem stosunek do dzieci przed poznaniem Weroniki, ale jestem pewien, że wrażenie potrzeby ich posiadania zasiała we mnie ona. Uświadomiłem to sobie podczas jednej z naszych rozmów z Pauline. Zdejmowałem akurat z członka zużytą prezerwatywę, kiedy spytała, po co mi dzieci. Do mojej głowy przychodziły wyłącznie motywacje żony. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak zniewolony jestem we własnym małżeństwie. Potem gadaliśmy jeszcze chwilę (to było w czasach, gdy rozmowy z nią były wciąż przyjemne), ubraliśmy się i ona wróciła do siebie, na drugą stronę korytarza.

¹ Fr.: kobieciarz.

Tamtego wieczoru usiłowałem odbyć poważną rozmowę z żoną na temat dzieci. Próbowałem jej wytłumaczyć, że dotknęły mnie wątpliwości i potrzebuję czasu, żeby to sobie przemyśleć. Weronika krzyczała, płakała, a potem, wbrew moim protestom, zaciągnęła mnie do łóżka. To był pierwszy raz, kiedy udawałem orgazm w obawie przed zapłodnieniem żony.

Im ciężiej układało się z Weroniką, tym prościej było z Pauline. Gdy malałem przy żonie, zaraz urastałem w oczach kochanki.

– *T'es formidable!* Wiesz o tym? – Mówiła często. A ja kiwałem głową, choć naprawdę uważałem się za *fort minable*². – Zupełnie nie rozumiem, czemu ta Weronika robi problemy z makaronikami, przecież twój brzuch to sama skóra i mięśnie!

Kiedyś, zaślepiony hormonami wydzielonymi podczas stosunku, obiecałem Pauline, że opuszczę żonę. Przytuliła mnie mocno i długo nie puszczała. Byłem otoczony. Jej ciałem, jej miłością i zapachem słodkich perfum z nutą brzoskwiń i pomarańczy.

– A potem weźmiemy ślub – oznajmiła poważnym głosem, który skurczył mój członek, kości i mięśnie. – Nawet nie musisz wyrzucać obrączki. Ja dokupię sobie własną i od tego momentu twoja będzie symbolem naszych uczuć.

Sięgnęła po pierścion z szafki nocnej i założyła mi go z namaszczeniem na zwiotczały penis.

– Pan Duchamp! Może pan wejść! – słyszę zza uchylonych drzwi. Prześciskam się przez szparę. Mam tylko 7 centymetrów wzrostu, obrączkę na szyi i wrażenie, że mnie nie ma. Mężczyzna w średnim wieku w okularach patrzy na mnie bez zdziwienia i dłonią wskazuje sofę.

– Dzień dobry panie Duchamp, proszę usiąść.

Usiłuję wspiąć się na sofę. Podsadza mnie pan...

– Paul. Pan Paul. Ale jeśli pan chce, możemy być na ty.

– Dziękuję za możliwość, ale wolę mówić per pan.

Jego twarz zostaje niewzruszona.

– Oczywiście. W takim razie, co pana tu sprowadza?

– Mam 7 centymetrów wzrostu, obrączkę na szyi i zaczynam kwestionować swoje człowieczeństwo. Obawiam się, że mogę być psem.

– Aha, rozumiem.

– I nie, proszę nie myśleć, że mam jakiegoś rodzaju schizofrenię. Po prostu... chodzi o żonę... i kochankę – dorzucam po chwili namysłu.

² Gra słów, wymowa *fort minable* (fr. „żałosny”) jest bardzo zbliżona do *formidable* (fr. „wspaniały”).

Twarz Paula zdaje się być zrobiona z kamienia.

– Proszę kontynuować.

Opowiadam mu o mojej sytuacji z kobietami. Czasem pyta o dzieciństwo, o relacje z rodzicami.

– Matka? Tak, apodyktyczna.

– Ojciec? Mhm... milczący.

– Nie, nie mam rodzeństwa.

– Tak, chyba mogę powiedzieć, że przypomina mi matkę.

– Tak, Pauline też coraz bardziej usiłuje mnie kontrolować.

Po 50 minutach rozmowy i wydanych 70 euro nie dowiaduję się niczego nowego. Pokochałem Weronikę, bo zachowuje się jak moja matka. Romans z uległą Pauline zacząłem w ramach próby zdobycia kontroli. Obiecując jej wspólne życie, zamieniłem ją w Karolinę i moją matkę. Usiłuje mną sterować, bo czuje się zagrożona. A ja jestem niezdolny do zakończenia żadnej z tych relacji.

– Do zobaczenia za tydzień – mówi Paul.

W drodze powrotnej w metrze dostaję wiadomość od Pauline. „Gdzie jesteś??? Czekam na ciebie od pół godziny”. Odpisuję, że przepraszam, zapomniałem i dziś nie mogę. Czuję, że jutro będę mieć awanturę.

Na stacji Filles du Calvaire muszę wysiąść, bo ktoś wpadł na tory i od kilku godzin przejazdy są zablokowane. Wracam na nogach. Łapię się na myśli, że trochę zazdrościć ofierze metra.

Tortury

„Czasem nawet najbardziej wymyślne tortury są częściej spotykane, niż by się mogło wydawać”, myślę sobie, ścierając papierem toaletowym krew z podłogi. Wczoraj na przykład w Lyonie jakiś psychopata zabił 7-letnie dziecko i wrzucił zwłoki do śmietnika. Jest to szósty taki przypadek w tym roku. Dzisiaj wyznawca islamu znowu opublikował w sieci nagranie z egzekucji piłą mechaniczną. To już dziesiąty tego typu film w ciągu dwóch tygodni. W Pakistanie od miesięcy morduje i gwałci się kobiety i dzieci w imię ideologii. Wojny też są od zawsze. Ty z kolei torturujesz moje myśli, pieprząc się z sąsiadką w naszym łóżku. To tortura zaliczana chyba do najczęstszych. Podobno około 53% mężczyzn i 47% kobiet dopuściło się zdrady. Do tego zostawiłeś rozrzucone w kuchni te przeklęte spodnie, podpięte z dołu agrafkami. Chciałabym powiedzieć, że nasza miłość to nóż w plecy, ale no... widocznie to agrafka w palec. Kurwa, to niby takie małe, a boli jak cholera.

Pamiętam dokładnie dzień, kiedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie twoją niewierność. To był 7 maja, tego dnia padało. Wróciłam trochę wcześniej z pracy, ale nie zastałam was w łóżku. Zasadniczo, jak przyszłam, byłeś już sam. Wszystko było jak najbardziej na miejscu, co więcej, byłeś kochany i zrobiłeś dla nas kolację. Wtedy się nie zorientowałam. Często bywałeś wcześniej kochany. Siedliśmy do stołu, pogadaliśmy, następnie kazałeś zamknąć oczy i podałeś mi prezent. Mały pluszowy miś. Cholernie uroczy. Potem puściłeś *Yesterday* Beatlesów i zaprosiłeś do tańca. Miałeś na sobie te same spodnie co dziś, spięte z dołu agrafkami i niebieską jedwabną koszulę. Gdy oparłam głowę o twoje ramię, poczułam jej słodkie owocowe perfumy. Od zapachu zrobiło mi się słabo. (Czy to normalne, że wołałabym, żebyś mnie zdradzał z kobietą, która przynajmniej ma dobry gust do zapachów?). Kiedy mdlałam, po raz pierwszy zahaczyłam o tę cholerną agrafkę. Po tylu razach, za każdym, boli tak samo.

Idę korytarzami naszego mieszkania. Papier toaletowy nasączony krwią w dłoni. Zbieram rozrzucone ubrania twoje i sąsiadki. Towarzyszą mi w tym wasze stłumione jęki i rytmiczne skrzypienie łóżka. Fascynuje mnie wasza namiętność. Bo to musi być namiętność, skoro po całym domu rozrzućcie elementy garderoby, a potem nie spostrzeżliście mojej obecności. Zastanawia mnie, co takiego w niej widzisz. Czy to krągłe pośladki, zapach wywołujący mdłości, czy może fakt, że ona może ci dać to potomstwo, o którym zawsze wspólnie marzyliśmy, lecz z mojej winy nie możemy.

Te myśli wypełniają mnie jak krew gąbkę. Nie. Nie gąbkę. Papier toaletowy. On, jak ja, jest do dupy i gówno warty.

To trwało 5 miesięcy i 23 dni. Dzień w dzień wracałam później, wma-
wiając sobie, że ten koszmar się skończy, a ty po staremu będziesz
pachnieć mieszanką kawy i tytoniu. Nigdy tak jednak nie było. Przez
5 miesięcy i 23 dni dzień w dzień pachniałeś przeklętą multiwitami-
ną. Zbiorem chyba wszystkich owoców świata, które tak jak wy (nadzy
i zdyszani), mieszały się wzajemnie, tworząc idealną całość. I tak jak
wy przyprawiały mnie o mdłości i poczucie dyskomfortu. Niczym
ukłucie agrałką w palec.

Idę do kuchni, myśląc o innych torturach, które ludzie ofiarowują in-
nym ludziom. Sadzanie na rozpalonej blasze, zmuszanie do ciągłego
słuchania przez kilka dni na zmianę Ulicy Sezamkowej i metalu (tak,
istnieją takie poronione pomysły), rozrywanie ciała przez stado spło-
szonych koni, wrywanie paznokci, skórowanie, podpalanie, obcina-
nie penisów... To ostatnie to częsty motyw zemsty zazdrosnych mał-
żonek w Ameryce Południowej i Środkowej. Co więcej, czasem jest to
społecznie akceptowalne i uznawane za uzasadnione. Na mojej twarzy
maluje się uśmiech. W rękę biorę nóż.

Nie wiem, czemu dzisiaj postanowiłam wrócić wcześniej do domu.
Może... Nie. Nie wiem. Ale w końcu ludzie po torturach często zaczyna-
ją gadać i też nie wiedzą czemu.

„Czasem nawet najbardziej wymyślne tortury są częściej spotykane,
niż by się mogło wydawać”, myślę sobie ścierając papierem toaletow-
ym krew z podłogi.

Ślimak

Wyrwij go wreszcie. Wiemy, że będziesz musiał go wyrwać, więc na co ci czekać? Rana już rozdrapana. Mięso ci gnije, a krew ucieka. Szkielet masz jeszcze na miejscu, kość przy kości, sklezione chrząstnym klejem. Lecz muszla cię w chrząstce drażni. Widzimy, nie kłam. Wyrwij go wreszcie. Brutalnie, z nogą, z czułkami. Jasne, że będzie bolało, co w życiu nie boli? Pomyślisz zaraz, że czemu tobie się to stało. Już serce wyrwać musiałeś, a teraz jeszcze ślimaka. Radzimy, że na rowerze było nie jeździć. Jak zakochiwać się nie było trzeba. Lecz ty już to wiesz. Najlepiej się uczyć na szkodzie. Czemu tak płaczesz? Idiota. Widać, że facet, porodu nigdy nie miałeś. I okaz zdrowia. Kamień na nerkach, to ból jest, nie ślimak. Czytałeś w gazecie, typiara mężowi penis ucięła nożem kuchennym. A ty ślimaka, ślimaka masz tylko wyrwać. Za nogę, z czólkami. Muszlą się zaraz zajmiesz. Wyrzucasz, widzimy. Mięso odgarniasz i płaczesz. Nerwu dotykasz, oj współczujemy. Lecz widzisz, na rowerze jeździć nie trzeba. Jak szaleć, to szaleć, a potem cierp.

Znów o niej myślisz, po co, bez sensu.

Dawno zniknęła, jak dom wasz i pies.

Rower ci został i kilka ubrań, a teraz ślimak
w dodatku. Tak jest.

Wyrwij go. Dobrze, tak trzymaj.

Do mięśnia się wszczepił,
odgarnij więc mięsień, za nogę go bierz.

Znów płaczesz. Idiota.

Weź wydech. I wdech.

I ciągnij.

I bierz go.

Za nogę, z czólkami i pozbądź się go.

Weź się ogarnij, weź się uspokój.

Ty żyjesz,

przeżyjesz,

to ślimak już zdechł.

Znów o niej myślisz, zaraz przestaniesz.

Obiecujemy.

Weź wydech. I wdech.
Serca wyrwanie, to boleć mogło,
lecz ślimak, to małe, pryszczyk to jest.
Pamiętasz tę miłość, jak zwykłeś ją wołać,
ona jak ślimak wlała ci w krew.
Wołaliśmy,
tłukliśmy,
to jest trucizna,
co ślamazarnie zaślepia twój świat.
Serce wyrwałeś i co ci zostało?
Rower, ubrania... I ślimak.
Mało.
Koniec.

Wyrwałeś ślimaka, a my nie będziemy marnować na ciebie więcej rymów. Została ci muszla, zagnieżdżona w chrząstnym kleju. Spędzisz jeszcze kilka godzin na usuwaniu jej w napadach krzyków, płaczów i bólu zbliżonego do agonii. Gdy skończysz, rozłożysz jej odłamki na blacie kuchennego stołu i poskładasz z niej siebie na nowo. Ręka się wkrótce zrośnie, a gdy to nastąpi, zamieszkas w ślimaczej skorupce. Oddzielisz się od naszych głosów, postawisz mur przeciwko tak zwanym miłościom czy przyjaźniom. Zapomnisz, czym jest ból, chroniony przez zewnętrzny szkielet. I poczujesz się wolny we własnym więzieniu.

Szklane domy

W Korporacji o szklanych ścianach siedzą Człowiek A. i Osoba B. Patrzą w niebieskie ekrany monitorów. Co trzy minuty Człowiek A. przyciska klawisz myszki, co pięć minut Osoba B. uderza w klawiaturę, wstukuje jakieś cyfry. Udaje, że nie są one przypadkowe. Człowiek A. jest palaczem, więc o godzinach nieparzystych wstaje na ośmiominutową przerwę na papierosa. Dwie minuty zajmuje dojście do strefy palenia, trzy minuty na samą potrzebę, dwie minuty na powrót. Minuta gubi się zwykle po drodze. Osoba B. irytuje się wtedy, że sama jest niepaląca. Też chciałaby pretekst do przerwy. Dwa razy w ciągu dnia Osoba B. i Człowiek A. idą zaparzyć kawę. Czarną ze srebrnego ekspresu na drugim piętrze. Kiedyś Człowiek A. pił białą, ale Korporacja go tego oduczyla. Tu nikt nie pije białej oprócz dziwnego Pana K., który niczym krowa przychodzi z własnym mlekiem. Człowiek A. i Osoba B. rozmawiają ze sobą tylko pijąc kawę. Od ekranów monitorów odchodzą w ciszy, windą z ósmego na drugie piętro jadą w ciszy, ekspres nastawiają w ciszy. Pierwszy odzywa się zawsze Człowiek A., pobudzony goryczą napoju bez mleka. Osoba B. odpowiada mu niechętnie, nie bez dozy rezerwy. Rozmawiają grzecznie, nigdy na tematy ważne. Człowiek A. nie mówi, że każdym papierosem usiłuje skrócić własne życie, Osoba B. nie wspomina, że jest wypalona i nie widzi sensu w uderzaniu w klawiaturę. Czasem rozmowa schodzi na niebieski odcień nieba, choć żadne nie pamięta niebieskości innej od niebieskości ekranów monitorów. Kofeinowa przerwa trwa od ośmiu do piętnastu minut. Potem Człowiek A. i Osoba B. milkną. Odstawiają kubki do srebrnej zmywarki w ciszy, windą z drugiego na ósme piętro jadą w ciszy, do ekranów monitorów podchodzą w ciszy. Patrzą w niebieskie ekrany monitorów. Co trzy minuty Człowiek A. przyciska klawisz myszki, co pięć minut Osoba B. uderza w klawiaturę, wstukuje jakieś cyfry. Czasem, gdy jest zmęczona bezsensem nic nieopisujących cyfr, zamienia je na słowa. Pisze o Korporacji, w której Człowiek A. pije białą kawę, a uderzanie w klawiaturę coś zmienia. Opowiadanie nazywa w głowie „Szklane domy”. Ma wrażenie, że wzięła to z jakiejś książki, ale nie pamięta jakiej. Człowiek A. podejrzewa, że Osoba B. tworzy alternatywną rzeczywistość. Często ma nadzieję, że kiedyś podczas kofeinowej przerwy będą mogli porozmawiać naprawdę, że wtedy się zrozumieją. A potem myśli, że nawet taka rozmowa by nic nie zmieniła. Wtedy robi mu się smutno i – jeśli jest akurat godzina nieparzysta – idzie zapalić.

Łaźnia

Ostatnimi czasy więcej śpię, niż żyję. Świat rzeczywisty zdaje się potem falować i oddalać niczym morze przy odpływie. Śnię po piętnaście godzin na dobę, przy czym mam wiecznie wrażenie, że spędzam w głowie długie lata, zanim wrócę do tego, co nazywają materią. W materii pojawiając się i znikam. Targany prądem społeczeństwa, *métro, boulot, dodo*³. Dopiero w marzeniach nocnych czuję, że żyję naprawdę. Lecz co to za życie, skoro pojawia się i przemija? W gruncie rzeczy, jedyne, jakiego tak kruche stworzenie jak człowiek może doświadczyć.

Dziś w nocy po raz kolejny pojawia się woda. Budząc się, odkrywam, że nie pamiętam, abym kiedykolwiek miał inne sny. Wiecznie kąpiele, wanny, jeziora, strumyki i morza. Może rzucenie pracy na łodzi było błędem i podświadomość wyrzuca mi opuszczenie morza. Moja dziewczyna (która piekielnie wierzy w te wszystkie bzdety o znakach zodiaku, astrologii i wróżbitach) tłumaczyłaby to faktem, że jestem rybą. Jej też wiecznie śni się woda, choć nigdy nie mieszkała na łodzi.

Sny o wodzie są więc normą. Tym, co w szczególności zwróciło moją uwagę, jest powtarzający się od ponad tygodnia motyw kąpieli w publicznej łaźni. Aż dziwne, że potrzebowałam tyle czasu, aby zauważyć ten nachalny schemat. Zawsze to przecież wygląda tak samo. Jestem w obcym (aczkolwiek wiecznie tym samym) miejscu, spędzam tam czas z bliskimi (po obudzeniu zawsze zapominam ich twarzy, lecz pamiętam poczucie więzi), a potem się gubię w zmiennym labiryncie korytarzy niczym z *Procesu* Kafki i trafiam do łaźni. W łaźni jest wiele przestrzeni. Na wejściu jest przebieralnia, gdzie człowiek rozbiera się do naga, potem pokój z samymi prysznicami (są całkowicie odsłonięte, gdziekolwiek nie spojrzeć, widać zarysy męskich członków i kobiecych sutków), w następnym pomieszczeniu basen, a na koniec coś w rodzaju sali gimnastycznej wypełnionej specyficznymi jacuzzi rozmieszczonymi po kątach i na trybunach.

Z rozmyślań wybudza mnie dziewczyna, która, postępując niczym kot z biegunką, uświadamia mi obecność czasu i wyrzuca z łóżka do metra. Coś tam „praca” mruczy, „Mokotów daleko” i inne bzdury, które wydają mi się teraz nieważne. Nie chcąc jednak doprowadzać do kolejnej kłótni, zwlekam się w końcu do łazienki, biorę prysznic (w celu ogarnięcia się do pracy) i zastanawiam się, jakim cudem tam

ten starszy mężczyzna zawsze przekonuje mnie do wzięcia prysznica w publicznej łaźni, skoro odczuwam wielki wstyd paradując nago w miejscu pełnym ludzi. Pukanie do drzwi, krzyk dziewczyny i zanim się spostrzeżę, jestem w metrze z „czemu-nie-jesteś-taki-jak-dawniej” dźwięczącym w uszach.

³ Fr.: metro, praca, sen.

Motyw łaźni nie daje mi spokoju. W pociągu doszukuję się ludzi, którzy by mogli ze mną na ten temat porozmawiać, którzy zdają się być pełni zrozumienia. Pustka. Wyłącznie ściana ludzi zagapiona w swoje telefony, najczęściej słuchawki na uszach. O, piękno Warszawy. Wiecznie w tłumie, wiecznie samotniejszy niż rozbitek na morzu.

W desperacji wyciągam wreszcie telefon i googluję hasło „prysznic – sennik”. Czuję się jak wariat, gorzej – jak zodiakara. Spoglądam jeszcze za ramię, czy na pewno nikt nie spogląda mi na ekran (mam wrażenie, że wołałbym być przyłapany na oglądaniu pornografii w miejscu publicznym niż na wyszukiwaniu informacji, z których oficjalnie drwię) i gdy upewnię się, że metrowicze są mną zainteresowani mniej niż bezmyślne zombie, klikam lekko sobą zażenowany w pierwszy link. „Prysznic traktować można jako symbol oczyszczenia, odświeżenia, nowego początku. Stanowi znak wyzbycia się natrętnych emocji, które powinny zniknąć, aby możliwe stało się rozpoczęcie lepszego życia”. W mojej głowie dzwięczy „czemu-nie-jesteś-taki-jak-dawniej”. Może serio pogubiłem się gdzieś w moim życiu niczym w tych labiryntach wiodących do łaźni? Może fakt, że uciekam w sny, świadczy o moim wewnętrznym nieszczęściu i muszę coś zmienić, aby „możliwe stało się rozpoczęcie lepszego życia”? Wzdycham. Czytam dalej.

„We śnie widzieć inną osobę biorącą prysznic jest to symbol Twojego dystansu, jaki odczuwasz do innych osób. Wydaje Ci się, że ludzi dookoła siebie widzisz poprzez szybę, która całkowicie Cię ogranicza i uniemożliwia nawiązanie szczerych relacji”. Patrzę na ludzi wgapiionych w swoje telefony. Bzdura, przecież we śnie ja też się myślę. Szukam na stronie haseł typu „publiczna łaźnia”, „prysznic w publicznym miejscu”, „mycie się w publicznej łaźni”. Nic.

Kiedyś napisałem prześmiewczy tekst o diable próbującym zdobyć informację od komputera. Wnioski były takie, że technologia to wredny wytwór, przy którym nawet największe siły zła czują się bezsilne. Wciąż się pod tym podpisuję. Niby w Internecie jest wszystko, a i tak zostaję z niczym.

Na Wilanowskiej wysiadam. Na powierzchni jak zwykle wita mnie wielki mural „Bailout folks”. Kiedyś sprawdzałem znaczenie tych słów i z tego co pamiętam, to było coś w stylu „ludzie z ratownictwa”. Potem zawsze pojawiała się we mnie ta myśl w drodze do pracy, czy mnie by tak nie mogli wyratować od serwowania kawy. Dziś też się pojawia. A potem wchodzę do Starbucksa i dostaję burę od menadżerki. „To już piąte spóźnienie w tym miesiącu, powinnam cię zwolnić!”. Chciałbym się choć trochę przejąć, ale jej wyrzuty po mnie spływają, by wreszcie dać się porwać fali klientów.

„Cześć”.

„Jaki rozmiar?”

„Tall or venti?”⁴.

„What’s your name?”⁵.

I kolejne kilka godzin ucieka, zwędzone przez prąd beznadziei, zalane morzem bezsensu.

W drodze do domu kontynuuję moje poszukiwania w internetowych sennikach. „Kąpiel w łaźni wieszczy Ci niezależność i świadome życie osobiste”. „Kąpiel w łaźni miejskiej albo publicznej pokazuje jedność niewinności i zmysłowości”. Czym się różni łaźnia od łaźni publicznej i co oznacza „jedność niewinności i zmysłowości”? Nie wiem. Mam dość. Zakładam słuchawki na uszy i dołączam do ściany ludzi zagapionych w swoje telefony.

Po kolacji dziewczyna się do mnie przymila, ale ja naprawdę chcę już tylko spać. Zagubić się w tym zmiennym labiryncie i odnaleźć w łaźni wśród ludzi, którzy naprawdę ze sobą rozmawiają i się nie oceniają, choć wszyscy są nadzy. Na moje „dobranoc” odpowiada swoim utartym „czemu-nie-jesteś-taki-jak-dawniej”.

4 Ang.: Mała czy duża?

5 Ang.: Jak masz na imię?

Czeka_nie

Od miesięcy powtarza, że czuje się jak gołębie gównno. Planuje ucieczkę, pakuje bibeloty i czeka. Czeka. Mówi, że chce uciec przed siebie jak najdalej. Jak w tej piosence, którą nastawia co święta. Jest zmęczona, oderwana już z lekka od rzeczywistości. Woła do siebie w trzeciej osobie. Aż tak samotna się czuje. Uczy się wielu języków. Wmawia sobie, że użyje ich kiedyś w prawdziwym życiu, w realnej interakcji międzyludzkiej. Ale teraz słuchają jej tylko kotka i odbicie w lustrze. Nawet one zdają się być zażenowane tym bezpłciowym bełkotem. Wzdycha i powtarza to samo po angielsku, hiszpańsku, niemiecku i rosyjsku. Cisza. A potem przewlekłe cierpiętnicze miauczenie. Siada na łóżku i płacze. Bierze do ręki telefon i wprowadza w mapę „daleko, jak najdalej”. Nie zdąży odczytać odpowiedzi. Na ekran wysuwa się niemy krzyk szefa, że te tłumaczenia to mają być na już, że czemu jej nie ma w pracy i inne pierdoły, których nie ma siły czytać. Wychodzi z domu i wsiada w autobus. Pogoda, jak na przekór, pogodna. Stawia sobie za punkt honoru, żeby się nie rozpląkać przy ludziach. Nie ma siły tłumaczyć nieznanym, że generalnie to wszystko okej, tylko się czuje jak gołębie gównno.

On ją kiedyś zapytał, skąd pomysł na takie nazewnictwo, ale nie potrafiła mu wytłumaczyć. Próbowwała powoływać się na instynktowną niechęć krakowian do gołębi i ogólnoludzkie obrzydzenie gównem jakimkolwiek. Zwracała uwagę na fakturę ptasiego kału, bardziej rozlazłego niż jakiegokolwiek innego. W gimnazjum miała biologa, który był zafascynowany tym tematem, więc co zajęcia powtarzał swój referat o ptasich odchodach. „Idealna mieszanka stolca i moczu”. Zasadniczo ciekawe, czemu nie wymyśliliśmy na to osobnej nazwy, skoro gównem to gównno jest tylko w połowie. W każdym razie – rozlazłe, niestabilne, jak jej życie. Lecz on nie zrozumiał. Ona zresztą nie czuła, żeby wytłumaczyła to dokładnie tak, jak chciała. Niektórych rzeczy chyba się po prostu nie da, znając nawet pięć języków. On ją próbował pocieszyć, że gołębie mogą być użyteczne, bo kilka lat temu słyszał o takich specjalnych, co badają zanieczyszczenie powietrza nad Londynem. A ona była zła, bo mówił o pierniku, gdy ona o wiatraku. Z czasem coraz więcej było takich pierników i wiatraków, nieumiejętności wytłumaczenia i zrozumienia. W ten sposób straciła ostatnią osobę, która jeszcze próbowała ją usłyszeć. No... została jeszcze kotka.

Przy Teatrze Bagatela wraca do tu i teraz. Na Starym Kleparzu wysiada. Przez chwilę kusi ją jeszcze, żeby ominąć swój przystanek i pojechać przed siebie. Uciec jak najdalej, jak w piosence, którą puszcza co święta. Lecz zaraz pojawia się w jej głowie ten przekłety głos psycholog: „sama od siebie nie uciekniesz”. Prycha. Przed przyjacielem uciekła, od psycholog również, o sobie samej już mówi w trzeciej osobie. Jak nie ucieknie, jak ucieknie? A jednak wysiada na Starym Kleparzu, kieruje się do Biura Tłumaczeń i z drogi „jak najdalej” zostaje, jak zwykle, bezsensowne kręcenie się w kółko po stałej trasie.

W pracy rzucone o ścianę pozdrowienia, małe rozmowy, tak nieważne i błahe, że zaraz prześlizgną się przez palce i zostają niezauważone. Kilka kartek aktów notarialnych, dla niej codzienność, dla kogoś innego źle przetłumaczone słówko może oznaczać tragedię. Potem krótkie opowiadanie (takie zadania lubi) jakiegoś chłopaka z Warszawy o zmęczeniu codziennością i chęcią ucieczki w sny. Prosi o przetłumaczenie na angielski, bo chciałby podzielić się ze znajomą z Anglii, ale chciałby zachować znaczenie, a nie czuje się wystarczająco biegły w kwestiach lingwistycznych. Opowiadanie wydaje jej się nad wyraz bliskie. Po policzku spływa niesforna łza, kiedy chłopak wchodzi do Starbucksa, w którym pracuje, choć mógłby w tym czasie być w swojej sennej łaźni. Postanawia sobie, że w trakcie własnej ucieczki nawiedzi Starbucks przy Wilanowskiej i spróbuje z nim porozmawiać. Może właśnie ten nieznajomy chłopak ją wreszcie zrozumie?

W drodze do domu (do kotki, ona już wraca tylko i wyłącznie do kotki), na jej płaszcz spada gołębie gówno. A ona wciąż czeka. Czy gołębie gówno kiedykolwiek czeka?

Nie.

Gołąb

Postanowiłem się zabić już dwa tygodnie temu, ale nadal nie mogę się do tego zebrać. Chciałem najpierw zamknąć wszystkie nieskończone sprawy. Umowa o pracę kończy się za dwa dni, nie zostawię Basi samej na magazynie. Muszę też zwrócić klucze właścicielowi, opłacić rachunki i napisać list pożegnalny, choć sam nie wiem do kogo. Jak się spręzę, to tylko dwa dni i cię przytulę. Albo na zawsze zniknę. A może zostanę gołębiem.

– Hej, Piotrek... Z kim ty właściwie rozmawiasz? Mógłbyś tak choć raz być pożyteczny i podać mi tamto pudło? – Basia wytrąca mnie z rytmu. Czyżbym znowu myślał na głos? Podaję jej pudło. Ciekawe, czy gdybym wyznał jej moje plany, to by się przejęła, czy raczej wiadomość przyjęła z ulgą (i wyrzutami sumienia, że tę ulgę odczuwa)?

– Do nikogo... – odpowiadam wreszcie, choć minęło tyle czasu, że wypowiedź niknie niezauważona, zakrawając na teatr absurdu.

Wyobrażam już sobie ten spektakl.

SCENA 1.

akt i-iii

/ Piotr i Basia przenoszą pudła w magazynie przemysłowym. Za nimi – pudła. Przed nimi – pudła. Na lewo – pudła. Na prawo – regały. (Ha, i tu cię mam. Myślałeś, że pudła. Mówiłem, czysty absurd). /

– Postanowiłem się zabić dwa tygodnie temu. Muszę najpierw rachunki, praca, inne pierdoły. Siedzę zbyt mocno w życiu, by się zabić.

– Podaj pudła.

– Do nikogo.

Koniec aktu pierwszego. Pozostałych nie ma, bo to absurd.

Wiesz co jest jeszcze absurdalne? Gołębie. Czasem wspominam tamtego pisklaka, który zadomowił się na strychu w Tomaszowie. Wyglądał jak szczur, zanim wyrosły mu pióra i skrzydła. Potem odleciał. A może w tym absurdu wcale nie ma? Może to bardziej naturalne niż przenoszenie pudeł?

– Tamto na prawo – krzyczy Basia.

Podaję.

– Prawo, nie lewo, baranie! – Dlaczego, przypomnij mi, nie mogę jej zostawić samej na magazynie? Przecież to jędz.

Biorę wdech. Czuję, jak klatka piersiowa wzrasta. Mam wrażenie, jakby powietrze rozpierało mnie na boki. Chce się wydostać, przedrzeć przez plecy, tworząc skrzydła. Wydech. Powietrze wychodzi nosem, nie plecami. Klatka piersiowa się kurczy. Podaję prawe pudło, nie lewe. Nie jestem baranem. Mógłbym być gołębiem, ale nim też nie jestem. Czym jestem, nie wiem. Może wspomnieniem albo cieniem przeszłości. Może kawałkiem szkła wbitym między teraz a kiedyś. Może nikim albo niczym. Mógłbym być gołębiem. Wyglądać jak szczur, a potem odlecieć.

– Myślisz czasem o umieraniu? – pytam Basię, bo ty nigdy nie odpowiadasz, a lepszego rozmówcy obecnie nie mam.

– O czym ty mówisz? – wydaje się wzburzona.

– No wiesz, śmierć. Aniołki, niebo, smoła, piekło, reinkarnacja w kamień. Śmierć. Koniec życia. Kurtyna opada i co dalej? Spektakl trwa gdzie indziej, a może się kończy?

– Hmm... Nigdy nie wyobrażałam sobie nieba, ale piekło, to tak teraz sobie myślę, że wygląda jak ten magazyn. Wszędzie pudła, wieczne pędzenie, dźwiganie, a na górze szef z batem, że do końca dnia wszystko ma być przeniesione.

– Czyli dla ciebie tak wygląda piekło?

– Dokładnie. Podaj pudło.

SCENA III

Więcej aktów nie ma, więc została scena.

– Prawo!

– Lewo?

– Nie lewo.

– Myślisz o śmierci?

– Pudła to śmierć.

– Piekło?

– Podaj.

Zastanawiam się, gdzie umierają gołębie. Pojedyncze ich zwłoki poniewierają się oczywiście po ulicach. Mam całą galerię zdjęć ich trupich ciał. Nie oceniam. Ludzie mają różne zбочzenia. Ich flaki wylewają się na asfalt, a zapach drażni pieszych. Przechodnie zatykają nosy, a ja wyciągam aparat. Przy każdym truchle zastanawiam się, czy to może ten z Tomaszowa. Przeciętny gołąb żyje około sześć lat. O ile nic

go nie potrafiło, powinien jeszcze żyć. Myślę jednak, że on nie umrze na ulicy. Potraconych przez człowieka gołębi jest niewiele, patrząc dla porównania na ich liczbę na niebie czy w okiennicach kamienic. Wyobrażam sobie mistyczne miejsce pełne obwarzanków, piór i krwi. Taką umieralnię dla gołębi. Podobno słonie – czując, że nadchodzi ich kres – idą wiele kilometrów, aby dotrzeć do rodzinnego drzewa, rodzinnej umieralni. Gołębie mogłyby też mieć jedną taką wspólną przestrzeń.

Dzień ciągnie się na układaniu pudeł, kończy na niezadowolonym pomruku szefa, że już trudno, niech tak zostanie.

SCENA VI

- Wierzysz w reinkarnację?
- Do jutra.
- Jak myślisz, gdzie umierają gołębie?
- Pa.
- Myślę, żeby to wszystko skończyć.
- Żegnaj.

Polskie słowo „żegnaj” jest dosyć bezpłciowe, ale w założeniu oznacza ostatnie widzenie. Bardziej przemawiają do mnie odpowiedniki z romańskich języków: *adieu*, *addio*, *adiós*. Wszystkie oznaczają „do Boga”. Takie, wiesz: „zobaczę cię dopiero po śmierci, zakładając, że Bóg istnieje i żadne z nas nie trafi do piekła”. Ja osobiście nie jestem pewny, czy wierzę w całą koncepcję śmierci narzucaną przez religie monoteistyczne. Podoba mi się wizja reinkarnacji. Pomysł Basi o piekle jako magazynie przemysłowym też był niezły, ale jakbym miał wybierać, to po śmierci chciałbym być gołębiem. Urodzić się jako szczur, wykluc skrzydła i odlecieć do gołębiej umieralni, gdzie pachnie nieświeżym pieczywem i zaschniętą krwią.

Zanim pójde do domu, nachodzi mnie ochota na zjedzenie obwarzanka na płycie rynku. Zamierzam go trochę pokruszyć i przyglądać się zlatującym upadłym rycerzom, wciąż żywym, wciąż nie pachnącym krwią. Wsiadam w tramwaj, jadę kilkanaście przystanków, wysiadam na Wszystkich Świętych. Niedaleko kupuję obwarzanka i idę przysiąść na brzegu fontanny, niedaleko dorożek. Wystarczy tylko zaszeleścić papierkiem, a gołębie zlatują się jak starsze panie na wyprzedaż w Lidlu.

Czy gołębie myślą o umieraniu?

Czy gołębie martwią się czymś poza zdobyciem jedzenia?

Czym ja się różnię od nich, skoro przenoszę pudła bez celu, łasząc się o kawałek chleba?

Do kogo gołąb napisałby list pożegnalny?

Co musiałby zrobić przed śmiercią? Nie umowę o pracę, rachunki, klucze.

Kiedy zniknął cały obwarzanek?

I kto go zjadł – ja czy one?

Nie mam siły ani przymusu wracać do mieszkania, więc idę na spacer. Kręcę się trochę dookoła plant, myślę o gołębiach, umieraniu, rachunkach i kluczach. Dzwonię do właściciela mieszkania.

SCENA IX

– Wszystko spakowałem, oddam klucze jutro.

– Nie, za trzy dni.

– Za dwa, bo potem umieram.

– Wieczorem.

– Dziś?

– Nie.

– Aha.

– I łazienka czysta, i ściany wymalowane.

– Gołębie?

– Klucze.

Mam ochotę pójść do kina. Zbyt mocno trzymam się życia. Wzdycham. Kieruję się do Agrałki, zobaczyć, co leci. Leci gołąb. Leci życie. Leci gównem na płaszcz kobiety przede mną.

SCENA X

– Przepraszam, co Pani myśli o gołębiach?

– Ich gównem nie czeka?

– A gołąb?

– Nie wiem.

Film w kinie był znośny, ale nie dobry. Tak jak obwarzanek, nie byłem pewny, czy do mnie trafił, czy przeleciał przez palce. Wracam do domu. Na lewo pudła, na prawo pudła, na wprost okno. Patrę przez nie, na parapet. Na nim zdechły gołąb. Podnoszę czystą kartkę zostawioną na list samobójczy. Zwijam ją w kulkę i wyrzucam do śmietnika. Zabiję się za dwa tygodnie.

Brak drzwi

Ostatnio wszyscy, z którymi rozmawiam, pozbawiani są drzwi. Siedzą w swoich domach o czterech ścianach, sufitach, podłodze. Patrzą w pustkę po skradzionych drzwiach i telefonują. Zalewają swoją żalobą. Dzwonek osoby, która dzwoni się pożalić na brak drzwi, ma melodię rezygnacji. Ciężko się takie telefony odbiera.

„Nie uwierzysz, co się stało!” – mówią moi rozmówcy na przywitaniu. A ja niczym mantrę powtarzam, że pojęcia nie mam. Mogłabym oczywiście na starcie wyjawić wszystkie karty, że to plaga, sytuacja dotyka wielu ludzi, należy dzwonić do ślusarza, bo ja nie mam kompetencji w tej dziedzinie. Lecz osoby okradzione nie potrzebują logicznych rad, a jedynie chcą zostać wysłuchane. Ich nieszczęście wynika pośrednio właśnie z braku wysłuchania. Gdyby chodziło o sufit, podłogę czy ścianę, oczywiście każdy by im współczuł. Bo jak żyć bez dachu nad głową czy gruntu pod nogami? A drzwi się zaraz nowe wstawi, nie ma potrzeby histeryzować.

– *Mais c'est pas du tout le cas!*⁶ – oznajmia przez słuchawkę Camille, nie bez nuty teatralności w głosie. Dzięki niej dowiedziałam się, że plaga dotyka nie tylko Katowic, ale też Paryża. – *Tous les ouvriers sont déjà pris en région de Paris*⁷.

– *Tous? Mais jusqu'à quand?*⁸ – pytam.

– *J'sais pas. Au moins jusqu'à janvier*⁹ – Czuję napięcie. Jest dopiero początek grudnia.

– *Donc tu fais quoi?*¹⁰

– *Rien. J'attends et je regarde le manque de la porte*¹¹.

– *Tu attends comme on attend Godot*¹² – staram się żartem rozluźnić atmosferę.

– *C'est ça*¹³ – po głosie wiem, że nie wyszło.

Co ciekawe, choć od dwóch dni co chwilę ktoś do mnie wydzwania w sprawie zaginionych drzwi, nikt nie zdaje się być świadomym uniwersalności doświadczenia. Sprawa jest na tyle nietypowa, że media powinny już o niej trąbić. Zwłaszcza, że w Katowicach drzwi zniknęły przynajmniej w dwunastu domach. (Tyle osób do mnie dzwoniło, nie licząc Camille z Paryża). Choćby jeden artykuł, krótka wzmianka w radio czy telewizji. Ale nie ma nic. Ani w kanałach informacyjnych

6 Fr.: To wcale nie jest tak!

7 Wszyscy robotnicy są już zajęci w regionie Paryża.

8 Wszyscy? Ale do kiedy?

9 Nie wiem. Przynajmniej do stycznia.

10 Więc co zrobisz?

11 Nic. Czekam i patrzę na brak drzwi.

12 Czekasz, jak się czeka na Godota. (nawiązanie do sztuki teatralnej Samuela Becketta *Czekając na Godota*).

13 Właśnie.

z Polski ani tych z Francji. Istnieje oczywiście możliwość, że niezbyt rzetelnie szukałam informacji i media jednak coś tam nakreśliły.

Jeszcze dziwniejsze: każdy z moich rozmówców myśli, że drzwi zniknęły tylko u niego (czy u niej). Kiedy próbuję wyprowadzać ich z błędu, albo przerywają połączenie, albo zdają się zapominać o fakcie po pięciu minutach. Skarżą się, że „przecież nikomu drzwi tak po prostu nie znikają” i „jest to niemożliwe, żeby tyle czekać na cieślę – *cooniro-biącałednie*”. Nawet nie staram się już wyprowadzać z błędu czy służyć za informację publiczną. Czuję, że byłoby to bezcelowe.

– Nie uwierzysz, co się stało! – mówi do mnie mama przez telefon. Jest osobą numer czternaście, a ja jestem już lekko zirytowana. Zwłaszcza, że właśnie nastawiałam wodę na spóźnioną poranną kawę. Chciałabym ją wypić w spokoju.

– No, pojęcia nie mam. Opowiadaj – staram się w miarę możliwości brzmieć miło.

– Otóż dziś rano, ni stąd ni zowąd, zniknęły drzwi wejściowe!

– Aha, fascynujące – czuję się tragiczną aktorką.

– Co ty tak bez życia brzmisz? Nie rozumiesz? Drzwi zniknęły! Nie ma ich! – teraz to po niej słychać irytację, też nie powinna występować w filmach.

– Nie no, rozumiem. Drzwi zniknęły. Co z tym zamierzasz zrobić?

– Właśnie nie wiem. Dzwoniłam do pięciu fachowców, ale wszyscy mają pozajmowane terminy do końca roku. Wyobrażasz to sobie? Ci to się naprawdę lenią! Nic nie robią całe dnie, a jak raz wychodzi taka sytuacja, to nie raczą się pojawić!

– Aha – zalewam kawę rozpuszczalną wrzątkiem i mieszam łyżeczką.

– A co ty tam robisz? – Musiała usłyszeć stukanie metalu o wysuszoną glinę. Brak całkowitej uwagi rozmówcy rzeczywiście potrafi być irytujący. Moja wina.

– Kawę.

– Jezu, ty i ta twoja kawa! Tyle razy ci mówiłam, że herbata zdrowsza! Dobra, wiem, że ty i tak jesteś niereformowalna – upijam łyk, starając się nie wydać przy tym żadnych odgłosów. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że nie przyjdę dziś do ciebie na obiad, bo muszę pilnować braku drzwi. Cały dzień rozwalony!

– Jasne, rozumiem – biorę kolejny łyk i już się mam rozłączyć, kiedy nagle sobie coś przypominam. – Mamo?

– Tak?

– Może nie bądź też aż taka zła. Wiesz, można poszukać pozytywów. Za kilka lat będziesz miała o czym wnukom opowiadać...

– Hmm... O czym? Historia powinna mieć akcje, wydarzenia. A ja nic, tylko w drzwi się gapię. W ich brak tak w sumie.

– No tak, ale nie uważasz, że to na tyle nietypowe, że można o tym opowiadać? Poza tym na przykład afrykańskie opowieści nie mają fabuły. Tylko jedną scenę, w której można drażyć i drażyć i drażyć. I szukać wiecznie nowych warstw...

– Ah! Ty i te twoje opowiadania! Znalazłabyś sobie może prawdziwą pracę, a nie pisała bajki, w których się nic nie dzieje i wmawiała ludziom, że zostaniesz pisarką.

– Hmm... – czuję, że powinnam jej przyznać rację, jednak resztki dumy mi na to nie pozwalają.

– Dobra, słuchaj, muszę już kończyć.

– Idziesz pilnować drzwi?

– No tak, bo co innego mi zostało? – rozłącza się, zostawiając mnie z pytaniem retorycznym i poczuciem beznadziei.

Jakkolwiek niechętnie, zgadzam się z moją mamą. Nigdy nie zostanę pisarką. Nie mam języka Schulza ani wyobraźni Márqueza. Nie potrafię zmusić się do systematyczności czy uzależnić od psychotropów, by załatwiły sprawę za mnie. (O, błogosławione bądźcie używki Mickiewicza!). Równocześnie zraża mnie jej zerojedynkowość w podejściu do opowiadań. „Muszą mieć akcje, wydarzenia...”. Według takiego rozumowania jazz to nie muzyka. Niedawno ktoś mi opowiadał taką legendę z Zimbabwe, że lwy piją wodę. Piją wodę. Piją wodę. I tyle. A wokół mnie ludzie patrzą na brak drzwi. Czy z tego nie da się wyciągnąć drugiego dna?

Gdy odkładam pusty kubek do zlewu, dzwoni do mnie była. Zaczyna standardowy słowny taniec braku drzwi, a ja rozmyślam nad naszą relacją.

– Nie uwierzysz, co się stało!

Jakim cudem trafiliśmy do tego momentu?

– Drzwi zniknęły!

Jakoś przetrwałyśmy odległość, gdy byłam w Paryżu. Czy to nie powinno gwarantować nam szczęśliwej i trwałej relacji na wieki?

– Oczywiście dzwoniłam po fachowcach...

A może szczęśliwa i trwała relacja to też bujda, jak księżęta z bajki?

– ... ale wszyscy są zarezerwowani na czas nieokreślony.

To jednak dziwne. Przecież obie się kochamy, wciąż do siebie dzwoniemy.

– Wyobrażasz to sobie?

Szczerze nie potrafię sobie nawet przypomnieć, jaki był powód zerwania.

– Halo? Czy ty mnie słuchasz?!

– Yyy... Tak, tak. Wybacz – odpowiadam po czasie, zdając sobie sprawę, że nawet się nie przywitałam. – To rzeczywiście jest dziwne.

– Dziwne to mało powiedziane! Przecież nikomu drzwi tak po prostu nie znikają.

– Tak, tak, masz rację.

– Jesteś jakaś rozkojarzona... Wszystko w porządku?

– Tak... Tylko... Mogę ci zadać pytanie?

– Jasne, śmiało wal.

– Pamiętasz, czemu zerwałyśmy?

– Hmm, to dziwne pytanie. Serio zapomniałaś?

– Tak, wybacz.

– Ja zerwałam. Za bardzo siedziałaś w swojej głowie i nigdy cię dla mnie nie było. Nie słuchałaś. Nawet teraz... Znikają mi drzwi, a ty jesteś tak jakby w swoim świecie. Nie wszystko musi się kręcić wiecznie wokół ciebie! W sumie nie wiem, po co dalej się z tobą zadaję – i się rozłącza. Bez pożegnania czy ostrzeżenia. Ciekawe, czy zadzwoni kiedyś jeszcze.

Kasia zadzwoniła jako osoba numer piętnaście. W mojej głowie kręci się od jej oskarżeń i generalnie nieprzyjemnej atmosfery. Czy naprawdę byłam aż tak okropną partnerką? Może po prostu jestem okropnym człowiekiem. Zastanawiam się nad telefonami z dwóch ostatnich dni. Chyba wszyscy mieli w moją stronę jakieś wyrzuty. Kogoś nie słuchałam, dla kogoś nie byłam, kogoś zraniłam. Robi mi się słabo. Siadam na krawędzi sofy i próbuję uspokoić oddech. Wokół mnie niczym złośliwe muchy latają przykre słowa. Zbiera mi się na płacz. Liczę do dwudziestu. Jest lepiej. Opieram głowę o ozdobną poduchę i zamykam oczy. Liczę raz jeszcze. Do pięćdziesięciu trzech. Wstaję, rozciągam ciało i idę w kierunku drzwi wejściowych. Sprawdzić, czy jeszcze są. Wszystko na miejscu. Ludziom dookoła mnie znikają drzwi,

a moje stoją na miejscu. A może to jakaś metafora? Może to ja jestem powodem, dla którego bliscy mi ludzie czują wewnętrzną pustkę w życiu i objawia się to w ten sposób. Drażę wewnątrz dziury, pozbawiam drzwi, czerpię siłę z cudzego cierpienia. Ach, Kasia pewnie ma rację. Nie wszystko musi się kręcić wiecznie wokół mnie.

Kolejnego telefonu nie odbieram. Nie mam siły. Po chwili odpowiadam jedynie SMS-em, że przepraszam i życzę powodzenia w sprawie drzwi. Nie odważam się nawet sprawdzić, kto to był.

Z moich rozmów udało mi się wyszczególnić trzy zasadnicze problemy wynikające z braku drzwi:

- 1) Brak poczucia bezpieczeństwa. W każdym momencie do mieszkania może wejść obcy – zranić, zgwałcić czy zamordować.
- 2) Niewiedza, co dalej i swoiste uziemienie – z obawy przed niebezpieczeństwem ludzie siedzą i czekają, niezdolni do funkcjonowania ani w domu ani poza domem, póki ktoś nie przyjdzie wstawić drzwi.
- 3) Niezrozumienie. Pomimo wszechobecności tragedii, każdy czuje się w swoim doświadczeniu samotny.

W gruncie rzeczy, tak sobie myślę, zniknięcie drzwi nie różni się wiele od wejścia w dorosłość.

Koło piętnastej robię kolejną kawę i siadam przed wejściowymi drzwiami. Wyobrażam sobie tych wszystkich ludzi, którzy robią to samo, tyle, że w miejscu drewna widzą korytarz mieszkalny czy ogródek sąsiadów. Niektórzy pewnie dostrzegają twarze innych siedzących, uśmiechają się nieśmiało i zaczynają nic nieznaczące rozmowy o pogodzie. Inni dzwonią po bliskich. Zalewają swoją żalobą. Następni milczą. Ktoś się złości, ktoś godzi ze swoim losem. Jakaś staruszka się śmieje. Niecierpliwie dziecko opuszcza stanowisko i idzie się pobawić samochodzikami. Pewien kot korzysta z nadarżającej się okazji i ucieka od właściciela alkoholika. Może dziennikarze też patrzą w brak drzwi. To by wyjaśniało ciszę w mediach.

Gdy zachodzi słońce, rozbrzmiewa na powrót dzwonek telefonu. Nie odbieram. Siedzę po turecku i myślę o lwach. Gdzieś w Afryce, na sawannie, gdzie nigdzie nie ma drzwi, lwy piją wodę. Piją wodę. Piją wodę. Camille patrzy w brak drzwi. I mama. I Kasia. A ja siedzę po turecku i czekam. Na zniknięcie drzwi.

Aleksandra Szmolke:

Człowiek A. i Osoba B. siedzą w korporacji o szklanych ścianach. Patrzą w niebieskie ekrany monitorów. Co trzy minuty Człowiek A. przyciska klawisz myszki, co pięć minut Osoba B. uderza w klawiaturę, wstukuje jakieś cyfry. Udaje, że nie są one przypadkowe. Człowiek A. podejrzewa, że Osoba B. tworzy alternatywną rzeczywistość.

Piotrek postanowił się zabić już dwa tygodnie temu, ale nie potrafi się do tego zebrać. Chciał najpierw skończyć wszystkie nieskończone sprawy. Umowa o pracę kończy się za dwa dni, nie zostawi Basi samej z magazynem. Musi też zwrócić klucze właścicielowi, opłacić rachunki. Zastanawia się, gdzie umierają gołębie.

Ludziom wokół Oli znikają drzwi. Siedzą w swoich domach o czterech ścianach, sufitach, podłodze. Patrzą na pustkę po skradzionych drzwiach i telefonują. Ola z nimi rozmawia i myśli o lwach z Zimbabwe, które piją wodę. A ludzie patrzą na brak drzwi.

Cena wolności to migawka przemyśleń na temat wolności i ograniczeń. Bohaterowie opowiadań źródła swojego zniewolenia szukają w pracy, związku czy ślimaku zamieszkującym pod skórą. Obnażają się przed nami na kilka godzin, ciągnąc za sobą po miejscach nieciekawych, przytaczając rozmowy z nieciekawymi ludźmi. Zalewają nas swoją codziennością, od której często sami chcieliby uciec.

Ich historie bez fabuły, choć geograficznie rozciągnięte od Japonii po Europę, zazębiają się. Demony z paryskiego metra rodzą się przez wypadek, którego zazdrości człowiek–pies, a rozważania o krakowskich gołębiach łączą niespełnionego samobójcę z tłumaczką bez imienia.

Opowiadanka utrzymane są w melancholijnym nastroju, postaci mają tendencję do opisywania rzeczy nieciekawych i zadawania odklejonych pytań. Czasem kłamią, czasem podają wyobrażenia za fakty. Bawią się formą, może w pomieszaniu prozy z poezją czy dramatem szukają sposobu na wyzwolenie.

Zbiór nie udziela odpowiedzi, czy zniewolenie płynie z zewnątrz, czy z wewnętrznego stanu psychicznego. Nie tłumaczy też, gdzie wolności szukać. Jest zaproszeniem do dialogu, zachętą do rozważań nad sensem przeciętnego dnia.

Opowiadanka zamieszczone w antologii oddają nastrój i założenie docelowego zbioru, który w swojej wolności ciągle się zmienia.

Bohaterka *Braku drzwi* mówi: „Gdy odkładam pusty kubek do zlewu, dzwoni do mnie była. Zaczyna standardowy słowny taniec braku drzwi, a ja rozmyślam nad naszą relacją”. Może być i tak, że rozważania będą inne, bądź nie będzie ich wcale. Może Kasia zamieni się w lwa, a gołębie przestaną umierać.



Anna Urbaniak

GASTRO

Nocka

– A jak w takim razie pani się tu znalazła, skoro ma pani tyle doświadczeń zagranicznych? – Nie chce mi się zupełnie angażować w te idiotyczne gadki, ale przecież wiadomo, że szansa na napiwek rośnie wprost proporcjonalnie do liczby uśmiechów i potakiwań kierowanych do klienta. – Cóż się stało, że jednak nasz skromny Krakówek panią z tego Nju Jorka wywabił?

Tempa dzida nie rozumie, czym jest ironia, więc z błyskiem w oku zaczyna swoją historię, a Patka za jej plecami odgrywa dla mnie pantomimę, w której niczym tłusty raper z najbardziej nieudanego polskiego teledysku udaje, że liczy hajs. Dobrze, niech ma ubaw. Odkąd została naszą managerką, chodzi ciągle wkurwiona i coraz rzadziej się wygłupiamy.

Moja światowa interlokutorka, która nie tylko Nju Jork, ale i Misigan zna jak własną kieszeń, opowiada właśnie, jaki Kraków jej się wydaje magiczny i kultowy, jak ona pragnie tej europejskiej naturalności, tego bycia między prostym ludem i dlatego właśnie nasz Lokal wybrała. Na te słowa puszczam Pulp i z głośników leci *She came from Greece*, a kiedy światowa dama dochodzi w swojej opowieści do tego, jak niesamowicie jest try kielbasa po latach, a piosenka dociera do „I wanna live like common people”, Patka już nie ma siły i wychodzi, żeby śmiechem wybuchnąć dopiero za drzwiami. Widzę, jak odpala camela, i marzę o tym, żeby ta zmiana się już skończyła, ale nie ma chuja, jeszcze przynajmniej cztery godziny plus sprzątanie.

Uśmiecham się ponownie do światowej Lejdi i widzę, że jest zadowolona: wyuczone potakiwanie i randomowo wrzucane „Naprawdę?” daje większą szansę na monetyzację. Nie mogę znieść jej głosu, świdruje mi w czaszce, gada upojona swoim głosem, swoją zajebistością i mistycznym przeżyciem kontaktu ze mną, zjebanym debilem z krakowskiego Lokalu, który nosa poza ten kraj nie wyściubił, którego nie stać na perfumy z lotniska i zapewne w metrze nie umiałby się odnaleźć, bo tu tylko tramwaje. Jezu, przecież jakbym tak powiedział jej w twarz „Zamknij się, stara głupia ruro”, to by pomyślała, że to dlatego, że chce ją ruchać i mnie frustrą wzięła, że nie mogę. Nie byłoby tam nawet cienia wątpliwości, że jej zajebistość jest. A nie ma. Nie ma. Nie tu. To, że byłaś ticzerspet w collegu w Misigan i kiedyś stałaś obok kogoś sławnego, nie rusza mnie. Te upojone swoim głosem i zakochane w sobie, te z doklejonymi rzęsami, utlenionymi włosami i poczuciem, że świat cały dla nich istnieje. Produkowane na jednej taśmie produkcyjnej, a tak przekonane, że są wyjątkowe.

– Naprawdę? W tym samym samolocie leciał z panią sam Piasek? – pytam.

– Really, znaczy naprawdę – mówi – ale to oczywiście było business class.

Nie słucham już co dalej. Znad jej głowy patrzę na zewnątrz.

Leci piętnasta piosenkę z playlisty na sobotę i wraz z pierwszymi akordami *Jacqueline* Franza Ferdinanda zwracam się do Lejdi:

– Czy życzy sobie łaskawa pani coś jeszcze? Może tradycyjnej śliwownicy?

– How exciting! Tak, proszę, mi grandpa zawsze opowiadał o tym, że śliwowica jest best medicine na wszystko.

Polewam szczerze, bo wiem, że śliwownicy po trzech wiśniówkach i piwie już nie wytrzyma i w końcu weźmie tę swoją dupę w troki albo przynajmniej się zrzyga. Tak czy inaczej, zamilknie chociaż na chwilę.

Stawiam kieliszek, pochylam się i patrząc jej głęboko w oczy, uśmiecham się tym razem uśmiechem, który sugerować ma nie tylko zainteresowanie, ale wręcz potencjalne zakochiwanie się. Mówię obniżonym głosem:

– Jak ten wypije pani na raz, to będzie ode mnie. I od razu naleję pani drugi.

Oczywiście kupuje to i zadowolona skrzeczy:

– You are so cheeky, dobrze, I like you. Zróbmy tak.

Wypija śliwownicę i wykręca się lekko, ale cóż słowo się rzekło. Odstawia kieliszek, ja szybko dolewam i znów patrzę na nią tak, jak ona sobie wymarzyła, że będę patrzył – jak na anioła, co się z tej nowojorskiej ziemi objawił na tym łez padole. Jak na anioła, którego blask mnie opromienia, uwzniośla i na moment wyciąga z beznadziei tego nieświatowego życia. Mówię niby że natchniony:

– Dla pani to pewnie niejeden wiersz powstał.

Rechocze, ale widzę, że kieliszka nie podnosi, więc cisnę:

– My w Krakowie to śliwownicę pijemy na jedną i drugą nóżkę od razu. Proszę nie czekać, wszak żyje się tylko raz.

Puszczam oko. Wypija. Widzę, jak ją rozkłada. Zaczyna nieskładnie montować jakąś historię o dziadku, wódce z pieprzem i leczeniu ospy. Nie słucham, tylko patrzę na zewnątrz, gdzie Patka i jakiś niezidentyfikowany cień machają łapami, jakby tonęli w wieczornym powietrzu. W końcu słyszę, jak Lejdi mówi w stronę swojego brzucha bardziej niż do mnie:

– Wiesz co? Jakoś tak under the weather się czuję. What time jest?

– Dwudziesta czwarta dwadzieścia miła pani.

– To ja już będę ubera brać. Ile płacić?

– 110.

Wyciąga stówkę i dwadzieścia złotych gestem królowej, co swą złotą kłamrę zostawia ubogiemu kamieniarzowi, wlepia we mnie zamglony wzrok (och, niezawodna śliwowico!) i szepcze:

– Keep the change.

– Dziękuję – mówię najspokojniej jak się da, choć w środku mnie nosi. Dycha? Noż kurwa, no! Niepisany mój cennik zakłada, że potencjalne uwiedzenie to przynajmniej dwie dychy. Pociesza mnie to, że już jej nie będzie, a od trzaśnięcia drzwiami i dwóch dni wolnego dzieli mnie już tylko trzy i pół godziny.

Patka nie wchodzi głównymi drzwiami, ale kieruje się na zaplecze. Przypuszczam, jak się to skończy, bo dziś Kosma zupełnie przegina. Chłop, zamiast wyrzucić stare krewetki, to je zjadł, zarzygał nimi cały kibel i od trzydziestu minut udaje, że to nie on. Nie muszę długo czekać na krzyk Patki zza ściany:

– Stary, ja nie wiem, czy tobie to palenie tak mózg wyżarło, czy tam od początku kable nie stykały? Coś ty odjechał?!

– Ja? Nie pamiętam. Coś odjechałem? – zapytał Kosma, wlepiając w Patkę oczy, w których tęczówki były już prawie niewidoczne.

– Idź, zmpuj kibel, to może ci się przypomni!

Kibel, zaplanowany kiedyś wymuskaną ręką stanowczo-za-drogiego architekta, na specjalne życzenie właścicielki był wyłożony heksagonalnymi płytkami w kolorze czarny mat. Wtedy takich płytek nie było w byle Castoramie. Wtedy sprowadzało się je na specjalne zamówienie. Luiza, właścicielka lokalu, zawsze to podkreślała. Płytki ułożyła spuchnięta od picia i pracy w różnych warunkach ręka Szabiego, który wynagrodzenie za pracę odbierał w litrach wódki. Szabi, przed tym, jak zaczął pracować w Lokalu, miał imię. Męskie, z gatunku Radosław, Waldemar czy inny Stanisław. Teraz jednak nikt już o tym nie pamiętał i nikt tego imienia nie używał. Szabi uważał, że fuga jest świetnym uzupełnieniem przestrzeni nie tylko między heksagonami, ale też gustownym przykryciem wszystkich niedoróbek. Podobno kiedy Luiza to zauważyła, wydarła się na niego, wyzywając go od idiotów, debili i partaczy, a Szabi, patrząc na nią ze spokojem pijackiego majstra, powiedział, powstrzymując beknięcie: „Królowo złota, to przecież tak specjalnie, to taki jest szabisik”. Było w tym coś rozczulającego, jak jego mózg przepity przetransformował zasłyszane w Internecie „Shabby chic” na wdzięczne, swojskie i dźwięczne „szabisik”. I tak utracił swoje

imię.

Płytki dzieliły się teraz na te ujebane i ujebane doszczętnie. Fuga, która w projektach architekta i na początku funkcjonowania Lokalu była srebrna, teraz była poźółkło wypłukana i zamiast stanowić dopełnienie matowych płytek, żyła własnym życiem. Własnym, ale nie samotnym, ponieważ kibel stworzył warunki, w których stopniowo zawiązywała swoje istnienie z pleśnią. Przy podłodze nieśmiało się sobie przedstawiały i pleśń zaledwie muskała widzialne przestrzenie wykruszonej fugi. Skrywały swój związek za zasłoną heksagonów. Przy suficie, któremu brakowało płytkowej kotary, związek ich zaczynał być niemal ostentacyjny, domagał się uwagi i przez tak otwarte wkraczanie w sufitową przestrzeń żądał uznania dla racji bytu w tym mieście niby europejskim, co do zasady jednak zaściankowym. W tym Lokalu, aspirującym początkowo do roli epicentrum tej stolicy kultury, tego miasta literatury, a obecnie będącym jedynie karykaturą samego siebie z wierszami pisanymi korektorem na drzwiach kibla.

Kosma wszedł do kibla, nie zamykając za sobą drzwi. Widziałem, jak zalał rzygi wybielaczem i zaczął beznamiętnie rozcierać je po podłodze.

– Majcher, a ty myślisz, że kto jutro otwiera ten burdel? – Patka pyta, zawieszając wzrok na rozpisce zmian. Dociera do mnie, że chuj z moich dwóch dni wolnego.

– Nie, kurwa! Nie będę znów otwierać! Przecież ja też muszę spać! Trzeci dzień z rzędu mam brać dniówkę po nocce?! Już zupełnie nie ma tu kto pracować?!

– Jak chcesz, to zostaw Lokal z Wujem i wyjdź trochę wcześniej. Może chociaż trzy godziny się kimniesz. Co ja ci, Majcher, poradzę? Lokal w wiecznym kryzysie.

Zdaje się, że Poniu, lokalny bazarz, ten kryzys właśnie przedstawiał nie-dającym-chuja angolowi, który nic po polsku nie rozumiał, ale był zbyt pijany, żeby uciec.

– Lokal. No Lokal, ło Panie! To kiedyś to było coś, miescóweczka, że ooo. Ci, tego tego, no... Wydymusowie, Wydymusy no! Jak wrócili z Dublina to se to takie otwarli... rzyli. Luizka to chciała to żeby to było tego tego. No to Wacuś, o pardon, Waclaw pałacił, tak? No kto takiemu pozkoczy? Sie pytam: kooo takiemu pozkoczy? Nik. Nik nie pozkoczy... wszyscy wiedzą co on jes. Na kopalni robił tatuś to Wacuś kasę miał. A mówię. Jezz chujem. Pojedziałem. Ten. Przychodzili artyści. Prosektorstwo, tego tego. Całe tłumy. To jezz zszera praada. Jak się mówi: piło się, chlało się i po prostu tego tego. No, i inne rzeczy. Trochę tańsze, trochę droższe. Pamiętam, nie? Też no. Wszystko fajnie. Tego, tego. A potem to tego tego. No i chuj, no i cześć. I nie było już niczego. I tylko takie chuje, o pardon, turyści jak pan tu som i chleją, tak. A taka Patka miota się. Gdzie to tak, żeby taka kobieta Panie takimi rzeczami, z takimi chujami. Tego tego.

Dniówka

Patrę na zegarek za barem. Za piętnaście ósma. Odpalam na telefonie playlistę *Poranki*. Z głośników leci *Through early morning fog I see visions of the things to be...* i zaczynam przygotowanie do otwarcia.

Ósma. W trybie zombie, po czterech godzinach snu, nastawiam sobie kawę i idę ściągać krzesła z blatów. Ściągam je nieśpiesznie. Jedno po drugim. W tej bezmyślnej czynności znajduję trochę ukojenia.

Kiedy ustawiłem ostatnie krzesła w gotowości na klienckie zady, podchodzę do mojej filiżanki. Tak jak się spodziewałem. Kawa jest zimna. Zimna, ale nie za zimna, więc ciągle OK. Otwarcie za piętnaście minut. Zdążę jeszcze zapalić. Otwieram po fajce, równo z hejnałem. O dziewiątej.

Przez okno dostrzegam zbliżającą się z oddali znajomą pokraczną sylwetkę. Kobieta, która za chwilę dotrze do Lokalu, ma na oko 60 lat. Niewykluczone, że w rzeczywistości jest dużo młodsza, ale lata życia w warunkach niecieplarnianych i mocno zakrapianych alkoholem zostawiły jej twarz pooraną grubymi bruzdami złych wspomnień, a oczy rozcieńczone łzami i niemal nieobecne. Czarna kurtka, którą nosi niezależnie od pory roku, lat świetności nigdy nie miała. Watolina wychodzi ze szwów na dole i przy rękawach. Kieszenie są jakichś dziwnych proporcji, powypychane chuj wie czym. Z nich też sterczy ta watolina – pomierzwiona, szaro brudna, zupełnie jak włosy Pani Marii. Tak, ma imię nadane na cześć Panienki Przenajświętszej. „Przychodzi nam pobłogosławić dzień sama Matka Boska!” – Wuja tak mawiał. Przywykłem myśleć, że tak jest naprawdę, i jak Pani Maria się spóźniała, to wyobrażałem sobie choroby, wojny, rozpacz i koniec wszystkiego. Dłonie ma spracowane i napuchnięte. Nerwowo poprawia nimi watolinę i włosy, kiedy nieśmiało przekracza próg Lokalu. Wstydząc się, jakby robiła to pierwszy raz, pyta utartą frazą:

– Będzie coś?

– Będzie, będzie – odpowiadam i idę w stronę zaplecza, żeby wyjąć z lodówki już wcześniej naszykowane pudełko.

Napuchnięte dłonie zręcznie przejmują pakunek.

– Niech ci Bóg błogosławi! – mówi, kreśląc w powietrzu znak krzyża, a ja z niekłamaną wdzięcznością rzucam za nią:

– Amen! – I pełen jestem wiary, że przetrwam i ten dzień.

Następny raz patrę na zegarek o dziewiątej trzydzięci. Zbliża się pora, o której wpada Profesor. Ten brodaty chudzielec uwielbia zapiekanki z Kazimierza i popisuje się zdolnościami językowymi przed turystami, zagadując ich: „*How are you? You like my city?*”. Jakby to *city*

kiedykolwiek było jego. Jak uda mu się już zagraniczników wciągnąć w pogawędkę, to sępi od nich na zapiekasa. Nikt ze staffu nie zna jego prawdziwej historii, ale musi być wykształcony. Ktoś kiedyś powiedział, że pewnie jest Profesorem, a ten nie zaprzeczył i tak zostało. Bezdromność musiała pojawić się w jego życiu niespodziewanie. Radzi sobie. Pracuje jako stróż i mieszka na budowie. Jedzenie organizuje sobie po lokalach i śmietnikach. Kiedy ma do wyboru leki albo wodę, raczej nie wybiera leków. Nie widziałem go już jakiś czas. Może znów wylądował w szpitalu. A nie, nie wylądował! Włazi właśnie i woła:

– Resztki człowieka po resztki jedzenia!

– A co chciałby dziś Pan Profesor?

– Co masz, to wezmę. Może jakiś makaron został?

– Mam, ale on już jest taki, że prawie skisł i śmierdzi kapeczkę.

– Młody człowieku, ja mam jedną zasadę: jem wszystko, co śmierdzi mniej niż ja!

Daję mu makaron, a ten bierze pudełko i pyta:

– A jakies fajeczki?

Wyciągam paczkę czerwonych marlboro i częstuję go. Krzywi się, ale bierze. Dwa. Odchodzi, podśpiewując starą piosenkę z bajek o smoku.

Zanim znika mi z pola widzenia, pojawia się ostatnia z galerii poranych osobowości. Pani Jadzia. Czy rzeczywiście ma na imię Jadzia, to nie ma znaczenia. Tak się przedstawia. Pani Jadzia to cwana sztuka. Wcześniej podobno handlowała na Kleparzu. Jej czarne ruchliwe oczka zdradzają, że niejedno widziały i wytrenowane są, żeby w otoczeniu dostrzec najwcześniejsze oznaki zbliżającego się zagrożenia. Jest jak mały piesek, który wie, że jedyna szansa na przetrwanie w tym mieście to zawczasu spierdalać. Przychodzi szybko. Odchodzi jeszcze szybciej. Kiedy zdarza się jej uśmiechnąć, to wywala język i pokazuje resztki uzębienia. Ciągnie za sobą pokiereszowany wózek z gazetami i sprzedaje stare numery „Burdy”, „Gazety Wyborczej”, a nawet i książki telefoniczne z lat dziewięćdziesiątych. „Sprzedaje” to jednak nadużycie. Potrzebuje pozbyć się tych gazet, żeby móc przekonać siebie, że ciągle jeszcze handluje, a nie żebra.

Pani Jadzia daje mi jakąś gazetę, ja jej daję dychę i jesteśmy sobie nawzajem wdzięczni za to, że nic przy tym nie mówimy.

Za dziesięć dziesiąta. Zastanawiam się, czy nie wyjść na fajkę, zanim przyjdzie Patka, ale ona właśnie wchodzi do Lokalu przez zapyłeczko. Rzuca kluczyki i telefon na bar i improwizuje biuro, rozkładając laptopa na stoliku pod oknem.

– Chcesz kawę? – proponuję.

– Jasne. Podwójne.

Przeklikuję się przez wszystkie ustawienia włoskiego szmelcu, żeby dojść do podwójnego espresso, i pytam:

– Ty już załatwiłaś tego serwisanta? – Ekspres od dwóch tygodni trzeba za każdym razem ustawiać od nowa, co już przestało być zabawne. Nawet dla mnie.

– A weź. Luiza powiedziała, że przecież nie zepsuło się całkiem. Serwisant musiałby dostać hajs, bo sprzęt po gwarancji. Dopóki maszyna nie padnie na amen, mamy klikać. Luiza stwierdziła, że przecież to daje wam okazję, żeby dłużej pobyc z klientami, więc powinniście to wykorzystać, żeby dostać napiwek.

– Tak, kurwa, klienci to uwielbiają! I po za długim czekaniu tipują jak szaleni.

Śmieję się na wspomnienie tego, jak w zeszłym tygodniu jeden, taki uszczęśliwiony możliwością dłuższego przebywania w moim towarzystwie, zwyzywał mnie od debili, co nie potrafią nawet nastawić ekspresu. Fanon, Kant, Rousseau? Który lepiej wyjaśni, dlaczego jakiś chujek po drugiej stronie baru myśli, że może mną pomiatać? Zupełnie niepotrzebnie przypomina mi się jeden z wykładów z początków doktoratu.

– Ty, a może Szabi pomoże z tym ekspresem? – pytam zachwycony jakością rymu i pomysłu, które zawarłem w pytaniu.

– Majcher, to nie jest głupie – podłapuje Patka. – Rzeczywiście. Zadzwoń do niego. Ostatecznie: co najgorszego może zrobić?

– No właśnie. Co nie zrobi, będzie dobre w tej sytuacji. Jak spierdoli, to kupię nowy ekspres, a jak naprawi, to najwyżej naprawi.

Ekspres, jakby przestraszony tym, że Szabi będzie przy nim działał, zaczyna posłusznie wlewać kawę do podstawionej filiżanki.

– A ty widziałeś go ostatnio? – Patka pyta, stawiając kawę na blacie stolika zawalonego już arkuszami remanentu z wczoraj.

– Zachlał ryja podobno i znów planował wyjazd do Niemiec, ale potem straciłem go z radaru.

– Dobra. Zadzwoń do niego – obiecuje Patka.

– E, Patka, a właściwie to dlaczego my podłogę myjemy po zmianie, a nie na początku dnia? – zagajam, stylizując się na Kosmę.

– Co? – Patka, zajęta sprawdzaniem wycień remanentu, nie jest pewna, czy to żart czy rzeczywiście kwestionuję właśnie utarty, sprawdzony i niezawodny rytm działania lokalu. Zapytałem jeszcze raz, modulując głos na nieco niższy i wypowiadając wszystkie słowa przesadnie wolno. Tym razem Patka rozpoznała w tej parodii naszego nowego,

a już niemal byłego kolegę. Nasz śmiech przerywa tandetna melodyjka telefonu.

– *Here comes trouble!* – Puszczam oko, podając Patce wysłużonego Samsunga z blatu baru.

Patka przewraca oczami, ale kiedy zaczyna rozmowę, to ma już głos tak wymodulowany, jakby telefon Luizy był tym, na który czekała z radością.

– Cześć Luiza, jak się masz?

Gdyby Luiza chciała opowiadać o tym, jak się ma, to na pewno nikomu z Lokalu. Luiza nie lubiła tu nikogo. A jako wiecznie niezadowolonej szefowej, nikt tu nie lubił jej.

Słyszę tylko to, co mówi Patka, ale i tak domyślam się, co i jakim tonem mówi Luiza. Jej ton stawia tu wszystkich w stan oskarżenia i każdy czuje się winny, zanim jeszcze Luiza zdąży sprecyzować, o co się tym razem dopierdała. Do Patki rzuca się właśnie o jakieś ustalenia, które sama zmieniła tydzień temu, ale teraz już o tym nie pamięta.

– Pewnie to ja coś źle zrozumiałam... – Patka dla bezpieczeństwa bierze winę na siebie. Jak każdy tutaj.

Patka, jak zaczynała pracę, naiwnie wierzyła, że Luiza jest spoko. Ja od razu czułem, że to sucz. Pewności, że musiała się wykluczyć w najbardziej przegniłym i śmierdzącym zakątku piekła, nabrałem już po paru miesiącach pracy i unikałem jej jak ognia. Patka jakoś początkowo szanowała Luizę. A Luiza rozgrywała młodą po mistrzowsku. Początkowy szacunek i podziw Patki dla Luizy teraz po prostu zamienił się w strach. Może uwierzyła Luizie, że jak stąd odejdzie, to już nikt w Krakowie jej roboty nie da. W efekcie Patka nie była w stanie w niczym jej odmówić.

– Właśnie będę ogarniać remanent... Majcherek dziś otwierał... Oczywiście, przywiozę utarg z wczoraj... o której? Zanim się przez korki przewalę, to pewnie będę jakoś po 13. Na lunch? Aha... Przywieźć ci lunch ze sobą? Miso wegańskie? Żebyś zdążyła zjeść do 13? Nie, nie ma problemu... Ale jak to z młodym? Zgarnąć go z przedszkola? Ale ja? Wiesz, ja nie bardzo umiem z małymi dziećmi... Słucham? A nie aż tak mały. Ale ja nawet nie wiem, gdzie to przedszkole jest... No to niezupełnie jest tak po drodze... Oczywiście, będę.

Patka wściekle rzuca telefon, w którym jeszcze przed chwilą po-brzmiewał głos Luizy i wybucha:

– No chyba ją pojebało! Co ja jestem, Glovo?! Uberbabysitter?! – krzyczy na cały Lokal.

Nie wiem, jak zareagować. Patce to nie przeszkadza. Widzę, że chce się zwentować, a nie wchodzić w dialog, więc tylko patrzę i słucham.

– Jakby nie wystarczyło, że cały ten burdel ogarniam!

Mówi tę charakterystyczną dla swojego poprzednika frazę jego tonem i na moment zamiast średniego wzrostu dziewczyny z różowymi pasemkami widzę przed sobą rosłego łysolca, po którym Patka przejęła menagerowanie pół roku temu. Przesiąkła jego obyczajami i w niektórych momentach jest zupełnie jak on. Zwłaszcza na wkurwie. Zwłaszcza kiedy nazwę „Lokal” zamienia na „burdel”. Zastanawiam się, czy neurony lustrzane mają pamięć. Znowu wracam myślami na wykłady z Grodzkiej.

– Co? Ja mało tu mam? Mało?! – Teatralnym gestem zakreśla łuk po ścianach Lokalu. – Zamówienia? Niezrobione! Remanenty? Nierozliczone. Czy Wuję na zmianie znów zapił? A jakże! Za samo odcyfrowywanie tych jego abdzadów wczorajszych powinnam doliczyć sobie dwie godziny. Sobie doliczyć, a jego w końcu zwolnić! Dlaczego nie zrobię ani jednego, ani drugiego?! Bo jestem głupia! Nie umiem się upomnieć o swoje. I jaki tego efekt? – Popatrzyła na mnie tak, jakby to była moja wina, że nic w tym miejscu nie działa tak jak trzeba.

To prawda, że Wuję miał trzy sposoby spisywania zejścia towaru i ni chuja nie szło się w tym połapać. To prawda, że mieliśmy dużą rotację i wiecznie brakowało rąk do pracy. I wreszcie, to prawda, że Luiza miała talent do stwarzania nowych, większych problemów. Wszystko w Lokalu znajdowało sposób, żeby ułożyć się właśnie nie tak jak trzeba. Głupio mi patrzeć na Patkę, mam jakieś poczucie winy. Nie wiem, czy bardziej w rozumieniu Sartre’a czy Durkheima. Widzę, ile zdrowia ją ta robota kosztuje, i za każdym razem cieszę się, że to nie ja jestem menagerem tego przybytku. Spadło to na Patkę, bo w odróżnieniu ode mnie nie umiała odmówić. Biedna młoda. Wtedy jeszcze myślała, że przynajmniej hajs będzie zgadzać.

Wyparzarka zaczyna właśnie przeraźliwie piszczeć, dając znak, że można ją rozładować. Patka podchodzi w jej stronę, otwiera drzwiczki i przez chwilę widać tylko kłęb pary, zza którego dochodzi dalszy ciąg wściekłego monologu:

– A efekt taki, że jaśnie pani sądzi, że ja mam za dużo czasu wolnego. Nie mam! No kurwa, nie mam! Ani ochoty na jeżdżenie z żarciem i tym gówniarzem!

W głowie pobrzmiwa mi Łona z „nie wiem jak ono ma na imię”, bo ja nie dość, że nie jestem pewien, jak gówniarz wygląda, to zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, jak go właściciele nazwali. Dziwnie jakoś. Tyle pamiętam. Luiza była z nim tu może ze dwa razy.

– Kurwa, jak ja nienawidzę tego miejsca! – krzyczy Patka, kiedy szklanka ląduje na podłodze. W pierwszej chwili pomyślałam, że szklankę rzuca specjalnie, ale szybko dociera do mnie, że szklanka, którą wyjmowała z wyparzarki pękła i zrobiła w jej dłoni dość mocne nacięcie,

z którego teraz wypływa krew. Sporo krwi. Patka jak wyglodniały wampir przysysa się do własnej dłoni.

Nie wygląda to dobrze. Wyszarpuję plaster z apteczki zza baru, a Patka podnosi na mnie zaszklone oczy. Nie wiem, czy to łyzy bólu, wściekłości czy bezsilności.

– Daj tą rękę! – mówię wyciągając plaster w jej stronę.

– Tę, kurwa! – poprawia mnie z oburzeniem wartym większej sprawy.

Wyrywa mi plaster i sama sobie nakleja na przecięcie. Krzywo. Wstyd jej, że widziałem te łyzy, dlatego się tak wkurwiła za „tą rękę”. Pytam niby „Idziemy na fajkę?”, ale ona wie, że w rzeczywistości obiecuję, że nikomu nie powiem o tym meltdownie. Z wdzięcznością wybąkuje „Aha” i wychodzimy na nasze ponure podwórko.

Patka, jak pali, to kręci się jakby była jebanym króliczkiem w reklamie Duracella. Zatacza dziwne ósemki. Jest dwadzieścia po 11. Kraków budzi się ociężałe do życia i na tym tle ruchliwość i pobudzenie Patki zdają się być zupełnie nie na miejscu.

Patrzę na plaster, który już powoli nasiąka krwią. Rana musi być głęboka. Te szklanki z Ikei rzeczywiście są chujowe. Każdy z nas miał epizod z pękającą szklanką. Raz zdarzyło się, że pękła klientowi, ale nawet to nie przekonało Dymusów do kupowania droższych. Może jak zbiorą z 50 negatywnych recenzji, to się zainteresują tematem.

– Ty wiesz, co ona powiedziała? Że do 13 po drodze do niej spokojnie zdążę zgarnąć miso z Podgórze i gnojka z przedszkola. Czy ty to sobie wyobrażasz? Czy ty to sobie, kurwa, wyobrażasz?

– To dostaniesz od niej Klepsydrę Czasu czy teleporter, żeby to zrobić?

Widzę coś na kształt uśmiechu, ale to raczej tylko z grzeczności. Dalej jest wściekła. Nie odpowiada, tylko gasi papierosa z nadmierną siłą i rozciera resztki niespalonego tytoniu o brzeg śmietnika.

– Patka, a myślałaś, żeby jej powiedzieć, że się nie zgadzasz? – rzucam, chociaż wiem, że jej na to nie stać.

Kiedy ku radości turystów o dwunastej rozbrzmiewa hejnał, Patka nerwowo zwija arkusze remanentu i pakuje odliczoną wcześniej kasę do koperty, na której zapisuje wczorajszą datę.

– Dobra, Majcher, fajnie się gada i w ogóle, ale ja spierdalam. Remanent mi się domknął. Hajs się w miarę zgadza, więc zadzieram kiecę i lecę.

– To co, będziesz wieczorem na kontroli? – pytam nie wiadomo po co.

– Jaha – Patka rzuca na odchodnym i macha mi zza drzwi.

Nie widzę już jej, ale wyobrażam sobie, jak jedzie po tym mieście, w którym nie da się żyć. Zawsze kurwa coś. Jak nie wypadek, to objazd. Jak nie objazd, to jakiś jebany maraton. Przecież na piechotę byłaby szybciej niż tym samochodem. No nie ma szans, żeby zdążyła przed 13. Po prostu nie ma. I jeszcze te tramwaje jebane. No może i wymusiła pierwszeństwo, ale nie trzeba od razu tak w ten klakson napierdalać na dziewczynę, co wiezie miso i dziecko, nie? Wyobrażam sobie, jak klnie, a potem orientuje się, że dzieciak to słyszy i gryzie się w język.

O 13.15 dostaję wiadomość od Patki, że spóźniła się tylko kwadrans. Odsyłam emotkę z confetti. Tu na razie spokój, więc wyobrażam sobie, jak Patka parkuje pod kwaterą główną Dymusów. Na Morelowej. Dom oczywiście jest odjebany za ciężkie pieniądze. Obsadzony tujami, z przyszczyżonym trawnikiem. Furteczka w stylu glamour. Fontanna z tyłu. Kto bogatemu zabroni?

Luiza w jedwabnym kimono otwiera jej drzwi. Jej fryzura to ta najdroższa w mieście. Nawet ja wiem, po czym poznać. Równe cięcie, włosy zafarbowane na blond niby naturalnie niewinny. Stalowe oczy schowane za wielkimi oprawkami. Wyciąga chciwe ręce po utarg z wczoraj. Chowa do kieszeni. Na dzieciaka ledwo co patrzy, wysyła go do pokoju, a kiedy zostaje sama z Patką, ostentacyjnie wyrzuca miso do kosza, bo przyjechała za późno i nie będzie jeść zimnego. Wyjaśnia Patce, że teraz do jej obowiązków należy nie tylko Lokal, ale też codzienne odbieranie młodego z przedszkola. A od czasu do czasu będzie musiała z nim zostawać i po przedszkolu. Żadnych słodczy, żadnej telewizji, żadnych gier.

Dwa tygodnie później

Siedzę z Patką na tyłach lokalu. Coś ją gryzie, ale nie pytam. Jak będzie chciała, to opowie. Przy drugim papierosie zaczyna ciężko:

– Kurwa, nie wyobrażasz sobie nawet. Pierwsze, co usłyszałam w drzwiach, to „Spierdaj!” Wprawdzie nie do mnie, ale i tak grubo. Gustaw, który jeszcze przed chwilą radośnie udawał samolot, kiedy usłyszał, jak jego tata krzyczy na mamę, to bez słowa, wytrenowanym cichym truchtem pobiegł do swojego pokoju.

Musiałbyś widzieć twarz Luizy. Serio. Była tak wściekła jak nigdy. Nie tylko, że się pożarła ze starym, ale że my na to wleźliśmy, że ja widziałam, jak on ją traktuje. Widziałam wyraźny wysiłek, jaki wkładała w to, żeby się opanować. A ten pojeb wypachniony Aqua di Gio, kiedy mijiał mnie w korytarzu, wymamrotał coś o durnych pizdach i że będzie po dwudziestej. Drzwiami trzasnął tak, że aż się podłoga zatrzęsała.

Pobiegłam za młodym do pokoju i pytam jak tam, ale młody złał mnie zupełnie. Głowę schował pod poduszką. Majcher, ja nie znam się na dzieciach! Zupełnie nie wiedziałam co zrobić. Żałowałam, że nie zostałam z nim dłużej w parku. Myślałam tylko o tym, jak bardzo nie chcia-

łam tam być. Głaskałam go delikatnie po plecach i nie mówiłam nic. Zastanawiałam się, jakim trzeba być zjebem, żeby dać dziecku na imię Gustaw i robić takie sceny. Żal mi tego gówniarza. Młody tego, co się tam odpierdala, nie rozumie, a te emocje, z którymi sobie teraz nie radzi, będzie latami omawiać na terapii za ciężkie pieniądze. W końcu zrobiłam coś, co widziałam raz na TikToku. Tylko się nie śmieję – położyłam się koło niego i zupełnie nie swoim głosem zapytałam, czy mogę z nim położyć i czego by potrzebował. Wiesz takie NVC dla ubogich.

A cwaniak na to mi odpowiada, że chce pepsi. I mówi to jeszcze takim rozbrajającym głosem, że nie oddziela s od i tylko robi si.

I co zrobić w tej sytuacji? Nie mogłam dać młodemu cukru, bo Luiza by mnie rozjechała. Nie chcę w dzieciaku tworzyć iluzji, że złe emocje można czymś zalać, ale on ma tylko pięć lat, zjebanych starych i imię, od którego nie ma ucieczki. No i otworzyłam tę puszkę. Dałam mu łyka i widziałam w jego wyrazie twarzy to, co widuje u ciebie, kiedy odpalasz blanta pod koniec sobotniej zmiany i wiesz, że zostało już tylko sprzątanie i podśmiechujki ze stałymi klientami. Wiesz, nadzieję styranego człowieka, że teraz będzie już z górki.

No i na to Luiza weszła do pokoju. Na szczęście na tyle późno, że młodemu udało się wcisnąć puszkę do mojej ręki, że niby to ja piję. Luiza odpaliła się i zabrała mnie do kuchni, i jedzie.

Że ona rozumie, że mi nikt nie poświęcił na tyle uwagi w dzieciństwie, żeby wypłenić te niezdrowe fiksacje cukrowe, ale to jest dom bez cukru i ona sobie nie życzy, żebym przy Guciu piła tego rodzaju świństwa. Wolę nie myśleć, jaka to byłaby gadka, gdyby zobaczyła, że to młody pił. Jak skończyła ze mną, to zawołała młodego i mówi mu, że zrobią sobie koktajl z jarmużu z ziarenkami. Wyobrażasz sobie? Jak koktajl z jarmużu mógłby być czymś atrakcyjnym dla dziecka, które wciąż ma smak cukru na podniebieniu? No więc młody w krzyk, że on nie chce. Zastanawiałam się nawet, czy ten koktajl to nie jest za karę. Jak Gustaw chciał wyjść z kuchni, to Luiza chwyciła go stanowczo za bark i tonem słodkim, jakby wcale nie wbijała mu palców w małe ciało, kazała mu zostać i umyć jarmuż. Mnie odprawiła do domu. I wiesz, czego nie mogę przeboleć? Że nie zareagowałam, jak ona go tak zgniała. Nie umiałam.

„Pa, Pati” – powiedział mi Gustaw, patrząc tak, jak patrzą najstarsze psy w schronisku na ludzi mijających ich klatki. A ja nic nie zrobiłam. Powiedziałam tylko „Pa, Guciu”, starając się unikać jego wzroku jak ludzie, którzy w schronisku szukają tylko szczeniactków.

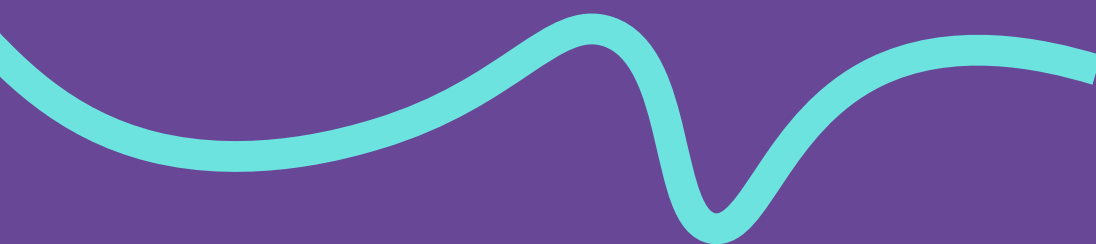
Anna Urbaniak:

Patka jest od niedawna menadżerką Lokalu i ucziwie nienawidzi swoich pracodawców.

Jednak z powodu propozycji, której nie może odrzucić, wiąże się z nimi jeszcze bardziej. Zaczyna opiekować się ich pięcioletnim synem. Początkowo traktuje to jako dodatkową formę wyzysku, czuje się wkurwiona i wykorzystywana. Szuka zemsty. Kiedy między nią a chłopcem rodzi się więź, przestaje być jasne, czy Patka chce się mścić za siebie czy za dziecko. Akcja rozgrywa się w mieście „historycznego piękna” i „kulturowego bogactwa”, które tak naprawdę okazuje się gnijąco-wilgotną pożywką dla toksycznych związków, nadużyć, histerycznych piątek i melancholijnych poniedziałków.

Ta powieść, również dzięki doświadczeniom okołobarowym autorki, pozwala wniknąć w miejsca, gdzie spotykają się osoby, które wcale nie chcą się spotkać. Gdzie mieszkają karaluchy, rządzą szczury, wódka nie dość, że chrzczona, to nielegalna, a język połamany wykrzywia wszystko, co pomyśli już nietrzeźwa głowa.

Na zdrowie!



O autorkach i autorze

Ewelina Figarska

Artystka interdyscyplinarna. Współtworzy galerię-kolektyw Garaż. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, studentka reżyserii na Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie (2022/2023) oraz Athens School of Fine Arts (2018/2019). Zajmuje się intermediami i literaturą. Współtworzy soundartowe audycje do Radia Kapitał #Cebula, w których poszukuje alternatywnych form komunikacji, obszarów roboczych, paprochów i prywaciarstwa. Zadebiutowała jako reżyserka filmowej formy eksperymentalnej na festiwalu Short Waves w Poznaniu (2022). Wystawiała swoje prace m.in.: w Warszawskim Obserwatorium Kultury, Galerii WY, Galerii Jak zapomnieć, Bałtyckiej Galerii Sztuki Współczesnej. Publikowała teksty literackie i kuratorskie w „Magazynie Malkontenty”, „Tlenie Literackim”, „Nowych Szeptach”, „Łałoku”, „Stonerze”, magazynie „Szum”, „Przemijam”. Interesuje się codziennością, międzygatunkowością i osobliwością.

Ada Tymińska

Woli miasta z rzekami, a melodie – z wariacjami. Rymy i rytmy. Na co dzień akademicko i aktywistycznie zaangażowana w temat migracji. Pracuje nad doktoratem o młodych ludziach w drodze oraz nad powieścią o Wiśle. Stypendystka miasta stołecznego Warszawy za rok 2023 w dziedzinie literatury.

Martyna Wawrzyniak

Dramaturżka, autorka scenariuszy i adaptacji, absolwentka dramaturgii na Wydziale Reżyserii Dramatu Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie. Członkini i współzałożycielka Pracowni Dramaturgicznej AST Kraków (projekty realizowane: „archiwum//lab.”, „Inny Teatr”). Absolwentka podyplomowych Gender Studies Instytutu Badań Literackich PAN.

Alicja Beryt

Aktywistka w stanie spoczynku. Współzałożycielka Spółdzielni Ogniw. W ramach kolektywu Tłusty Druk prowadziła podcast popularyzujący czytelnictwo. Ukończyła filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje jako graficzka. Publikowała w „Autoportrecie”, „Magazynie Kontakt” i kwartalniku „Równość”. Dużo myśli o pisaniu. Wakacje spędza na Bałkanach. Uczy się serbskiego, bo lubi. Ma prawo jazdy, ale woli komunikację miejską.

Ewa Bugajska

Podobno pisarką chciała zostać, odkąd w szkole podstawowej opisała przygody wróbla Józka dyktowane koniecznością wykorzystania jak największej ilości wyrazów z „ó”. Z zawodu prawniczka, nigdy nie pogodziła się z tym, że nie dostała listu z Hogwartu. Opisuje, choćby do szuflady, swoje własne światy, które pozwalają jej nie tylko dalej wierzyć w magię, ale też zrozumieć ten, w którym żyje. Na co dzień mieszka, pracuje i pisze w Warszawie, gdzie zaprzyjaźnia się ze wszystkimi kotami, które napotka, w nadziei, że przekażą jej swą gatunkową mądrość. *Sztuka pozostawania w cieniu* jest jej pierwszą powieścią.

Marta Fałęcka

W 2023 roku obdarzyła się tytułem emerytki *honoris causa*. Popularyzatorka drzemuni fizjologicznej na terenie całego kraju i drzemuni farmakologicznej w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie. Publikowała w „Dwutygodniku”. Uważa, że najważniejsze w życiu jest, żeby było śmiesznie.

Jakub Krüger

Urodzony w Poznaniu. Na początku lat 90. studiował historię na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, potem zawodowo zajmował się handlem i fotografią. Z wyboru pracuje jako pracownik gospodarczy w żłobku Ptyś. Jego pasją jest piłka guzikowa, gra, którą wymyślił z kolegą w dzieciństwie. Od dwudziestu lat prowadzi warsztaty guzikowe w jednej z poznańskich szkół. Laureat dwóch edycji Akademii Opowieści Gazety Wyborczej. W 2017 roku za opowiadanie *Nie uciekaj, tato* otrzymał pierwszą nagrodę, rok później drugą nagrodą jury doceniło tekst *Kwiatki polskie*.

Marta Maj-Sobkowiak

Kocha obrazy Boscha i Bruegla, targi i szum oceanu. Uwielbia czytać, ale ostatnio ciągnie ją też do pisania, bo w pisaniu można się zatrzymać na dłużej. Pisze zawsze przy muzyce. Zawodowo obserwuje ludzi, co pomaga też w pisaniu. Kiedyś skończy swoją pierwszą książkę.

Patrycja Mierzejewska

Prozaiczka i poetka. Finalistka Połowy Prozatorskiego 2023 i 2024 w Biurze Literackim. Zdobywczyni wyróżnień w konkursach: I Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Wandy Dobaczewskiej „Na chwałę słońca” oraz Ogólnopolskim Konkursie Literackim „W leśnej głuszy, wśród fabrycznego dymu...”. W 2023 roku nakładem wydawnictwa Pro Libris wydała tom poezji *Wchłanianie żelaza*, nagrodzony Srebrnym Sokolim Piórem za debiut literacki. Mieszkanka lubuskich lasów, gdzie w oczekiwaniu na apokalipsę podgląda dzikie zwierzęta.

Irena Powell

Urodzona w Gliwicach w 1981 roku. Ukończyła studia pianistyczne na Akademii Muzycznej w Katowicach. Zajęła się przetwarzaniem świata przy pomocy słów. Pisze wiersze, opowiadania i powieści. Mieszka z rodziną na jednej z gór Beskidu Wyspowego. Kocha znikać w lesie.

Aleksandra Szmolke

Wierzy, że zawód i wykształcenie nie definiują człowieka. Pije kawę z mlekiem i lubi pływać, ale rzadko chodzi na basen. Nałogowo pali świeczki zapachowe i kupuje perfumy, na które ją nie stać. Uczy się języków obcych. Wciąż odkrywa, że polski ją zaskakuje. Ma trudną relację z wena, czasem się z nią kłóci o brak wspólnego czasu. Uparcie szuka swojego miejsca na świecie. Ten jest tak ogromny.

Anna Urbaniak

Urodziła się w Krakowie i dziwi się, że od tego czasu minęło tyle lat. Ma na koncie wiele sukcesów, ale trzyma gardę z pokory. Pracuje naukowo, a w wolnych chwilach pisze prozę. Wie, że Kraków to perła ukryta we mgle.

O Szkole Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO

Kurs Pisania Powieści jest elementem programu wsparcia debiutów literackich Krakowa Miasta Literatury UNESCO. Należy do niego także przyznawana corocznie Nagroda Conrada wyróżniająca najlepszych debiutantów i ułatwiająca im drogę dalszej kariery. Organizatorem kursu jest KBF, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO.

Więcej informacji znajdziesz na stronie miastoliteratury.pl.

Copyright © for texts by Authors 2024

Copyright © for this edition by KBF 2024

Wydawca i organizator: KBF, ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków

Program Kursu Pisania Powieści 2023/2024:
Filip Modrzejewski, Paweł Goźliński

Korekta: Dorota Dziunikowska, Anna Mazur, Marek Mikos,
Barbara Skowrońska, Grzegorz Słacz, Bartosz Suchecki

Kreacja graficzna: Nina Gregier

Skład graficzny: Weronika Kierzkowska

Dyrektorka KBF: Carolina Pietyra

Kuratorka Programu Kraków Miasto Literatury UNESCO:
Urszula Chwalba

Kierowniczka zespołu Krakowa Miasta Literatury UNESCO:
Elżbieta Foltyniak

Koordynatorka Szkoły Pisania KMLU:
Aleksandra Lipczak

Kontakt: pisz@miastoliteratury.pl

